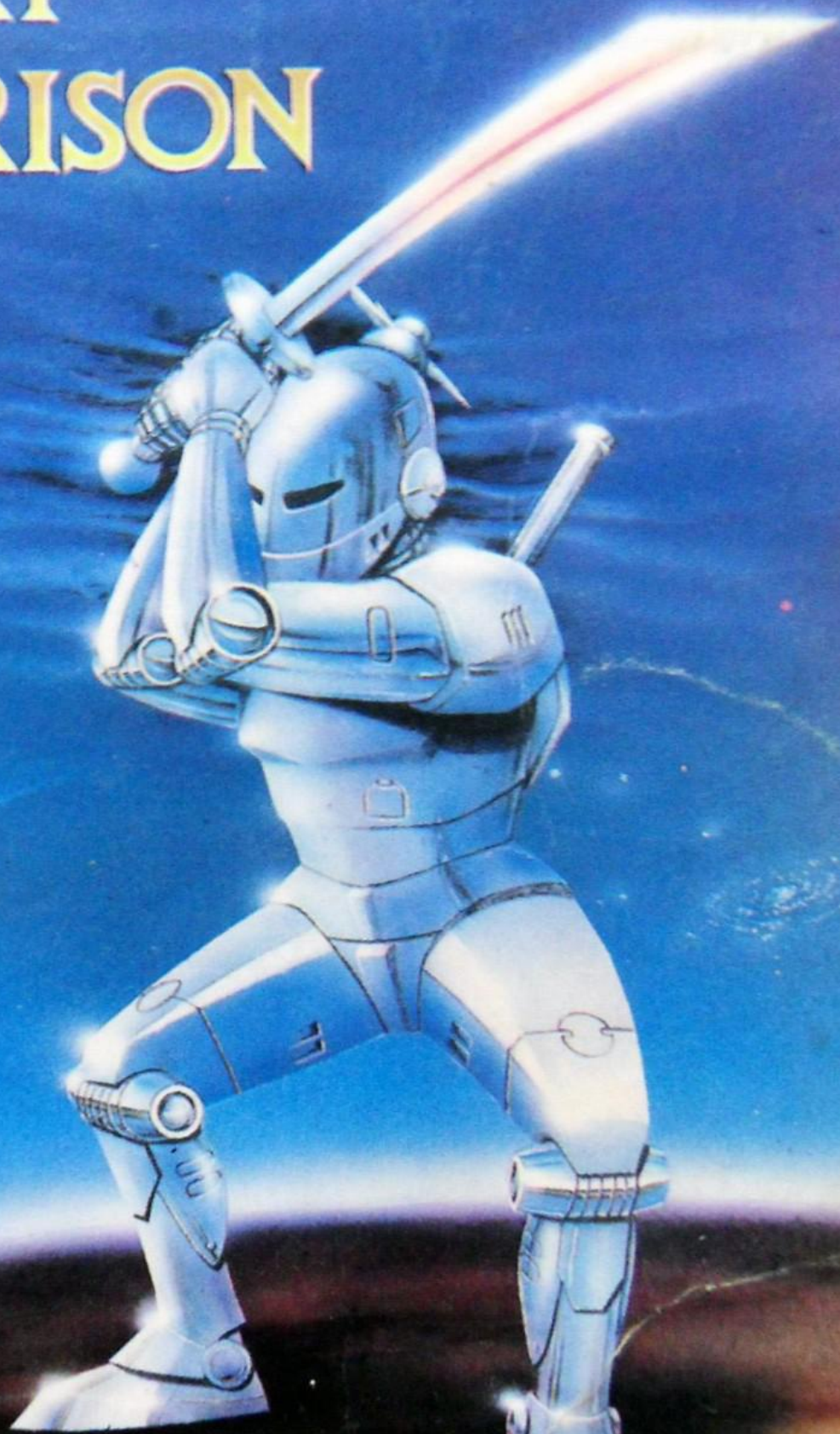


HARRY
HARRISON



WOJNA Z ROBOTAMI

HARRY HARRISON

WOJNA Z ROBOTAMI

(PRZEŁOŻYŁ: JAROSŁAW KOTARSKI)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Słowo od autora – człowieka](#)

[Symulowany trening](#)

[Aksamitna rękawiczka](#)

[Ramię sprawiedliwości](#)

[Robot, który chciał wiedzieć](#)

[Widzę cię](#)

[Konserwator](#)

[Zacofana planeta](#)

[Wojna z robotami](#)

Słowo od autora – człowieka

Większość ludzi, gdy słyszy słowo "robot", ma przed oczami obrazek przedstawiający mechanicznego człowieka, skrzypiącego blachą i świeżą oczami. Jest to dokładnym zaprzeczeniem tego, co w swojej powieści pt. R.U.R. napisał, tworząc to słowo, Karel Čapek. Było to tuż po zakończeniu I wojny. Jego roboty – Rozumne Uniwersalne Roboty były z krwi i kości. Chociaż wytworzone sztucznie, od ludzi różniły się tylko jednym – całkowitym brakiem uczuć. To nowe słowo „robot” wypełniło lukę występującą w literaturze SF i gdzie spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem. Wkrótce na drodze skomplikowanych mutacji stało się wyobrażeniem mechanicznego człowieka o stalowej skórze (roboty Čapka zbudowane z krwi i kości zwane są obecnie androidami). W tym również czasie, w związku z postępem techniki, robot stał się określeniem całej, nowo powstałej rodziny urządzeń mechanicznych. Tak samo jak broń i narzędzia – różnego typu młotki, miecze i tym podobne – są konkretnym pomocnikiem i zwielokrotniaczem możliwości fizycznych człowieka, tak i roboty są ich odpowiednikiem skonstruowanym do bardziej skomplikowanych i abstrakcyjnych zadań.

Autopilot prowadzący samolot przez znacznie dłuższy okres lotu niż człowiek ma niewielkie na razie możliwości oceny i wyboru. Nawet te pierwsze najprostsze modele miały możliwość wykrycia i poprawienia nieprawidłowości w poziomie i kierunku lotu, jeszcze zanim do człowieka dotarło, że coś takiego w ogóle miało miejsce. Nowe modele mogą już zawrócić samolot o 180 stopni po przyciśnięciu jednego guzika. Ten właśnie proces – możliwość wykrywania i decydowania – odróżnia roboty od automatów i innych maszyn prostych. Budzik jest automatem, ale automatyczne radio z budzikiem jest już robotem. Może na takie nie wygląda, ale spełnia jego funkcję. Usypia właściciela delikatną muzyką, po czym wyłącza dźwięk do określonej pory, gdy rankiem śpiący powinien się obudzić. Nie jest to zresztą jedyna możliwość robota. Zamiast programów radiowych może również odtwarzać kasety. Brahmsa w nocy, Sousa rankiem. A zamiast całkowitego wyłączenia muzyki nocą o określonej porze, może być ona cichutko grana do chwili, gdy właściciel nie zaśnie. Robot sprawdza to umieszczonym w łóżku termoczuJNIkiem, który wykrywa towarzyszące zaśnięciu ochłodzenie ciała. Jeśli zaś człowiek lubi wstać o świcie, to nie musi za każdym razem nastawiać czasu budzenia. Wystarczy prosta fotokomórka reagująca na światło i umieszczona na wprost okna. Wszystkie te urządzenia, zamiast być wbudowane w czarne pudełko, mogą być umieszczone w metalowym korpusie – czujniki temperatury w końcu jednego z palców, fotokomórki w miejscu oczu. Zamiast wygasić prąd, mógłby on sięgnąć ręką i wyłączyć muzykę, a nawet przykryć śpiącego, gdyby zaszła taka konieczność. Osobiście nie czuję palącej potrzeby, aby taki stwór pochylał się nad moim łóżkiem w nocy i manewrował paluchem wypatrując świtu, choć w rzeczywistości byłoby to to samo urządzenie, które teraz usypia mnie muzyką. Możecie nazwać to nienormalnym uczuciem, ale nikt nie zaprzeczy, że uczucie jako takie jest zawsze związane z tym tematem. Mamy bardzo często tendencję do antropomorfizowania naszych mechanicznych urządzeń – dajemy samochodom imiona, ale gdy się psują, klniemy, a czasem nawet je kopiemy. Zaczynamy się już zresztą przyzwyczajać do istnienia i usług robotów. Czy jechaliście już którąś ze zautomatyzowanych wind, jakie zaczynają instalować w biurach? Pojedyncza tablica rozpoczyna i kończy operowanie całym zespołem wind, programuje częstotliwość jazdy w zależności od natężenia ruchu. Pasażerowie są liczeni, a drzwi zamykają się automatycznie, gdy wagonik jest pełen. Szybkość i hamowanie dostosowane są do aktualnego obciążenia, aby drzwi otworzyły się zawsze na korytarz, a nie na ścianę szybu. Niektóre z nich mają nagrany głos (zawsze przyjemny), który nakazuje niesfornemu pasażerowi odsunąć się od drzwi. Robot kontrolujący windę jest w tym przypadku wbudowany w ścianę i wysyła polecenia na drodze

elektronicznej. Ale klasyczny robot mógłby wykonać te czynności na drodze mechanicznej, używając do tego celu swego mechanicznego ramienia. Wyglądałoby to ciekawiej, ale w niczym nie zmieniłoby podstawowych spraw związanych z zasadami działania czy też używania takich wind.

Roboty nadeszły i są już na stałe związane ze sztuką tak wojny, jak i pokoju. Mały, antyspołeczny robot o zacięciu samobójczym jedzie sobie w pocisku artyleryjskim i nie może wytrzymać czyjejkolwiek obecności w pobliżu – nazywa się „zapalnik zbliżeniowy”. Inny może ściemnić światła twego samochodu, gdy mijasz inny wóz, po czym znów je zapalić, ale ten należy do przygłupów – mruga sobie radośnie reagując tak samo na sygnalizację świetlną, jak na inny samochód. Roboty w centralach telefonicznych są lepsze, szybsze i dokładniejsze od operatorów-ludzi, choć trudniejsze do objechania za złe połączenie. Roboty, które w niedługiej przyszłości mają być zainstalowane na parkingach, zabiorą twój wóz po zapłaceniu stawki, a przyprowadzą go (miejmy nadzieję), gdy przedstawisz właściwą kartę identyfikacyjną.

Roboty mają pełne prawo pozostać z nami, ale rodzi się pytanie: Jaki skutek wywrą na nasze, ludzkie społeczeństwo? Przyniosą śmierć i zniszczenie jak twór Victora Frankensteinia? Czy zapanują nad światem jak ich przodkowie w R.U.R.? Będą służącymi czy panami? Albo bardziej subtelnie – czy będą tak doskonale zaspokajały nasze potrzeby, że rasa ludzka zdegeneruje się i wymrze? Wszystko jest możliwe i dlatego te kilka opowiadań, które zawiera niniejszy zbiorek, mówi o różnych możliwościach. Niektóre z nich są mile, inne wprost przeciwnie. Wybór pozostawiam Wam..

Pierwszą istotą wysianą z Ziemi na Księżyc będzie niewątpliwie robot. Obecnie co prawda, jest to dopiero okres przygotowań, ale już teraz widać, że do badań typowo informacyjnych, takich jak geologiczne, poszukiwanie form życia czy badania gruntu są one bardziej odpowiednie niż ludzie. No i oczywiście do przesyłania zebranych informacji do domu. Oprócz tego, w przeciwieństwie do człowieka, po wykonaniu zadania robot siądzie sobie spokojnie i pozostać tak może cała wieczność; nie potrzebuje niczego i niczym się nie interesuje, jeśli nie otrzymuje oczywiście nowych poleceń. Te zalety robotów są tak oczywiste, że wysyłanie ludzi na Księżyc w ogóle mija się z celem. Ale ja osobiście jestem zdania, że jest to biedne stanowisko, gdyż nie uwzględnia ono jednego problemu. Żaden automat nie może wykroczyć poza wbudowany program, a żaden program nie może uwzględnić wszystkich możliwości, jakie mogą wystąpić w czasie wykonywania zadania. I wtedy maszyna, w przeciwieństwie do człowieka, jest bezradna. Tak więc sądzę, że rakiety, które polecą na Księżyc czy też do innych układów planetarnych będą zawierały, oprócz zestawów uniwersalnych robotów, także człowieka – istotę, którą trzeba się opiekować i otaczać wygodami – ale niezbędną...

Symulowany trening

Mars był brudnym, przerażającym piekłem. Suchy jak kość i czerwony jak krew. Przekopywali się przez sypki, sięgający kolan piach i zgodnym chórem klęli inżyniera, który skonstruował system fizjologiczny skafandrów. Przy testach skafandry były idealne. Szlag je trafił dopiero w warunkach praktycznych. Przy stałym użytkowaniu przez parę tygodni poszły w diabły systemy absorpcyjne płynów. Atmosfera Marsa stała na temperaturze minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Wewnątrz zaś kombinezonów pływali we własnym pocie i z wolna gotowali się w wysokiej temperaturze. Marley wściekle potrząsnął głową chcąc pozbyć się upartej kropli potu, która najbezczelniej w świecie usadowiła się na czubku jego nosa. W tym samym momencie coś o rdzawym kolorze i błyskawicznej szybkości wpadło na niego i trafiło go prosto w pierś. Była to pierwsza napotkana przez nich forma tutejszego życia. Zamiast naukowego zainteresowania poczuł wściekłość. Gwałtowny kopniak posłał oszołomionego zwierzaka wysoko w powietrze. On sam natomiast, wytracony z równowagi, runął do tyłu rozdzierając bok kombinezonu o wystający odłamek obsydianowej, ostrej jak brzytwa skały. Tony Bannerman usłyszał w słuchawkach przerażony krzyk towarzysza i odwrócił się błyskawicznie. Marley leżał na piachu, obydwoje rękoma przyciskając brzegi rozdartego skafandra, przez które ze świstem uciekało powietrze, zmieniające się błyskawicznie w kryształki lodu. Tony przyklęknął przy nim tak, że przysłony hełmów prawie się zetknęły i dojrzał na twarzy Marleya przerażenie.

– Pomóż mi! – krzyk prawie rozsadał słuchawki. Ale nie było możliwości pomocy. Nie zabrali ze sobą pakietów ratunkowych. Wszystkie były w rakiemie oddalonej o jakieś ćwierć mili. Zanim zdążyłby dobiec tam i wrócić, Marley byłby już zestaloną mumią. Mógł sobie zaoszczędzić wysiłku. Na Marsie było tylko ich dwóch. Nikt nie mógłby pomóc Marleyowi. Musiało to dojść do świadomości leżącego, gdyż przestał wrzeszczeć i spytał normalnym głosem:

– Żadnej nadziei, Tony? Jestem martwy?

– Jak tylko tlen wyleci. Około trzydziestu sekund. Nic nie mogę zrobić.

Marley bluznął kunsztowną wiązanką i wduśił czerwony przycisk NIEBEZPIECZEŃSTWO umieszczony na rękawie tuż nad nadgarstkiem. Jakieś pięć metrów od nich grunt rozpadł się i dwóch facetów w białych skafandrach wyskoczyło z dziury. Na hełmach mieli czerwone krzyże, a w dłoniach hermetyczny pojemnik. Wtoczyli do niego Marleya z szybkością wskazującą na dużą praktykę i pognali z powrotem do otworu. Wyrzucili przezeń kukłę w kosmicznym kombinezonie i pokryte piaskiem drzwi zamknęły się nie zostawiając śladu. Kukła ważyła tyle co Marley, miała nawet głowę (niepodobną do Marleya). Tony zarzucił ją sobie na plecy i ruszył w stronę rakiety. Po drodze minął leżącego nieruchomo zwierzaka – przyczynę nieszczęścia. Kopnął go na odlew wywołując lawinę śrubek i innego elektronicznego drobiazgu. Ulżyło mu trochę. Gdy dobrnął na miejsce, chemiczne słoneczko prawie skryło się za horyzontem. Pogrzeb będzie musiał odłożyć do jutra. Zostawił bagaż w śluzie i wszedł do części mieszkalnej, po drodze rozpinając skafander. Kopniakiem posłał do diabła stół z resztkami jedzenia. Zrobiły wystarczającą ilość hałasu, aby na tym poprzestać i poszedł do łóżka. Tym razem byli tak blisko! Gdyby Marley miał oczy otwarte! Wyrzucił z głowy zarzuty pod jego adresem i zasnął.

Rano pochował Marleya, potem ostrożnie i asekurancko spędził dwa dni brakujące do upływu wyznaczonego terminu. Większość pomiarów była zrobiona, a te, które pozostały, można było zrobić automatycznie. Skorzystał z tej możliwości. Ostatniego dnia powybierał wiadomości z ostatnimi zapisami i poprzemienił instrumenty poza zasięg ognia z dysz. Razem z instrumentami przeniósł pozostałe zapasy, zbędne w drodze powrotnej oraz niepotrzebne wyposażenie. Wracając z ostatniej

wycieczki oddał ironiczny salut nad grobem Marleya. Przez ostatnie dwie godziny jako tako posprzątał segment mieszkalny i czekał Trzask zegara przerwał ciszę panującą w kabinie. W ślad za nim ożyły silniki, a pasy jego pojemnika opięły go ściśle. Obserwował opadające wieko i ramię manipulatora zakończone igłą, zbliżające się na podobieństwo węża do jego ramienia. Poczł ukłucie i potem była już tylko ciemność. Jak tylko kłapa zamknęła się, na zewnątrz statku otworzył się fragment korytarza i pojawiło się dwóch mężczyzn z noszami. Nie mieli kombinezonów, a za nimi widać było fragment błękitnego, ziemskiego nieba.

Powrót do świadomości był taki, jak zwykle. Pierwsze, co zobaczył, był śnieżnobiały sufit izolatki. Tyle że tym razem na pierwszym planie znajdowała się apoplektycznie nabiegła krwią twarz pułkownika Steghama. Tony starał się przypomnieć sobie, czy leżąc w łóżku należy oddawać honory. Nie mogąc jednak rozwiązać tego problemu postanowił leżeć spokojnie.

– Cholera, Bannerman – warknęła głowa – witamy na Ziemi. Tylko dlaczego, do wszystkich diabłów jesteś tu sam? Śmierć Marleya przekreśla całą wyprawę. A to oznacza, że nie ma ani jednego kompletu załogi, która ukończyłaby szkolenie na czas.

– A co z zespołem numer dwa, sir?

– Gówno! O ile to możliwe, to poszło im jeszcze gorzej. Obaj zabici w drugim dniu po wylądowaniu. Meteor przebił im zbiornik tlenu, a obaj byli zbyt zajęci okazami marsjańskiej flory, żeby zwrócić na ten drobiazg uwagę. Mimo wszystko nie dlatego tu jestem. Zbieraj rzeczy, idziemy do mojego biura.

Coś musiało być nie tak w duszy pułkownika, gdyż na samym wstępie poczęstował Tony'ego cygarem. Gdy sam zapalił, wskazał na widoczek za oknem.

– Widzisz to? Wiesz, co to jest?

– Yes, sir. Marsjańska rakieta, to znaczy rakieta marsjańskiej ekspedycji.

– To ma być rakieta marsjańskiej ekspedycji. Teraz jest to do połowy gotowa kupa złomu. Silniki i elektronika są robione na terenie całego kraju. Złożona i przetestowana będzie dopiero za sześć miesięcy. Za sześć miesięcy statek będzie gotów, tylko że, kurwa, nie mamy go kim obsadzić. W tej chwili nie mamy ani jednego człowieka, który miałby potrzebne kwalifikacje. Włącznie z tobą! Ten program szkoleniowy był zawsze moim oczkiem w głowie. Wiedzieliśmy od dawna, że jesteśmy w stanie wybudować jednostkę na tyle dobrą i na tyle silną, aby taka wycieczka stała się bezpieczna i możliwa. Ale potrzebni są ludzie, którzy mogliby zostać dowiezieni, dokonać badań i wrócić żywi, albo ta cała robota nie jest warta funta kłaków. Okręt i pilot zostali przetestowani w symulowanych warunkach prawdziwego lotu i działają. To był mój pomysł, żeby ludzi przetestować tak samo. Zostały wybudowane dwie komory, w których odtworzyliśmy warunki i rzeczywistość Marsa na tyle, na ile je znamy. Przeprowadzaliśmy ten symulowany trening – suchą zaprawę – aż do najdrobniejszych szczegółów przez osiemnaście miesięcy w dwuosobowych zespołach. Oblicz sobie, ilu przeszło przez to. A w efekcie nie mamy ani jednej symulowanej ekspedycji zakończonej sukcesem. Z tego czterech ludzi wróciło żywych z tych wypraw, wliczając ciebie. Jeśli z was nie wyłonimy zespołu, któremu się to w końcu uda, to możemy spokojnie zamknąć kramik i iść do domku.

Tony siedział wmurowany w fotel, z wygasłym cygarem w zębach. To, co mówił Stegham, nie było dla niego całkowitą nowością. O pewnych sprawach wiedział już wcześniej, ale nie przypuszczał, że to aż na taką skalę i, że jak dotąd jest z tego jedna wielka kłapa. Głos pułkownika przerwał te żalosne rozważania.

– Psychologowie zwrócili się do mnie z problemem, który według nich jest w tym wszystkim najważniejszy. Oni twierdzą, że powodem takich wyników jest świadomość, że to jest trening. Że ludzie wiedzą, że to nie jest realne. Że zawsze mogą być wyciągnięci z tego, w co się wplątali. Tak

jak Marley. Sądząc po rezultatach jakie osiągamy zaczynam się z nimi zgadzać. Zamierzam przeprowadzić ostatnią próbę w dwóch zespołach, tyle że w czysto bojowych warunkach.

– Nie rozumiem, panie pułkowniku...

– Proste. Nie będzie tym razem żadnej pomocy i żadnego wyciągania przez dziurę. Obojętnie jak bardzo byście tego potrzebowali. To będą manewry z ostrą amunicją. Zamierzamy wam urozmaicić pobyt wszystkim, co zdołamy wymyśleć – i wy będziecie zmuszeni to przeżyć. Jeśli któryś tym razem rozedrze skafander, to umrze w marsjańskiej próżni, o parę stóp od całego powietrza Ziemi. Chciałbym, aby był inny sposób, ale nie mamy wyboru. Musimy za dwa miesiące mieć załogę do tej ekspedycji i nie mamy innej możliwości, aby być pewnym jej fachowości.

Tony dostał trzy dni wolnego – w pierwszy się spił, w drugi naćpał, a na trzeci doszedł do siebie i poszedł na dziwki. Wszyscy w projekcie byli ochotnikami z możliwością wycofania się w każdym momencie, tylko on jakoś nie miał na to zbyt chętności. Tak więc pozostało mu dalej bawić się w tą głupią grę. A kiedy się ona skończy, nie omieszka dać Steghamowi do zrozumienia, co sądzi o pomysły i jego autorze. Swego towarzyszącego – Hala Mendozę poznał, gdy poszedł na badania. Podali sobie ręce z rezerwą i oszacowali się chłodnymi spojrzeniami. Jeden miał zależeć od drugiego i lepiej było wyrobić sobie zdanie o partnerze, gdy ma się jeszcze w miarę obiektywne możliwości oceny. Mendoza był jego przeciwieństwem – wysoki i chudy, podczas gdy Tony był krępy i zwalisty jak niedźwiedź. Hal palił prawie bez przerwy, a jego oczy nigdy nie pozostawały w spokoju. Tony odsunął od siebie spowodowane tym zaniepokojenie

– Hal musiał być dobry, jeśli zaszedł tak daleko. Lapiduch wziął go w obroty i na dalsze rozważania nie starczyło już Tony'emu czasu.

– Co to jest? – zdumiał się lekarz wskazując jego policzek ze świeżą ranką.

– Aa, to. Zaciąłem się przy goleniu.

Doktor mruknął coś o roztrzepańcach i założył opatrunek.

– Uważaj na wszelkie otwarte rany – ostrzegł – to idealne wejście dla bakterii. Diabli wiedzą, co możesz zastać na Marsie.

Chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Po co wyjaśniać, że prawdziwa wyprawa (jeśli kiedykolwiek nastąpi) zajmie dwieście sześćdziesiąt dni. Każda rana zdąży się przez ten czas skutecznie trzy razy zagoić – nawet w oziębiającym śnie. Po badaniach, jak zawsze, wbili się w kombinezony i ruszyli do hali testów. Przez drzwi hangaru numer dwa weszli do atrapy marsjańskiej rakiety. Po zamknięciu klap jak zwykle nastąpiły zastrzyki i ciemność.

Po przebudzeniu wszystko było takie normalne, że aż podejrzane. Tony zerwał opatrunek i przyjrzał się podejrzliwie zacięciu – było świeże, w kąciku krzepła właśnie kropelka krwi. Odprężył się. Co prawda nie podejrzewał wojska o to, że zrezygnują z oficjalnej pompy przy odlocie ekspedycji marsjańskiej, jak to się oficjalnie nazywało, ale czasami obawiał się, że za którymś razem zamiast na poligonie obudzi się na Marsie. Było to silniejsze od zdrowego rozsądku. Tym razem im to nie groziło. W tym momencie ożył obwód niebezpieczeństwa – najpierw seria gwizdów, potem głos dyżurnego oficera.

– Poruczniku Bannerman, wstaliście już?

– Tak jest, sir!

– Sekundę, Tony – słyhać było jak zwraca się do kogoś stojącego obok, po czym głos stał się ponownie czysty. – Mamy problem z komorą, siadła jedna z pomp i ciśnienie jest niższe niż faktyczne, marsjańskie. Poczekajcie z wyjściem, aż jej nie wymienimy.

– Yes, sir! – wyłączył mikrofon akurat na czas, aby nie puścić opinii Hala na temat gotowości i pracowitości ekipy treningowej.

Jakiś kwadrans później radio znowu ożyło.

– Wszystko w porządku. Zaczynajcie, jak było ustalone.

Odsunęli rygle i otworzyli drzwi śluzy.

– No cóż, w końcu chociaż raz dali nam spokój z tym cholernym wiatrem – odezwał się Hal. –

Ostatnim razem wiał jak opętany. Dzięki Steghamowi choć za to.

Kontemplował przez chwilę znany krajobraz rdzawego piachu i brunatnego nieba, gdy Hal, szukając czegoś w sterowni, ryknął nagle dziko:

– Chodź tu, szybko!

Nie musiał powtarzać, gdyż Tony był już przy nim, gapiąc się niezbyt przytomnie w ślad za wyciągniętym palcem Hala.

– Wskaźnik poziomu wody. Albo się zepsuł, albo mamy połowę zbiornika.

Rzucili się do roboty. Odkręcone pokrywy pokazały pęknięcie przy jednym ze wsporników, z którego wypływał strumyk.

– Cholerny Stegham i jego pieprzone dowcipy. Założę się, że on to nazwał skutkiem lądowania. Trzeba to w coś łapać, zanim nie zatkamy tego gówna.

– To będzie dosłownie "suchy" miesiąc – mruknął Hal, gdy skończyli łątać zbiornik i obliczyli ilość wody na osobę.

Pierwsze dni były identyczne jak w poprzednich "podróżach". Umieścili flagi i wypakowali ekwipunek. Trzeciego dnia instrumenty pomiarowe były włączone, a czwartego byli gotowi do wypraw kolekcjonerskich. W tym właśnie dniu zaczęli sobie zdawać sprawę z obecności pyłu. Tony akurat przeżuwał swoją rację żywnościową (wody starczyło na jedno porządne picie w ciągu dnia), gdy Hal spytał:

– Zauważyłeś, ile tu się zebrało tego rdzawego świństwa?

– Jak mógłbym nie zauważyć? Mam tyle tej cholery w ubraniu, jakby mnie obsiadło całe mrowisko. Do tej pory tego nie było.

– Następna pieprzona niespodzianka naszego ukochanego szefa!

– Nie ma innej rady. Trzeba się dokładniej czyścić przed wejściem na statek.

Pomysł był dobry, tylko wykonać się go nie dało. Pył miał konsystencję uczciwego talku i trzepanie powodowało wyłącznie powstawanie nowej chmury, która wlatywała za nimi i osiadała na wszystkim. Próbowali go zignorować, klnąc w żywy kamień genialne pomysły Steghama i jego techników.

Skutkowało do ósmego dnia, gdy wracali z wycieczki eksploratorskiej, targając kontener z próbkami. Wleźli do komory, otrzepali się jak umieli i Hal uruchomił otwieranie śluzy wewnętrznej. Potrzebna do tego była hermetyzacja komory, czyli zamknięcie zewnętrznych drzwi. Zamknęły się do połowy. Nawet poprzez skafandry czuć było wibrację silnika uruchamiającego je. Warczał przez chwilę bez żadnych efektów, po czym zapłonęła czerwona lampka awarii.

– Pył! – ryknął Tony. – Ten jebany pył dostał się do mechanizmu!

Otwarta płyta kontrolna potwierdziła przypuszczenie – pył ze smarem stworzył piękną, stwardniałą już bryłę uniemożliwiającą dopchnięcie do końca tłoków domykających śluzę. Opisanie problemu było o wiele łatwiejsze od naprawy. Mieli przy sobie zaledwie parę podstawowych narzędzi. Reszta wyposażenia była na statku. Aby się do niej dostać, trzeba było zamknąć drzwi, a żeby je zamknąć, potrzebowali narzędzi. Typowy przykład błędnego koła.

Prawie trzy godziny zajęło im usunięcie przeszkody tym, co mieli do dyspozycji -zbiorniki tlenu były puste i przez ostatni kwadrans pracowali na rezerwie. Ledwie dostali się do środka, Hal, zdjąwszy kask, padł na kolę. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Tony wmusił w niego parę łyków

lecniczej brandy z apteczki pokładowej i po jakichś dwudziestu minutach chłop wrócił do siebie.

Po powrocie z całodziennych wypraw po próbki mieli dwie do trzech godzin dla siebie. Hal był dobrym kumplem i najlepszym szachistą, jakiego Tony znał. Dość szybko zorientował się, że Hal spala się wewnątrz – roznosiła go energia, co powodowało niemożność dłuższego usiedzenia w spokoju.

Dwa dni po tym spostrzeżeniu Tony zaczął mieć problemy ze spaniem. Efektem było coraz wyraźniejsze podrażnienie nerwowe. A pył robił swoje – włączając w najdrobniejsze szczeliny doprowadzał mechanizmy do stanu równego nerwom załogi. Na dokładkę do tych wszystkich przyjemności przez cały czas musieli racjonować wodę, ciągle zatem chodzili spragnieni.

W najbliższym czasie coś musiało strzelić.

Okazało się, że Hal. Nastąpiło to osiemnastego dnia pobytu. Musiał go w końcu dobić brak snu. Zawsze sypiał nader lekko, a teraz pył i związane z nim problemy praktycznie mu to uniemożliwiły. Tony słyszał go wiercącego się w koi, gdy sam zmuszał się do snu. Spał źle i bardzo krótko, ale zawsze jakoś. Sądząc z czarnych cieni okalających oczy Hala, ten nie spał wcale. Tego dnia ubierali właśnie skafandry, gdy Hal dostał ponownie ataku drgawek. Tony wlał w niego resztę leczniczej nalewki. Gdy uspokoił się jako tako, zdołał wykrztusić urywanym głosem:

– Nie mogę... nie wytrzymam! Skafandry nie wytrzymają! – głos przeszedł w ryk. – Mogę zawieść, gdy będziemy na zewnątrz... Nie zostanę tu ani chwili... wracamy...

– Dobrze wiesz, że nie możemy. To ma trwać pełne dwadzieścia osiem dni – Tony starał się trafić mu do przekonania:

– To już tylko dziesięć dni. Możesz to wytrzymać. Ten termin jest zakodowany w pamięci maszyn. Nic się wcześniej nie ruszy, nie możemy się stąd wcześniej wydostać. Ciesz się, że nie kazali nam tu siedzieć pełnego marsjańskiego roku, aż do wzajemnego zbliżenia planet.

– Przestań głądzić i nie próbuj mnie robić w konia. Gównu mnie obchodzi, co się stanie z pierwszą walną ekspedycją. Nie zamierzam oszaleć z braku snu tylko dlatego, że jakiś zidiociały na punkcie realizmu trep chce znać odpowiedź na swoje durne wątpliwości. Jeśli nie przerwą eksperymentu, gdy im każę, to będzie morderstwo – wyskoczył z kabiny zanim Tony zdążył zareagować i dopadł pulpitu komputera. Przycisk NIEBEZPIECZEŃSTWO był tu jak zwykle do tej pory, ale sami nie wiedzieli czy tym razem jest podłączony. A jeśli nawet jest, to czy ktokolwiek odpowie na wezwanie. Hal wdusił go. Obaj spoglądali na głośnik wstrzymując oddechy. Nagle coś w nim zgrzytnęło i odezwał się zimny głos pułkownika Steghama, który wypełnił całą kabinę:

– Znacie warunki doświadczenia, a więc jakie są powody wezwania? Radzę wam, aby były naprawdę zasadne.

Hal złapał mikrofon i zaczął nieskładnie opowiadać. Ledwie zaczął, Tony wiedział, że nic z tego nie będzie. Reakcję Steghama łatwo było przewidzieć. Hal nie zdążył skończyć, gdy głośnik gwałtownie mu przerwał.

– Wystarczy. Twoje wyjaśnienia nie powodują żadnych zmian w planie. Jesteście zdani na siebie i tak pozostanie. To połączenie zostaje odcięte z chwilą obecną. Nie próbujcie się ze mną skontaktować zanim eksperyment nie zostanie skończony.

Szczęk wyłącznika był wystarczająco jasny. Hal stał jak wmurowany, po policzkach ciekły mu łzy. Dopiero gdy się odwrócił, Tony zrozumiał, że są to łzy wściekłości. Jednym szarpnięciem Tony wyrwał mikrofon i cisnął o ścianę.

– Poczekaj gnoju aż się to skończy, a poczujesz moje dłonie na swoim pierdolonym karku!

– Przynieś apteczkę! – zwrócił się nagle Hal do Tony'ego. – Pokażę temu skurwielowi, że nie tylko on może sobie lecieć w kulki z tym jebanym eksperymentem.

W apteczce były cztery strzykawki wypełnione morfiną. Hal złapał pierwszą z brzegu i wbił igłę w ramię. Tony nie próbował go powstrzymać, ponieważ zgadzał się całkowicie z postępowaniem Hala. W ciągu paru minut ten wyciągnął się plackiem na stole i zachrapał. Tony podniósł bezwładne ciało i zaniósł je na koję. Hal spał przeszło dwadzieścia godzin, a gdy się obudził ślady obłądu zniknęły z jego twarzy i wzroku. Żaden nie wspominał o tym, co się stało. Hal racjonował sobie morfinę tak, aby spać jedną noc na trzy. Nie było to wiele, ale wyglądało na to, że mu wystarcza.

Cztery dni pozostały im do końca, gdy Tony znalazł pierwsze żywe stworzenie. Było wielkości kota i przycupnęło koło wspornika. Zawołał Hala i razem przypatrywali się temu.

– Piękne – stwierdził Hal – ale w czasie swojej drugiej ekspedycji znalazłem taką puszystą kulkę, która była cudowna. Gdy ją rozciąłem, te wszystkie zębaki i obwody też były cudowne. Technicy tego gnoja odstawili kawał solidnej roboty. Nie mam ochoty tego wybebeszać. Może zostawimy to tu, gdzie jest?

Tony prawie się z nim zgodził, gdy nagle coś mu zaświtało.

– To jest prawdopodobnie to, czego od nas oczekują. Nie ma. Jak sobie gramy, to do oporu. Przynieś pojemnik.

Po krótki namyśle Hal zgodził się z nim i skoczył po pojemnik. Wibracja silnika śluzy musiała spłoszyć kolczatkę, bo ruszyła ku otwartej przestrzeni. Tony zastąpił jej drogę. Chciała go ominąć, toteż nastąpił na parę z jej nader licznych odnóży. Coś tam popękało i reszta korpusu usiłowała powlec się dalej. Celnie wymierzony kopniak położył kres tym próbom. Ostrożnie przyklęknął i podniósł parę zgruchotanych kończyn. Poprzez skórę przebijały w paru miejscach kości, a z ran ciekł mleczny płyn.

– Realizm – mruknął do siebie. – Ci technicy naprawdę wierzą w realizm.

I wtedy właśnie uderzyła go pewna myśl, której straszliwe nieprawdopodobieństwo zmroziło mu krew w żyłach. Musiał znaleźć na nią odpowiedź nawet za cenę ruiny ich spokoju. Złapał nieruchome ciało i nożem rozciął na połowę.

– Co ty u diabła robisz? – w głosie Hala było słychać niebotyczne zdumienie.

Tony'emu zrozumienie tego co widzi zajęło prawie dziesięć sekund, po czym ryknął:

– To jest żywe! Krwawi i nie ma wewnątrz mechanizmu! To nie może być żywe, a jeśli jest, to my nie jesteśmy na Ziemi! Jesteśmy na Marsie!

Usłyszawszy tę radosną wieść Hal zerwał się do biegu, lecz po paru krokach zakopał się w piasku i przewrócił. Tony rozumiał, że ma tylko jedną szansę. Jeśli mu się nie uda, to obaj tu zostaną dzięki szaleństwu Hala. Zbliżył się do wystającej postaci i całą posiadaną siłę włożył w ten właśnie cios – poniżej mostka, gdzie znajdował się zawór butli tlenowych. Ręka go zaboląła, ale Hal oklapł i osunął się bezwładnie. Wziął go pod ramiona i zaciągnął na statek. Pierwsze objawy życia zaczął dawać przy zdejmowaniu skafandra, ale problemy zaczęły się przy hibernatorze. Tony zainkasował trzy ciosy zanim opanował sytuację na tyle, aby manipulator z igłą zrobił, co trzeba. Gdy wieko pojemnika zamknęło się ze świstem, Tony osunął się na podłogę. Był wyczerpany. Całe szczęście, że hibernatory można było uruchamiać cały czas, a nie dopiero po zakończeniu misji – ot, zwykły środek zapobiegawczy w przypadkach wymagających opieki lekarskiej. Mała rzecz, a cieszy. W końcu prawda odnalazła drogę do jego świadomości – Mars istniał rzeczywiście – to nie był symulowany trening czy sucha zaprawa. To był rzeczywisty Mars, na którym on jest sam o miliony lat od świata. I z tą myślą zapadł w ciemność.

Tym razem otwierał oczy powoli i ostrożnie, obawiając się, że zamiast sali szpitalnej zobaczy

sufit kabiny. Nie zobaczył. Był w szpitalu.

Gdy odwrócił głowę zobaczył pułkownika Steghama siedzącego przy łóżku.

– Zrobiliśmy to? – spytał słabym głosem.

– Zrobiliście. Obaj. Hal leży tu po sąsiedzku.

W głosie pułkownika było coś dziwnego. Po raz pierwszy od czasu ich znajomości Stegham mówił z uczuciem innym niż złość.

– Pierwsza wyprawa na Marsa. Możecie sobie wyobrazić, co gazety piszą na ten temat. Ale są ważniejsze rzeczy. Kiedy się zorientowaliście, że to nie trening?

– Dwudziestego czwartego dnia. Znaleźliśmy jakiegoś zwierzaka. Byliśmy głupi, że zorientowaliśmy się tak późno.

– Nie tak bardzo. Cały wasz trening był tak ułożony, aby do tego nie dopuścić. Nigdy nie byliśmy pewni, czy to się uda, ale należało spróbować. Psychologowie byli zdania, że osamotnienie i dezorientacja mogą spowodować załamanie. Nigdy się z nimi nie zgadzałem.

– A oni mieli rację? – w ustach Tony'ego było to pytanie, a nie stwierdzenie.

– Teraz wiemy, że mieli rację, pomimo że zwalczałem ich cały czas. Wygrali i cały ten program został ułożony według ich wskazówek. To nie było łatwe, ale zrobili wszystko, żeby was ogłupiać jak najdłużej się dało.

– Przepraszam, stary, za to, co mi się porobiło – to był Hal z sąsiedniego łóżka.

– Jasną rzeczą jest, że wszystkie rozmowy, jakie prowadziliście ze mną były nagrane na taśmę. To znaczy moje wystąpienia szły z taśmy – przerwał mu Stegham. – Chodziło o maksymalny realizm, gdybyście coś podejrzewali. A poza tym użyliśmy odmiennej hibernacji, o której nic nie wiedzieliście – obniżenie temperatury ciała o 99 procent. To i odpowiednio spreparowane skaleczenie na twoim policzku, Tony, miały was utwierdzić w przekonaniu, że od startu minęło niewiele czasu.

– A co ze statkiem – Hal był niedoinformowany. – Widzieliśmy go... był do połowy ukończony...

– Makieta ustawiona dla publiczności i wszystkich tych ciekawskich służb wywiadowczych z sąsiedztwa. Prawdziwy został złożony i sprawdzony przeszło miesiąc przed waszym odlotem. Najtrudniejsza była kwestia dobrania załogi. To co mówiłem o wynikach testów, to była prawda. Praktycznie pozostało was dwóch. No i nie było innej rady. Psychologowie twierdzą, że następnii nie będą już mieli takich problemów. Dzięki temu, że ktoś już był na Marsie przed nimi, będą inaczej nastawieni. Rozumiecie? Chodzi o to, że nie jest to już całkowicie obcy świat – przez chwilę panowało milczenie, po czym Stegham zmusił się do wypowiedzenia następnych słów:

– Chciałbym, żebyście zrozumieli obaj,... że wołałbym lecieć..., sam niż wykręcać wam ten numer. Wiem, co musieliście czuć. To tak, jakbyśmy zrobili coś...

– Jak międzyplanetarny, praktyczny dowcip – mruknął Tony. – Tyle że dość słaby.

– Tak, coś w tym stylu. Mam nadzieję, że rozumiecie. To było nie fair, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Wy dwaj byliście jedynymi, wszyscy inni odpadli w testach. To musieliście być wy, a chcieliśmy, żeby odbyło się to w maksymalnie bezpieczny sposób. O tym, co się działo, wiedziałem tylko ja i trzech innych ludzi. Nikt inny nigdy się o tym nie dowie. Gwarantuję wam to.

Głos Hala był cichy, ale ciął jak ostrze noża:

– Może pan być pewien, pułkowniku, że MY nikomu o tym nie powiemy.

Gdy pułkownik Stegham wychodził, miał nisko zwieszoną głowę – nie mógł się zdobyć na to, aby spojrzeć w oczy pierwszym dwóm badaczom Marsa...

Wcześniej czy później roboty będą budowane tak, aby ich konstrukcja była maksymalną pomocą przy spełnianiu określonych zadań. Ciało ludzkie z dwójgiem dość wysoko powożonych oczu, z chwytnymi palcami umieszczonymi na końcach długich i giętkich wysięgników i dwupunktowy system poruszania się po każdym terenie, będzie z całą pewnością przyjęte za podstawę przy konstrukcji robotów. Będą to maszyny wyglądające jak ludzie – ale to nie będą metalowi ludzie. Nie jest to łatwe rozróżnienie. O wiele łatwiej jest sądzić i rozróżniać tak, jak jest to do tej pory przyjęte – że maszyna jest bezduszną, martwą konstrukcją. Ale roboty nie będą martwe – wręcz przeciwnie – będą pod każdym względem jak najbardziej żywe. Będą to maszyny androidalne i ludzie muszą zacząć o nich myśleć jako o następnej klasie istot człekopodobnych...

Aksamitna rękawiczka

Jon Venex włożył klucz w otwór hotelowych drzwi. Poprosił o duży pokój – największy w całym hotelu – zapłacił za to zresztą portierowi extra. Drzwi otwały się i na widok wnętrza odetchnął z ulgą. Pokój był większy niż oczekiwał – pełne trzy stopy na pięć. W takim miejscu mógł dać odpocząć nogom, a to znaczyło, że do rana będzie jak nowy. W tylnej ścianie był hak, na którym zawiesił się za pomocą kółka na karku i paroma energicznymi kopniakami doprowadził do tego, że zwiślał swobodnie nad podłogą. Nogi odpoczywały, toteż z ulgą odłączył zasilanie od pasa w dół. Przeciążony motor musi ostygnąć zanim będzie w stanie do niego się zabrać, toteż spokojnie skupił się na czytaniu gazety. Żyjąc w ciągłym strachu przed bezrobociem, zaczął od działu ogłoszeń "Pomoc potrzebna – roboty". W dziale "Specjalistów" nie było nic dla niego, a ogólnie było gorzej niż źle – nawet "Robotnicy niewykwalifikowani" nie obiecywali niczego porządnego. Zdecydowanie Nowy Jork był tego roku złym miejscem dla robotów. Po ogłoszeniach zajął się komiksami. Miał nawet swój ulubiony, choć ledwie przyznawał się do tego sam przed sobą. Nazywało się to "Raftły Robot", a jego bohaterem był przygłupawy, mechaniczny błazen, mający rzadkie zdolności do pakowania się z jednej kabały w drugą. Było to, rzecz jasna, karykaturalne ujęcie robota, ale czasami bywało zabawne.

Zabierał się właśnie za kolejny odcinek, kiedy zgasło światło. Była 22.00 – czas wyłączenia dla robotów. Należało się gdzieś zamknąć i włączyć dopiero o 6.00 rano – osiem godzin nudy i ciemności dla wszystkich, poza paroma nocnymi stróżami. Ale na wszystko są sposoby. Ten przepis prawny, jak zresztą prawie wszystkie, miał lukę – pojęcie światła nie było w nim sprecyzowane. A więc spokojnie odsunął parę przysłon swego reaktora i czytał dalej w promieniach podczerwonych.

Czujnikiem umieszczonym na czubku palca wskazującego lewej ręki sprawdził temperaturę nogi – ostygła na tyle, że można było zabrać się za jej naprawę. Wodoodporna skóra rozsunęła się, ukazując druty nerwów, kable mocy i staw kolanowy. Rozłączywszy nerwy delikatnie odłączył nogę ponad kolanem, po czym położył ją na półce przed sobą. Z czułością z wewnętrznej kieszeni wyciągnął części zapasowe i narzędzia – były one efektem oszczędności ostatniej, trzymiesięcznej pracy na świńskiej farmie w Jersey.

Sprawdzał właśnie nowe kolano, stojąc na jednej nodze, gdy światło w pokoju rozbłysło ponownie. 5.30, minął czas wyłączenia, a on skończył na czas. Dawka oliwy dopełniła dzieła. Schował narzędzia, odblokował zamek i ruszył ku wyjściu. Winda była od dawien dawna nieczynna, a schody w nie najlepszym stanie, toteż ruszył ostrożnie w dół, trzymając się cały czas ściany. Jego nowe kolano było jeszcze nie dotarte, a na następne nie było go stać. Na siedemnastym pięttrze zwolnił jeszcze bardziej, gdyż za nim pojawiły się dwa inne roboty. Były najprawdopodobniej z rzeźni – zamiast prawych dłoni miały długie na stopę noże. Gdy zbliżyły się do końca schodów, wsunęły je w plastikowe pochwy na piersiach. Jon podążył za nimi do hallu. Pomieszczenie było zatłoczone do granic możliwości robotami wszelkich możliwych rodzajów, kształtów i barw. Jego wysokość pozwalała mu rozejrzeć się nad głowami większości obecnych i przez szklane drzwi wyjrzeć na ulicę. W nocy padało, a teraz czerwone promienie słońca odbijały się w kałużach. Trzy białe pomalowane roboty – znak nocnej zmiany – weszły do hallu, ale nikt z niego nie wyszedł – prawo zabraniało tego przed punkt 6.00. Zgromadzony tłum rozmawiał przyciszonymi głosami, lekko falował. Jediną ludzką istotą był nocny portier pochrapujący za kontuarem. Zegar nad jego głową wskazywał 5.55. Odwracając wzrok od jego tarczy, Jon dostrzegł potężnego, czarnego robota, wymachującego ku niemu. Potężne ramiona i compact identyfikacyjny wskazywały na członka rodziny Digerów – jednej z najliczniejszych. Ten przepchnął się tymczasem przez tłum i klepnął Jona w

plecy.

– Jon Venex! Wiedziałem, że to ty, ledwie zobaczyłem to cielsko górujące nad tłumem jak zielone drzewo. Nie widziałem cię od dawnych, dobrych dni na Wenus!

Jon nie musiał sprawdzać numeru widniejącego na podrapanej plakietce na piersiach. Alec Diger był jedynym jego bliskim przyjacielem przez trzynaście nudnych lat w Obozie Orange Sea. Świetny szachista i gracz w siatkówkę. Uścisnęli sobie dłonie z dodatkowym akcentem oznaczającym przyjaźń.

– Alec, ty przerośnięty koszu na śmieci! Co cię przygnało do Nowego Jorku?

– Nieodparta potrzeba zobaczenia czegoś poza deszczem i dżunglą, jeśli chcesz wiedzieć. Po tym jak się wykupiłeś, zrobiło się tak nudno, że zacząłem w tej zaszrańczonej dziurze z diamentami robić dwie zmiany w ciągu jednego dnia, a przez ostatni miesiąc nawet trzy, żeby mieć forszę na wykup kontraktu i przyjazd na Ziemię. Byłem tak długo pod ziemią, że gdy wyszedłem na powierzchnię przepaliła mi się fotokomórka w prawym oku – przy tych słowach pochylił się i szepnął:

– Jeśli chcesz znać prawdę, to miałem sześćdziesięcio-karatowy diament za soczewką. Sprzedałem go tu za dwieście kredytów, co dało mi sześć miesięcy wakacji, ale to już, cholera, przeszłość. Teraz idę z bezrobotnymi szukać zajęcia. A co z tobą?

– Jak zwykle. Najrozmaitsze zajęcia dopóki nie trzepnął mnie autobus. Uszkodziłem sobie kolano. A jedyną robotą, jaką mogłem znaleźć z niesprawną nogą, było napełnianie koryt w świńskiej farmie. Zarobiłem tyle, żeby sprawić sobie nowe, no i jestem tutaj.

Alec wskazał na rdzawego, trzystopowego robota, który cicho pojawił się za jego plecami.

– Jeśli uważasz, że masz kłopoty, to przypatrz się Dikowi. Dik Drryer – poznaj Jona Venexa, mojego starego kumpla.

Jon przysunął się, aby uścisnąć dłoń małego robota i doznał szoku. To co brał za farbę ochronną, było warstwą rdzy pokrywającą cały korpus Dika. Alec zdarł jej fragment z małego automatu i jego głos nagle spowaźniał.

– Dik był pomyślany do prac na pustyni Marsa. Tam jest sucho jak w piecu, toteż firma zaoszczędziła na nierdzewnej stali, a kiedy zbankrutowała, został sprzedany jakiemuś przedsiębiorstwu w mieście. Gdy rdza zaczęła go zżerać, oddali mu kontrakt i wyrzucili na bruk.

– Nikt nie wynajmie mnie w takim stanie – odezwał się mały robot piskliwym głosem. – A ja nie mam pieniędzy na naprawę nie mając zajęcia. Idę do kliniki. Mówili, że może będą mogli mi pomóc.

Słowom towarzyszył przykry skrzyp, gdy uniósł rękę. Alec Diger trzasnął się w pierś, aż zadudniło.

– Nie licz na nich za bardzo. Są wspaniali jak chodzi o darmowe dziesięciokredytowe bańki z olejem czy też trochę drutu. Ale nie licz na nich, gdy chodzi o coś poważnego.

Była już 6.00 i tłum robotów wyruszył na cichą jeszcze ulicę, toteż dołączyli do nich. Jon dostosował tempo do szybkości małego robota, który poruszał się nieregularnymi szarpnięciami, a jego głos był równie przerywany i skrzypiący jak ruchy.

– Jon Venex, nie kojarzę imienia twojej rodziny. To ma chyba coś wspólnego z Venus...

– Zgadza się. Venus Eksperymental, w rodzinie jest nas tylko dwudziestu dwóch. Mamy wodoodporne i wytrzymałe na ciśnienie ciała do pracy na dnie morza. Pomysł był niezły i robiliśmy, co do nas należało, tylko nie było wystarczającej gotówki z drażenia kanałów, żeby trzymać nas wszystkich na chodzie. Ten mój oryginalny kontrakt wykupiłem za pół ceny i stałem się wolnym robotem.

– Bycie wolnym nie jest... takie, jak powinno być. Czasami... myślę, że Akt Równouprawnienia

Robotów nie powinien być uchwalony. Chciałbym być czyjąś... własnością z warsztatem i taczka... górą części zamiennych.

– Opowiadasz, Dik – Alec objął go potężnym ramieniem. – Sprawy nie idą wyśmienicie, to fakt. Ale jest o niebo lepiej niż dawniej. Byliśmy tylko kupą mechanizmów wykorzystywanych dwadzieścia cztery godziny na dobę i wyrzucanych, gdy byliśmy już zużyci. Dziękuję, nasram! Wolę sam borykać się z moimi problemami w takim stanie rzeczy, w jakim się one znajdują.

Pożegnali się z Dikiem, który wolno szedł w dół ulicy i skręcili do biura zatrudnienia. Przepchnęli się do kolejki przy rejestracji i zajęli się studiowaniem ogłoszeń przypiętych do tablicy. Uwagę Jona zwróciło jedno z nich, obwiedzione czerwoną obwódką:

POTRZEBNE ROBOTY NASTĘPUJĄCYCH RODZIN
ZATRUDNIENIE NATYCHMIASTOWE
CHAINJET LTD. 1219 BROADWAY
FASTEH
FLYER
ATOMMEL
PILMER
VENEX

Podniecony stuknął Aleca w ramię.

– Zobacz, potrzebują robota w mojej specjalności. Mogę dostać normalną gażę. Zobaczymy się w nocy, w hotelu. I powodzenia w twoim polowaniu.

– Miejmy nadzieję, że ta praca będzie taka, jak myślisz. Nigdy nie wierzę w te historie, dopóki nie mam w garści swoich kredytów – po czym Alec pomachał mu na pożegnanie.

Jon maszerował szybko wzdłuż długich kwaterów bloków rozmyślając sobie, że nieufność Aleca jest lekką przesadą – nie można przecież ciągle oczekiwać, że ktoś da ci w łeb. A poza tym dzień zapowiadał się przyjemnie i ta perspektywa zajęcia... Skręcając za róg zderzył się z biegnącym z przeciwka człowiekiem, co gwałtownie przerwało jego błogie rozmyślanie. Jon stanął natychmiast, ale nie miał czasu, aby uskoczyć. Gruby jegomość wpadł na niego i runął na chodnik. Jonem zatrzęsło – zranił człowieka! Schylił się, chcąc mu pomóc wstać, ale inicjatywa ta spotkała się z wręcz odwrotnym od zamierzanego skutkiem. Grubas odtrącił podaną mu rękę i rozdarł się piskliwie.

– Policja! Pomocy! Zostałem napadnięty... szalony robot... Pomocy!

Wokół zaczęli gromadzić się gapie – w należytej na razie odległości, ale gniewne pomruki świadczyły jednoznacznie po czyjej są stronie. Jon stał jak sparaliżowany, podczas gdy przez gęstniejący tłum przepchnął się policjant.

– Niech go pan aresztuje albo lepiej zastrzeli... uderzył mnie... prawie zabił... – ciąg dalszy tych wrzasków zamienił się w niezrozumiały bełkot.

Policjant dobył swej siedemdziesiątki i przystawił Jonowi do boku.

– Ten człowiek oskarża cię o poważne przestępstwo, śmieciu. Zabieram cię na posterunek ! – oświadczył, machając jednocześnie bronią, aby tłum dał im przejście.

Ten odpowiedział wolnym ruchem w bok i głośnymi wyrazami niezadowolenia. Myśli Jona wirowały pod czaszką jak szalone. Nie mógł powiedzieć prawdy, bo oznaczałoby to nazwanie człowieka kłamcą, a to stało w jawnej sprzeczności z zasadami robotyki. Od początku roku miało miejsce sześć przypadków samospalenia robotów, a gdyby zaczął mówić prawdę, byłby siódmym. Zdominowało go uczucie rezygnacji – jeśli człowiek utrzyma oskarżenie w mocy, będzie to oznaczało

obóz karny, a tego, jak sądzi, nie przeżyłby...

– Co tu się dzieje? – odezwał się nagle grzmiący bas, na który prawie wszyscy się odwrócili.

Potężna kontenerowa ciężarówka stała przy krawężniku, a z kabiny przez tłum przedzierał się ku nim kierowca.

– To mój robot Jack i bądź łaskaw mi go nie dziurawić – wrzasnął na widok policjanta z bronią w dłoni. – Ten grubszy tu, jest skończonym łgarzem – kontynuował nowo przybyły. – Robot stał sobie tu czekając, aż zaparkuję. Ten grubszy musi być równie ślepy jak głupi. Widziałem całe zajście. Wpadł na robota i wywalił się, a potem zaczął wrzeszczeć na policję.

Słuchając tego grubas miał dość – z poczerwieniałą nagle twarzą ruszył wściekle wywijając pięściami. Pięści te zresztą nie osiągnęły celu. Dłoń kierowcy bowiem wylądowała na jego twarzy i gość siadł powtórnie na chodniku. Widzowie ryknęli śmiechem i robot poszedł w zapomnienie. Nawet policjant uśmiechał się chowając broń i starając się rozdzielić walczących. Kierowca tymczasem obrócił się ku Jonowi i wrzasnął:

– Właź na wóz! Jak na jeden dzień i tak narobiłeś wystarczającego zamieszania, ty śmieciu!

Tłum podśmiechiwał się jeszcze, gdy weszli do kabiny i potężne diesle zagłuszyły głosy.

Jon poruszył ustami, ale był zbyt zaskoczony, aby się odezwać. Dlaczego ten obcy facet pomógł mu? Słyszał, że nie wszyscy ludzie są im przeciwni. Kierowca musiał właśnie należeć do tej drugiej grupy, która uważała roboty za istoty, a nie za maszyny. Tenże tymczasem prowadząc ostrożnie jedną ręką pojazd, drugą sięgnął pod deskę rozdzielczą i podał mu plastikową broszurę zatytułowaną "Roboty – niewolnicy świata ekonomii", napisaną przez Philpotta Asimova II.

– Jeśli cię złapią czytającego to – uprzedził go uprzejmie – to zniszczą cię na miejscu. Najlepiej noś to pomiędzy powłoką a generatorem, żebyś w każdej chwili mógł to spalić. Czytaj wtedy, gdy jesteś sam. Jest tam masa rzeczy, o których nie masz pojęcia. Roboty wcale nie są gorsze od ludzi, a w wielu sprawach są od nich lepsze. Jest też tu trochę historii świadczącej o tym, że roboty wcale nie są pierwszymi, którzy są traktowani w ten sposób – jako istoty niższej kategorii. Może będzie ci trudno w to uwierzyć, ale kiedyś jedni ludzie traktowali innych w taki sam sposób, jak teraz traktuje się was. To zresztą jeden z powodów, dla których jestem w tym ruchu – coś tak, jak ten facet, który spalił się pomagając innym wydostać się z ognia. Jadę na US-1, wyrzucić cię gdzieś po drodze?

– Przy Chainjet, jeśli można. Szukam pracy.

Reszta drogi upłynęła w milczeniu, ale przed opuszczeniem wozu kierowca uściśnął mu dłoń.

– Przepraszam, że nazwałem cię śmieciem, ale tłum oczekiwał tego – stwierdził i nie oglądając się odjechał.

Jon czekał pół godziny na swoją kolej, ale w końcu dostał się do pokoju przesłuchań. Za transplastikowym biurkiem siedział nieprzyjemny mały człowiek z wyrazem stałego przestachu na obliczu i przekładał z miejsca na miejsce papiery coś pisząc na marginesach. Rzucił na Jona krótkie spojrzenie i warknął:

– Tak. Szybko. Czego chcesz?

– Umieściliście ogłoszenie. Ja...

Przerwało mu niecierpliwe machnięcie ręki.

– Dobra, pokaż kartę identyfikacyjną... szybciej, inni czekają.

Jon odczepił plaketkę od nadgarstka i podał mu przez stół. Facecik odczytał numer i zaczął go sprawdzać w długim wydruku. Nagle przestał i przyjrzał się uważnie Jonowi.

– Pomyliłeś się. Nie mamy dla ciebie zajęcia.

Tłumaczenie, że figurowała tam jego specjalność zostało przerwane następnym niecierpliwym machnięciem. Oddając mu plakietkę mężczyzna wyciągnął nagle spod stołu kartkę i potrzymał przez sekundę przed jego oczyma wiedząc, że wiadomość zostanie natychmiast utrwalona w fotograficznej pamięci robota, po czym wrzucił ją do popielniczki i podpalił. Jon przypiął identyfikator i wychodząc na ulicę odczytał sobie spokojnie te kilka linijek tekstu bez podpisu, które tkwiły w jego pamięci: Do robota z rodziny Venex. Jesteś pilnie potrzebny do ściśle tajnego projektu kompanii. Podejrzewa się, że istnieje podsłuch w głównych biurach, dlatego zatrudnia się ciebie w ten nietypowy sposób. Zgłoś się natychmiast na 787 Washington Street i spytaj o Mr Colemana.

Odetchnął z ulgą – obawiał się już, że był to znowu fałszywy alarm. A tymczasem trochę nietypowy, ale dość często stosowany przez duże kompanie chwyt dla zachowania tajemnicy. Nadal miał szansę na pracę

Szary kadłub podnośnika poruszał się miarowo wzdłuż ściany starego magazynu, układając paki w sięgające sufitu kominy. Na pytanie Jona wskazał schody przyczepione do tylnej ściany.

– Jego biuro jest z tyłu, ma zresztą tabliczkę na drzwiach – poinformował go, po czym przyłożył koniuszki palców do ucha Jona i zniżył głos do najłżejszego śladu szeptu. Dla człowieka byłby niesłyszalny, ale dla Jona tak, gdyż dźwięk był przenoszony przez metalowe części mówiącego.

– To najgorszy ze złych, jakich do tej pory mogłeś spotkać. Nienawidzi nas, toteż jeśli chcesz coś uzyskać, to bądź przesadnie grzeczny. Jeśli uda ci się użyć pięć razy sir w jednym zdaniu, to może ci się udać.

Wymienili porozumiewawcze mrugnięcia i Jon ruszył na poszukiwanie biura. Nie było to daleko. Poszukiwane drzwi znajdowały się na dole straszliwie brudnych schodów. Zapukał delikatnie.

Coleman był rozlazłą i nijaką osobowością w konserwatywnym, czerwono-żółtym ubraniu. Rozpoczął od porównania i sprawdzenia Jona w Generalnym Katalogu Robotów. To co tam znalazł, musiało go najwyraźniej usatysfakcjonować, bo zamknął go z trzaskiem.

– Dawaj identyfikator i stań tyłem przy tej ścianie. Musimy cię sprawdzić.

Jon położył co miał na stole i ruszył we wskazanym kierunku mówiąc jednocześnie:

– Yes, sir. Tu, sir?

Dwa razy sir w pierwszych dwóch zdaniach to całkiem niezłe, pomyślał, zastanawiając się, jak można by umieścić ich pięć w taki sposób, aby nie dać człowiekowi do zrozumienia, że jest robiony w durnia. Z niebezpieczeństwa zdał sobie sprawę o mgnienie za późno. Pole potężnego elektromagnesu, umieszczonego za ścianą, rozpląszczyło jego metalowy korpus. Znalazł się na ścianie nie będąc w stanie wykonać żadnego ruchu. Coleman omal nie tańczył z radości.

– Mamy go, Duca. Wygląda jak gówno na skale. Nie może ruszyć choćby jednym motorem. Przynies tu swoje śmieci i załatw, co masz – rzucił radośnie w intercom.

Duca nosił kombinezon mechanika i skrzynkę z narzędziami na plecach. Na długość wyciągniętej ręki trzymał czarne, metalowe opakowanie najwyraźniej starając się być od niego tak daleko, jak to tylko było możliwe.

– To nie wybuchnie dopóki nie jest uzbrojone, ty durniu – wrzasnął na ten widok Coleman. – Przestań zachowywać się jak dziecko. Załóż mu to na nogę i po kłopotcie!

Pogwizdując pod nosem Duca umieścił ładunek parę cali nad jego kolanem. Coleman sprawdził zabezpieczenie i wyjął z szuflady stalowo połyskujące pudełko z czarnym przyciskiem na wieczku. Dołączył kabel, który później dołączył do ładunku i coś pomajstrował przy nodze. Coś trzasnęło, gdy

bomba uzbroidła się i wszystko zostało zwinięte. Jon mógł tylko obserwować i kląć własną głupotę, która władowała go w całą tę sprawę. Pole magnetyczne nagle ustąpiło i jego silniki, nastawione na opór, pchnęły go w stronę Colemana. Ten natychmiast dotknął przycisku.

– Tylko nie podskakuj, rupieciu. To jest detonator tego, co masz na nodze. Jeden ruch mego kciuka i zostanie z ciebie kupa rozwalonego po podłodze złomu – ostrzegł go i wskazał na Duca, który otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. – A na wypadek, gdyby obudził się w tobie bohater, to pomyśl sobie o nim.

Na podłodze leżała brudna sterta łachmanów, w której z pewnym wysiłkiem można było dopatrzeć się istoty ludzkiej, której jedynym zainteresowaniem była flaszka whisky dzierzona w dłoni. Bez większego trudu dawał się natomiast zauważyć przypięty do jego piersi czarny obiekt, identyczny z tym, który Jon miał na nodze. Coleman kopnął drzwi i odezwał się:

– To śmieć z Bovery, Venexie, ale nie sądzę, żeby tobie robiło to jakkolwiek różnicę. Jest nadal człowiekiem, którego robot nie może zabić przez swoje postępowanie, nie? Jego bombka jest nastawiona na tą samą częstotliwość, co twoja. Jak zaczniesz grać sobie z nami w kulki, to on zamiast brzucha będzie miał dwustopową dziurę. Nie sądzę, aby to przeżył.

Coleman miał rację. Jon nie mógł zrobić żadnego fałszywego ruchu. Cały jego trening łącznie z zapieczętowanym obwodem dziewięćdziesiątym drugim uniemożliwiał jakiekolwiek zachowanie, którego skutki mogłyby okazać się niebezpieczne dla człowieka. Z nie znanych mu powodów złapano go w pułapkę. Coleman tymczasem odciągnął dywan i wskazał mu nieregularną dziurę widniejącą w podłodze.

– Tunel, który tu się zaczyna jest w dobrym stanie na odcinku najbliższych trzydziestu stóp. Dalej jest obwał. Masz go oczyścić i, jeśli będzie trzeba doprowadzić do otworu odpływowego na nabrzeżu. Potem tu wróc i radzę ci, żebyś był sam, bo w przeciwnym razie obaj wylecicie w powietrze.

Tunel był wydrążony fachowo i podparty skrzyniami z magazynu. Kończył się gwałtownie ścianą świeżego piachu i kamieni. Jon zaczął ładować to, co w nim leżało w mały wózek na kółkach, który stał w tunelu. Opróżnił go około czterech razy i był w trakcie ponownego napełniania, gdy odkrył rękę. Dłoń robota wykonaną z zielonkawego materiału.

Włączył lampę i zbadał ją dokładniej. Bez wątpienia była to kończyzna robota z rodziny Venex. Szybko, ale nader ostrożnie odgarnął znajdujące się za nią rumowisko i odkopał resztę robota. Kadłub był zgnieciony, stos nie istniał, a kwas z baterii wypływał przez brzydkie rozdarcie w prawym boku. Delikatnie rozłączył pozostałe druty i odłożył na bok jeszcze całą głowę. Była zupełnie ciemna i cicha, ale istniała jeszcze nadzieja. Oskrobywał właśnie z błota identyfikator, gdy do tunelu opuścił się Duca z silną latarką.

– Zostaw to gównno i weź się do roboty – wrzasnął – albo skończysz jak on. Ten tunel musi być skończony dziś w nocy!

Jon załadował szczątki na wózek i przepchnął cały ładunek ku przodowi tunelu, rozmyślając nad sytuacją. Martwy robot, szczególnie z własnej rodziny, to tragiczna rzecz, ale z tym było coś nie tak. Na plakietce znalezionej identyfikatora był numer siedemnaście, a on sam doskonale pamiętał ten nieszczęsny dzień, w którym podwodny wybuch zabił Venexa właśnie z numerem siedemnastym w głębinach Orange Sea.

Cztery godziny zajęło mu doprowadzenie tunelu do starego, granitowego nabrzeża i rozszerzenie istniejącego otworu do wielkości umożliwiającej przejście. Zrobił to przy użyciu krótkiego łomu, jaki dał mu Duca. Gdy wspiał się z powrotem do biura, starał się wyglądać na zmęczonego, aby

opuszczenie łomu przy nogach i spoczynek na kupie gąbki w rogu był jak najbardziej naturalny. Ułożył się w miarę wygodnie i zabrał za głowę Venexa Siedemnastego. Coleman sprawdził czas i z pomrukiem satysfakcji odezwał się.

– Słuchaj no ty, zielony śmieciarzu. O 19.00 wykonasz pewne zadanie, przy którym nie będzie żadnych dowcipów. Pójdiesz tunelem i nabrzeżem aż do Hudson River. Wylot, jak sam wiesz, jest zalany przy przyptywie, toteż nikt cię nie zobaczy. Po dnie przejdiesz dwieście jardów na północ, co powinno cię doprowadzić dokładnie pod nasz statek. Zresztą w tej okolicy i tak stoi tylko jeden. Trzymaj oczy otwarte, ale nie używaj światła! Gdzieś w połowie prawej burty znajdziesz zwisający łańcuch. Wleziesz na niego, odczepisz paczkę, która jest do niego przymocowana i przyniesiesz ją tutaj. Żadnych pomyłek, bo wiesz, co będzie.

Jon skinął głową nie przestając zajmować się uporządkowaniem różnych kolorowych kaabli sterczących z rozwalonej szyi. Gdy mu się to wreszcie udało, zapamiętał je i porównał z kodem we własnej osobie. Dwunasty był głównym zasilającym, a szósty zwrotnym. Oddzielił te dwa i rozejrzął się niewinnie po pokoju.

Duca spał na krześle, Coleman gadał z kimś przez telefon, a z boku pobrzękiwało sobie radio. Jak długo Duca spał, jego ciało zasłaniało widok Colemanowi, co umożliwiało spokojne zajmowanie się głową. Uruchomił gniazdo w przedramieniu, w którym było wejście do zasilania bateryjnego używane przy różnych narzędziach napędzanych elektrycznie. Wodoodporna skóra odsunęła się z cichym szcęknięciem i powoli wsunął druty w gniazdo. Jeśli głowę odłączono od zasilania nie więcej niż trzy tygodnie temu, to był w stanie ją reaktywować. Każdy robot miał zamontowaną minibaterię w mózgu, której odpowiednie natężenie prądu umożliwiało zachowanie umysłu przy życiu przez cały ten okres. Sam umysł pozostawał w nieświadomości, dopóki nie zwiększyło się natężenie prądu, co robił właśnie teraz w nader delikatny sposób. Krótkie oczekiwanie i nagle otwarte oczy Siedemnastego zamknęły się. Gdy ponownie się otwarły, był w nich charakterystyczny blask oznaczający powrót inteligencji. Omiotły pokój jednym spojrzeniem i zatrzymały się na Jonie. Prawa dłoń zamknęła się gwałtownie, podczas gdy palce lewej zaczęły drgać spazmatycznie w dość dziwny sposób. Był to międzynarodowy kod robotów przesyłany tak szybko jak szybko był w stanie operować solenoid. Wiadomość głosiła:

– Telefon... zadzwoń do dyżurnego operatora... powiedz “sygnał 14” pomoc będzie...

Drganie urwało się w połowie grupy kodowej, a blask w oczach zgasł. Przez sekundę Jon był przerażony, zanim nie zrozumiał, że tamten świadomie odciął zasilanie. Chrapliwy głos Duca zabrzmiał mu w samo ucho.

– Co ty z tym wyprawiasz? Znowu jakieś wasze kurewskie sztuczki? Znam was, wy kurwy jedne, zawsze... – jego głos zmienił się w nieartykułowany bełkot.

Nagle błyskawicznym kopniakiem posłał głowę Venexa Siedemnastego w kąt pokoju. Głowa odbiła się od ściany i poturlała z powrotem, zatrzymując się przy nogach Jona. Tylko istnienie obwodu dziewięćdziesiątego drugiego powstrzymało Duca od wstąpienia na drogę, którą bez wątpienia zasłużenie kroczyli jego przodkowie. Gdy Jon odzyskał władzę nad własnym ciałem (po przejściu fali wściekłości) stali naprzeciw siebie jak skamieniali. Nabrzmiałą grozą ciszę przeciął ostry głos Colemana:

– Duca, przestań się z nim zabawiać i idź do magazynu wpuścić Małego Williego i jego chłopaków. Potem będziesz miał na to dość czasu.

Duca, klnąc pod nosem zrobił, co mu kazano, a Jon opadł na gumowe szczątki analizując te parę faktów, które znał. Zawiadomienie dyżurnego operatora oznaczało, że nie jest to lokalna sprawa, tylko rzecz, o której wiedzą władze. Tylko i wyłącznie rząd mógł się kryć za tak poważną sprawą.

Sygnal "14" oznaczał natychmiastową akcję wojskową – co oznaczał bliżej, tego nie wiedział nikt poza bezpośrednimi organizatorami. Jedyne co mógł zrobić, to wykonać ten telefon. I to szybko, ponieważ Duca chciał sprowadzić tu więcej ludzi. Jeśli miał coś zrobić, to tylko przed ich przybyciem. Nawet gdy ten łańcuch myślowy formułował w jego umyśle logiczny obraz, to jego ręce zajęte były gwałtowną działalnością – odłączeniem nogi z ładunkiem w stawie biodrowym. Gdy trzymała się już tylko na zatyczce, powoli wstał i ruszył w stronę biurka.

– Mr Coleman, sir, czy nie czas, abym udał się już na statek, sir? – spytał powoli zbliżając się do biurka.

– Masz jeszcze trzydzieści minut. Siadaj spokojnie, powi...

Słowa urwały się gwałtownie. Jaki szybki nie byłby refleks ludzki, zawsze będzie o całe niebo powolniejszy niż refleks maszyny. W przeciągu sekundy, gdy Coleman zdawał sobie sprawę z gwałtownego ruchu Jona, ten zrobił to, co zamierzał – odłączył nogę i schylając się nad biurkiem wsadził ją jednocześnie za spodnie siedzącego mężczyzny, krzyząc prosto w ucho:

– Zabijesz się, jeśli naciśniesz guzik!

Miało to zaiste piorunujący efekt. Palec Colemana wstrzymał się zanim dotknął przycisku, a jego właściciel wlepił osłupiałe spojrzenie w czarny pojemnik tkwiący na wysokości jego piersi. Jon nie czekając na reakcję chwycił porzucony łom i w podskokach ruszył ku zamkniętej komórce. Wsunął łom między drzwi i framugę i nacisnął. Coleman zaczął wyciągać sobie bombę z gaci, ale było już po wszystkim. Drzwi pękły, a Jon jednym szarpnięciem przerwał pasy przytrzymujące ładunek na ciele pijaka i rzucił na biurko Colemana, przygotowując mu kolejne zmartwienie. Stracił nogę, ale usunął zagrożenie nie narażając ludzkiego życia.

Teraz musiał dostać się do telefonu i zadzwonić. Coleman sięgnął do szuflady po broń, a głosy nadchodzących odcinały drogę przez drzwi. Jediną możliwością ucieczki było przeszklone okno wychodzące na wewnętrzny dziedziniec magazynu.

W kaskadzie lecących na wszystkie strony szczątków Jon Venex wypadł przez szybę ścigany rykiem siedemdziesiątkipiątki. Jakiś kawałek metalu oderwał się po nim od framugi, a inna kula zrykoszetowała mu na głowie, gdy wspinał się ku tylnym drzwiom magazynu. Był niespełna trzydzieści stóp od nich, gdy zatrzasnęły się ze świstem powietrza. Musieli zablokować wszystkie wyjścia, a tupot stóp po betonie wskazywał, że zamierzali ich też pilnować.

Spojrzał w górę, gdzie płatanina wsporników i podpór sięgała dachu. Dla ludzkiego oka była ona pogrążona w mroku, ale jego sensory podczerwieni radziły sobie zupełnie dobrze przy ciepłym wydzielnym przez mury. Pogoń zbliżała się, a wkrótce zacznie się przeszukiwanie magazynu, toteż jego jedyną szansą ucieczki była góra. W dodatku na ziemi powstrzymywał go brak nogi – na tej pajęczynie mógł poruszać się o wiele szybciej używając rąk.

Był właśnie na jednym ze skrzyżowań wsporników, gdy gardłowy ryk z dołu i seria kul rykoszetujących dziko wokół niego poinformowały go, że został odkryty. Cicho rozpoczął wędrówkę ku tyłowi budynku. Będąc chwilowo bezpiecznym, rozejrzał się. Ludzie byli rozrzućeni szeroką ławą po magazynie i odnalezienie go było tylko kwestią czasu. Drzwi były zamknięte, a budowla pozbawiona była okien, także tą możliwością miał z głowy. Gdyby mógł zadzwonić, nieznanemu przyjacielowi Venexa Siedemnastego pospieszyliby z pomocą, ale jedyny telefon w całym budynku stał na biurku Colemana. Sprawdził to śledząc kable. Odruchowo spojrzał na biegnące nad głową kable w plastikowej osłonie przymocowane do ścian – prąd i telefon.

Linia telefoniczna!

To przecież było wszystko, czego potrzebował, żeby zadzwonić. Błyskawicznymi, dokładnymi

ruchami sięgnął w górę i odsłonił część kabla z izolacji. Omal nie roześmiał się wyciągając z lewego ucha mały minifon. Teraz był jeszcze na pół głuchy – niech ktoś stwierdzi, że nie poświęca się dla sprawy! Podłączył go do linii i sprawdził, czy ktoś z niej korzysta. Na szczęście mieli pilniejsze zajęcia. Posłał jedenaście dokładnie modulowanych sygnałów, które powinny go połączyć z tutejszym dyżurnym i umieścić minifon, jak tylko mógł najbliżej swoich ust.

– Halo dyżurny, halo dyżurny, nie mogę cię usłyszeć, więc nie odpowiadaj. Zadzwoń do operatora dyżurnego – sygnał 14, powtarzam – sygnał 14!

Powtarzał to dopóki poszukujący nie znaleźli jego kryjówki, po czym zsunął się niżej, zostawiając minifon na drucie. Otwarte połączenie mogło znacznie przyspieszyć dokładne umiejscowienie połączenia, a w panujących na górze ciemnościach nie powinni go zauważyć. Przeszedł najdalej jak mógł od tego miejsca. Ucieczka była niemożliwa, toteż jedyną rzeczą jaką mógł zrobić, to zyskać na czasie.

– Mr Coleman, przepraszam, że uciekłem – z głośnikiem nastawionym na pełną moc, jego głos zabrzmiał w hali jak grom. – Jeśli pozwoli mi pan wrócić i nie zabije, zrobię, co pan chce. Bałem się bomby, ale teraz bardziej boję się strzelb.

Brzmiało to cholernie naiwnie, ale wątpił, aby ktoś tam w dole zadał sobie trud, aby się nad tym zastanowić. A to, żeby ktoś znał się na robotyce, było czystym nieprawdopodobieństwem.

– Proszę mi pozwolić zejść, sir! – omal zapomniał to sir, więc powtórzył dla pewności: – Proszę, sir!

Coleman potrzebował tej paczki rozpaczliwie, toteż powinien się zgodzić. Co do swej przyszłości po tym fakcie, Jon nie miał żadnej wątpliwości, ale żywił nadzieję, że do tego czasu nadejdzie pomoc.

– Złaź! Nie będę wściekły na ciebie, jeśli będziesz robił dokładnie to, co ci każę – w głosie brzmiała wściekłość na robota, który ośmielił się sprzeciwić, ale ogólnie ton był dość spokojny.

Zejscie nie było trudne, ale Jon robił to tak wolno, jak tylko mógł. Zeskoczył na podłogę przytrzymując się sterty skrzyń. Byli tu wszyscy, Coleman i Duca wraz z bandą nowo przybyłych. Ci ostatni na jego widok unieśli broń

– To mój robot, chłopcy – powstrzymał ich Coleman. – Ja się nim zajmę! Po czym odstrzelił drugą nogę Jona, który odwrócony podmuchem eksplozji upadł bezsilnie na podłogę. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegł po upadku była dymiąca lufa siedemdziesiątkipiątki.

– Cwanie jak na puszkę, ale nie za cwanie. Dostaniemy to, co chcemy, może trochę trudniejszą drogą, ale unikając twego szwendania się pod nogami – odezwał się zimno.

Mniej niż dwie minuty minęły od wykonania telefonu. Musieli mieć dwudziestoczerogodzinny dyżur w oczekiwaniu na wiadomości od Venexa Siedemnastego. Główne drzwi rozleciały się nagle w huku potężnej eksplozji i jęku dartej stali. W dymiącym otworze pojawiła się tankietka plująca ogniem sprzężonych działek wielkokalibrowych. Coleman pociągnął za spust o moment za późno. Jon dostrzegł ten ruch i zrobił co mógł tak, że kula strzaskała mu ramię zamiast głowy.

Na drugi strzał zabrakło już czasu. W magazynie eksplodowały pociski gazowe wystrzelone przez działka i osuwający się na ziemię mężczyźni nawet nie dostrzegli wpadającej do wnętrza policji w maskach przeciwgazowych na głowach.

Jon leżał na podłodze komisariatu, gdy technik policyjny dokonywał prowizorycznych napraw jego ramienia i nóg. Po drugiej stronie pomieszczenia Venex Siedemnasty z widoczną przyjemnością wypróbował swe nowe ciało.

– To naprawdę jest coś! A już myślałem, że to faktycznie koniec, gdy to się osunęło. Ale powinienem zacząć od początku – przeszedł przez pokój i potrząsnął chwilowo jeszcze nieużyteczną ręką Jona. – Nazywam się Wil Counter 4951 L3, ale to i tak nieważne. Miałem już tyle ciał, że zapomniałem jak pierwotnie wyglądałem. Prosto ze szkoły przyzakładowej poszedłem do szkoły policyjnej i od tej pory jestem w zespole detektywów Wydziału Dochodzeń w stopniu młodszego sierżanta. Głównie robię za robota usługowego, na przykład sprzedając słodczyce i zbierając informacje. Ta ostatnia robota – przepraszam, że używałem osobowości Venexa, ale nie sądzę, abym przyniósł hańbę twojej rodzinie – była zlecona przez Departament Celny. Wyglądało na to, że ktoś szmugluje do nas heroinę. FBI wyłapało dystrybutorów, ale nikt nie wiedział, jak to się do nas dostaje. Kiedy Coleman, którego mieliśmy już wcześniej na oku, zaczął poszukiwać robota do prac podwodnych, zostałem wsadzony w nowe ciało i posłany do akcji. Zaalarmowałem firmę ledwie zacząłem kopać tunel, ale za szybko mi to spadło na głowę i nie zdążyłem zorientować się, który statek wiezie ładunek. Moi nie wiedzieli o wypadku, toteż spokojnie czekali. Tamci zobaczyli, że pół miliona gotówki może im odpłynąć do Starego Kraju, toteż wynajęli ciebie. Zrobiłeś na czas, co powinieneś i w ten sposób zdążyli uratować dwa roboty od pewnej śmierci.

– Nie powinieneś mi chyba tego mówić – Jon skwapliwie skorzystał z chwili przerwy – to są chyba tajne informacje?! Specjalnie dla robotów.

– Oczywiście, że są! – przyznał ten bez mrugnięcia okiem! – Kapitan Edgocombe, szef mego wydziału jest ekspertem w różnych rodzajach szantażu. Powinienem powiedzieć ci tyle tajemnic, żebyś albo przyłączył się do nas, albo został zastrzelony jako potencjalny informator. Mówiąc prawdę, Jon, potrzebują cię. Roboty, które myślą i prawidłowo reagują w sytuacjach ekstremalnych są rzadkością. Kiedy usłyszeli coś ty nawyprawiał w magazynie, kapitan przysiągł, że pozostawi mnie bez ciała, jeśli nie namówię cię do tej roboty. Szukasz zajęcia? Długa robota, mała pensja, ale masz pewność, że nigdy nie będzie nudno – nie zwracając uwagi na osłupiałego Jona, ciągnął dalej już poważniej. – Uratowałeś mi życie i chciałbym cię za współnika, a myślę, że będzie nam razem dobrze. A poza tym – dodał już starym tonem – mogę mieć w przyszłości okazję, żeby ci się zrewanżować, bo cholernie nie lubię mieć długów.

Technik skończył i ramię Jona było znowu w pełni sprawne. Gdy tym razem uściśnieli sobie dłonie, to był to gest z typu tych, które trochę trwają.

Na noc został w pustym areszcie, który był ogromny w porównaniu z pokojami hotelowymi czy barakami, do których przywykł. Żałował tylko, że nie ma swoich nóg, bo mógłby urządzić sobie ładny spacerek wzdłuż ścian. Ale obiecali mu je jutro

– jakby nie było – założą mu je jeszcze zanim podejmie nową pracę. Wypadki minionego dnia wirowały mu przed oczyma w tak oszalamiającym tempie, że jedyną rzeczą, jakiej pragnął, było wyłączenie. Gdyby miał coś do czytania, zająłby przynajmniej umysł czymś mniej przyczyniającym się do zwarcia. Nagle w przebłysku uświadomił sobie, że przecież nadal posiada broszurkę otrzymaną od kierowcy – schował ją bowiem odruchowo tam, gdzie ten mu poradził. Teraz delikatnie ją wyjął i otworzył na pierwszej stronie.

Spomiędzy kartek wysunął się arkusik papieru z krótką wiadomością:

– PROSZĘ ZNISZCZ TĘ KARTKĘ PO PRZECZYTANIU

Jeśli uważasz, że to co piszą w tej książce to prawda i chciałbyś dowiedzieć się więcej – przyjdź w czwartek o 17.00 do pokoju 107 w George St.

Kartka zapłonęła i zmieniła się w popiół, ale Jon wiedział, że to nie tylko doskonała pamięć jest

powodem, dla którego będzie tę wiadomość pamiętał.

Nie ma żadnych powodów, dla których roboty nie mogłyby wykonywać jakiejkolwiek pracy, którą wykonują ludzie. Ponieważ w pierwszej kolejności chodzi o wyręczenie ludzi od ciężkich i niebezpiecznych zajęć, toteż roboty są budowane po to, aby wykonywać pewne, czysto manualne czynności. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby w niedalekiej przyszłości roboty dokonywały samodzielnych odkryć naukowych. Nasza własna konstrukcja umożliwia nam samodzielne myślenie dzięki określonym łańcuchom DNA. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby stworzyć je sztucznie. Lecz jest tu pewien problem, innej zgoła natury. Ludzie przywykli do tego, że w pewnych pracach są niezastąpieni. Choć z drugiej strony przyznają[^] że przy innych właśnie roboty są tymi "niezastąpionymi". Gdy mit o nieomyślności człowieka, który zajmuje określone stanowisko na przykład w sądownictwie czy w rządzie, przestanie być tak silny, możliwe stanie się objęcie tych stanowisk przez automaty. A tak na marginesie, to przyjrzyjcie się swoim sędziom czy deputowanym – czy naprawdę są tak "nieomylni"? Jednak, jak dotychczas, funkcje robotów ograniczają się do czysto mechanicznych i zastępowania ludzi na szczególnie niebezpiecznych stanowiskach, jak na przykład prace podwodne czy naprawa reaktorów atomowych. Jednak w przyszłości może dojść do tego, że roboty będą miały i inne zadania, choćby na przykład w wymiarze sprawiedliwości.

Ramię sprawiedliwości

To była wielka, dokładnie opakowana przeciwwstrząsowo skrzynia, wyglądająca jakby ważyła tonę. Ten ciołek zrzucił ją dokładnie przed drzwiami posterunku i odleciał. Spojrzałem uważnie na kierowcę, który przywiózł pakę z kosmodromu.

– Co to jest, do cholery?

– A skąd ja mam wiedzieć? – odparło indywiduum, gramoląc się do kabiny. – Nie jestem wszystkowiedzący. Przybyła ranną rakieta z Ziemi. To wszystko co wiem.

Zapуścił silnik i odjechał w kłębach czerwonego dymu.

– Dowcipnisie – mruknąłem. – Mars jest pełen rozkosznych dowcipnisiów. Gdy ponownie zabrałem się za oglądanie pudła, poczułem, że w zębach zgrzyta mi piasek. Szef Craig musiał słyszeć silnik, gdyż wyszedł z biura i zaczął mi pomagać w oglądaniu.

– Myślisz, że to bomba? – spytał niepewnym tonem.

– A dlaczego miałby się ktoś wysilać na przysłanie nam takiego drobiazgu? I to jeszcze takich rozmiarów, i z Ziemi?

Zmieniliśmy temat, zastępując go milczeniem i zaszliśmy pakę z tyłu. Adresu nadawcy nie było. W końcu odbiliśmy ścianę i stanęliśmy lekko zbaranieli. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Nedom. Bylibyśmy znacznie szczęśliwsi, gdyby było także ostatnim. Że też ktoś wpadł na ten kretyński pomysł i trudził się przesłaniem tego z Ziemi. Teraz już rozumiem, co starożytni mieli na myśli pisząc o puszcze Pandory. Ale póki co staliśmy tu i wyglądaliśmy jak dwa półinteligenty. Ned leżał spokojnie i też nam się przyglądał.

– Robot! – rozpoznał szef.

– Doskonale, to było dla ciebie łatwe do rozpoznania. Chodziłeś przecież do Akademii Policyjnej.

– Ha, ha! Spróbuj teraz znaleźć coś, co tłumaczyłoby, co on tu robi. Ja nie chodziłem do Akademii, ale znaleźć list w stosie plastiku nie jest sztuką wymagającą studiów. Szef wziął go i zaczął czytać z całkowitym brakiem entuzjazmu.

– Dobra, dobra. United Robotics sądzi, że... “roboty dobrze użyte mogą ułatwić pracę policyjną... zapraszają nas do współpracy w teście terenowym... robot dołączony do tego listu jest najnowszym, eksperymentalnym modelem, wartości 120 tysięcy kredytów...”

Obaj zajrzeliśmy do pudła, jakby była tam wymieniona w liście suma.

Szef zajął się dokładnym poznaniem treści listu, a ja zacząłem się zastanawiać, jak go wyjąć z tego pudła. Eksperymentalny czy nie, wyglądał miło – ubrany był w uniform navy-blue ze złotymi wykończeniami. Ktoś zadał sobie dużo trudu, aby osiągnąć ten efekt. Fakt faktem, że wyglądał jak rasowy glina. Miał wszystko, co trzeba, poza gumą i gnatem. Doszedłszy do tego budującego wniosku zauważyłem, że robotowi błyszczą oczy. Nigdy dotychczas nie miałem o czynienia z humanoidami, toteż zaryzykowałem.

– Wyłaż ze skrzyni!

Wylazł z prędkością rakiety i zamarł o dwie stopy ode mnie w postawie zasadniczej.

– Eksperymentalny robot policyjny numer seryjny XPO-456-934B melduje gotowość do pełnienia obowiązków, sir!

Słowa padały z ekspresją, a sylwetka wyrażała pełne sprężenie. Fakt, że mięśnie miał ze stali, a zamiast ścięgien drut, ale wyglądał autentycznie. Umacniała to przekonanie budowa – wzrost i sylwetka człowieka, do tego ubrana w granatowy mundur. Wszystko wskazywało na to, że faktycznie sterczy przede mną Ned – raketowy glina. Potrząsnąłem głową i zwróciłem się do niego.

– Odpreż się, Ned.

Nie posłuchał mnie i nadal się prężył.

– Przemęczysz sobie obwody, jak się będziesz tak gimnastykował. A poza tym jestem tu tylko sierżantem. Szef policji to ten drugi.

Ned obrócił się w stronę szefa z taką samą szybkością i zameldował się w ten sam sposób.

– Zdziwiłbym się, gdyby umiał coś jeszcze oprócz tego salutowania i meldowania się – stwierdził szef, obchodząc go, jak pies hydrant.

– Funkcje, działanie i możliwości akcji na stronach 184-213 – Ned rozległ się natychmiast, jakby w odpowiedzi na uwagę szefa. – Detale dotyczące programów strona 1035-1261.

Szef mający kłopoty z przeczytaniem więcej niż trzech stron komiksu na raz, spojrzął z czystym obrzydzeniem na tomisko sześciocalowej grubości, noszące skromną nazwę "Instrukcja obsługi". Potem wpadł na wspaniałą myśl i rzucił mi tomisko na biurko.

– Zajmij się tym – rzekł, opuszczając biuro. – I robotem też. Zrób coś z nim.

Zaangażowanie szefa w sprawęomal mnie nie przytłoczyło. Wziąłem książkę i zacząłem przeglądać, myśląc jednocześnie, że o robotach wiem tyle, co pierwszy lepszy chłop z ulicy, a zasadzie nawet mniej. Na otwieranych przeze mnie stronach piętrzyły się jakieś piętrowe wzory, diagramy kilometrowej długości i wykresy o kolorystyce tęczy, a także inne, ogólnie niezrozumiałe duperele. Ich wygląd sugerował, że wymagają głębszej uwagi. Niestety, nie miałem zbyt dużo czasu, toteż odłożyłem to skądinąd mądre dzieło i spojrzałem z lekkim obrzydzeniem na Neda.

– Za drzwiami stoi miotła. Wiesz jak się tego czegoś używa?

– Yes, sir.

– W takim razie posprzątaj ten pokój, starając się naśmieszyć przy tym mniej niż jest to już zrobione.

Zabrał się do roboty. Ja zaś z mieszanymi uczuciami obserwowałem 120 tysięcy kredytów, wykonujące pracę sprzątaczkizestanej do Nineport. Zastanawiałem się, dlaczego on tu jest – chyba dlatego, że nie ma drugiej tak małej i nieważnej placówki policyjnej w całym Układzie. Konstruktorzy mogli mieć pewność, że jeśli ich pupilek nawet się tu zbłąźni, to straty dla obu stron będą minimalne. Inną sprawą jest to, co ja tu robię. Jedyne normalny gлина w całej załodze. Potrzebny, żeby stworzyć wrażenie, że wszystko jest OK. Szef – Alonso Craig – myśli tylko o forsie i jest zbyt tchórzliwy, żeby ryzykować cokolwiek, nie mówiąc już o własnej skórze. Jest jeszcze dwóch policjantów – jeden stary i przez trzy czwarte czasu pijany, drugi zbyt młody, żeby się do czegoś nadać. Ja mam za sobą dziesięć lat w Policji Metropolii na Ziemi. Dlaczego jestem teraz tu – to moja sprawa i tyle! Dość, że tu jestem i jestem odpowiedzialny za przestrzeganie prawa w Nineport. Do diabła, co za górnolotne sformułowanie! Nineport nie jest, wbrew pozorom miastem. To po prostu przystanek na trasie. Jedyne stali mieszkańcy tej dziury to ci, którym się tu dobrze powodzi – alfonsi, szulerzy, kurwy i cała reszta. Jest tu też port kosmiczny i parę kopalni rudy, które się jeszcze nie zawaliły, bądź nie zostały do cna wyeksploatowane. Można powiedzieć, że jest to miasto, które zniknęło, zanim powstało, jeśli użyć górnolotnych sformułowań.

Zająłem się dla odmiany Fatem. Był to starszy posterunkowy, który nieodmiennie wypijał pięć kwatek dziennie i nieodmiennie był stale na fleku. Nikt nigdy, jak daleko by nie sięgnął pamięcią, nie widział go trzeźwego, ale też nie mógł się pochwalić, że widział Fata lecącego na pysk z nadmiaru gorzały. Potrafił utrzymywać w zadziwiający sposób tak doskonałą równowagę płynów w organizmie, jak i stan pełnego nasycenia. Wyciągnąłem go z piątej celi, gdzie uciął sobie starym zwyczajem drzemkę i doprowadziłem do pokoju. Fat doszedł do siebie i postanowił przejść się w celu dotlenienia płuc. Co prawda trochę mu się poplątały kierunki, bo zamiast do wyjścia,

powędrował do aresztu, ale odruchy miał prawidłowe – złapał za klamkę, otworzył drzwi – i zamarł.

– Co to? – wyjąkał, wskazując robota końcem czerwonego nochała.

– To jest robot. Zapomniałem jaki numer dała mu mamusia w fabryce, więc nazywamy go Ned.

Teraz pracuje.

– Bóg z nim! Ale nieźle, że wprowadza trochę porządku w tej kupie gnoju.

– To moja robota! – do rozmowy włączył się Billy, zmaterjalizowany nagle w drzwiach.

Nie jest prawdą, że Billy jest głupi. Po prostu w jego głowie nie może zaczepić się zbyt wiele myśli.

– To robota Neda. Ty awansowałaś na mojego pomocnika – poinformowałem go.

Moje wyjaśnienie ciężko go uradowało, toteż uspokojony siadł obok Fata i obaj z zacięciem obserwowali, co Ned wyczynia z podłogą. Sprawy tak się miały z tydzień. Przez ten czas Ned doprowadził posterunek do stanu zgoła septycznego. Szef, który nigdy nie miał głowy do takich spraw, nie zwrócił na to większej uwagi, tak samo jak i na to, że zniknęło tak coś z pół tony makulatury, na którą składały się wszystkie urzędowe pisma, które powinny być jego domeną, a które Ned w mojej obecności spakował w większą pakę i wyrzucił. Nie widziałem ani jednego powodu, aby przeszkodzić mu w tym zbożnym dziele. Instrukcje leżały spokojnie na moim biurku nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Nikt z nas nie miał bladego pojęcia o tym, co robot może, a czego nie i nikomu to nie przeszkadzało. Najpewniej zostałyby u nas na etacie sprzątaczkę, gdyby szef nie był tak leniwy.

Od tego się zaczęło. Około dwudziestej pierwszej, gdy szef zbierał się do wyjścia, rozległ się dzwonek telefonu. Odebrał, posłuchał i rzucił słuchawkę na widełki.

– Burdel Greenbacka. Mówi, że napad, rozejrzyj się!

To ostatnie było do mnie.

– O, to coś nowego, przecież, jeśli się nie mylę, płaci okup. Czyżby China Joe miał konkurencję?

– Lepiej idź i zobacz, co się tam dzieje.

– Jasne – sięgnąłem po czapkę. – Ale ponieważ jesteśmy tu we dwóch, ty musisz pilnować gospodarstwa, dopóki nie wrócę.

– To mi się nie podoba! Jestem głodny, a siedzenie tu nie pomoże mi na to.

– Ja mogę się zająć tą sprawą – odezwał się w tym momencie Ned, stając w pozycji zasadniczej trzy kroki przed szefem.

W pierwszej chwili szef nie zaskoczył. Tak samo zresztą zachowałby się każdy, gdyby jego własny bojler zlaźł ze ściany i zameldował gotowość wykonania pracy. Potem go odblokowało.

– W jaki sposób TY możesz to zrobić? – ryknął, ustawiając bojler z powrotem na ścianie.

To znaczy tak mi się wydawało, że to właśnie robi, bowiem Ned zapędził go w ślepy zaułek. Dokładnie w trzy minuty dał szefowi streszczenie zachowań oficera policji przy napadzie z bronią i innych zwyczajowych kradzieżach. Ze zbaraniałej miny szefa wynikało, że Ned w tym momencie zaczął górować wiadomościami zawodowymi w tym duecie.

– Więc, do cholery, skoro tyle wiesz, to czego tu jeszcze stoisz? – znowu ryknął szef.

Zabrzmiało to jak przeróbka “jeśli jesteś taki cholernie cwany, to dlaczego nie jesteś bogaty” z czytanek serwowanych młodzieży w szkołkach niedzielnych. Ned do takiej szkółki nie chodził, a że do tego był maszyną prostoduszną i logicznie myślącą, toteż zinterpretował ryk szefa dosłownie i wymiotło go za drzwi. Doleciało nas jeszcze pytanie:

– To znaczy, że wysyła mnie pan, żebym złożył raport, sir?

– Tak, do diabła! – wrzasnął szef i wreszcie mogliśmy kontemplować granatową smugę, w którą

zamienił się robot.

– Musi być szybszy niż dźwięk – odezwałem się. – I lepszy niż wygląda. Nawet się nie zapytał, gdzie jest ta nora!

Zanim szef zdążył odezwać się, zadzwoniło znowu. Słuchał przez chwilę bełkotu w słuchawce i wyglądało, jakby mu ktoś gwałtownie puścił krew. Nigdy nie był specjalnie rumiany, ale teraz jego twarz miała niezdrowy, sinokoperkowy odcień.

– Bandyci są ciągle wewnątrz – wycharczał. – Jego chłopak na posyłki jest na linii. Pyta, gdzie jesteście. Powiada, że jest pod stołem, na zapleczu domu...

Nigdy nie dowiedziałem się co jeszcze ten bohater ma do zakomunikowania, bo teraz, dla odmiany, mnie wymiotło i rzuciło do patrolowca. Setki rzeczy mogło się zdarzyć, jeśli Ned będzie szybszy. Strzelanina, ranni i tym podobne przyjemności. A wszystko spadnie na nas – wysłali wygodnie robota do zajęcia dla gliniarza. Może przypadkiem szef potwierdziłby potem, że to był jego pomysł, ale nie bardzo byłem skłonny w to uwierzyć. Nigdy nie było mi zbyt ciepło na Marsie, ale teraz byłem spocony jak kościelna mysz.

Nineport ma coś ze czternaście przepisów drogowych – złamałem wszystkie, zanim dojechałem do Greenbacka. Mimo wszystko Ned jednak był szybszy. Gdy wyjeżdżałem z za ostatniego rogu, zobaczyłem go wchodzącego do lokalu. Zakląłem i wyskoczyłem z grata. Zdążyłem akurat, by zająć miejsce na galerii – na ostrzeliwanej galerii na dodatek. Wewnątrz było dwóch pieprzonych punków – jeden w rogu zajmował się kasą z uwagą przysięgłego rachmistrza, drugi zaś zawartością barku. Obaj oddawali się swym zajęciom z entuzjazmem. Gnaty mieli schowane, ale brutalne wtargnięcie Neda chyba wstrząsnęło ich systemami nerwowymi, bo natychmiast je wyjęli – może nie lubili nieproszonych gości? Wyciągnąłem swój rozpylacz i czekałem na szczątki rozstrzelanego robota, lecące mi na łeb z resztkami okna – był idealnie wystawiony na ogień! Ned miał jednak wspaniały refleks – jak każdy robot.

– RZUCIĆ BRONŃ! JESTEŚCIE ARESZTOWANI!

Musiał mieć niezłe wzmacniacze, bo aż mi w uszach zadźwięczało, a byłem na zewnątrz. Rezultat był zgodny z moimi oczekiwaniami. Obaj dżentelmeni nadusili na spusty i powietrze wypełnił ciągły terkot automatycznych pięćdziesiątek z pociskami napędzanymi raketowe. Szyby rozleciały się, a ja padłem na brzuch, bo pierwsza salwa omal nie urwała mi głowy.

Te pociski niewiele co jest w stanie powstrzymać. Przez człowieka przechodzą, nie zauważając nawet, że coś im stało na drodze. Jedyłą reakcją Neda była osłona oczu – mała tarczka ze stalowej blachy, która zsunęła się z daszka czapki z wążutkami szczelinami na wysokości oczu.

A potem Ned ruszył w swoją pierwszą akcję. Wiedziałem, że jest szybki, ale nie sądziłem, że aż tak. Parę pocisków stuknęło w niego, ale w drugim końcu lokalu znalazł się, zanim strzelec zdążył przesunąć lufę i już broń była w ręku Neda. Chwył należał do najczęściej wykonywanych, a sporo ich już widziałem – klient miał wyłamane palce i był zupełnie nieszkodliwy. Z tą samą szybkością co po broń prawą ręką, Ned użył lewej, aby zatrzaskać kajdanki na przegubach delikwenta. Pacjent numer dwa ruszył z kopyta ku drzwiom i przygotowywałem się właśnie, aby go tu gorąco powitać. Mogłem sobie darować niepotrzebny wysiłek. Nie zdążył zrobić połowy drogi, gdy Ned był przed nim. Zanim się zorientował, o co chodzi, z wyłamaną w stawie barkowym prawą ręką leżał obok swojego kumpla, skuty drugą parą bransoletek. Byłem zupełnie zbędnym dodatkiem w tej całej sprawie, ale skoro już tu byłem, to postanowiłem się na coś przydać. Wlałem do środka, odebrałem od Neda spluwy i aresztowałem obu w majestacie prawa oficjalną formułką. Na to wszystko wylał Greenback i ujrzał dokładnie to, co chciałem, żeby zobaczył. Zobaczył też podłogę zaścieloną szkłem, kompletny demontaż okien i luster oraz pogrom baru, toteż zaczął kląć na czym świat stoi.

Nie chciało mi się słuchać, toteż sprowadziłem jego wypowiedzi na ciekawszy temat. Ale był mało komunikatywny. O telefonie wiedział mniej niż ja, więc wyciągnąłem spod stołu wystraszonego gówniarza i wytłumaczyłem mu, na czym polega jego głupota. Był tu parę dni i nie orientował się w zawłóściach bezpiecznej egzystencji, to jest w tak podstawowych kwestiach jak ta, że o napadzie powiadamia się obstawę Chiny Joe, a nie zawraca dupy policji. Po czym zabraliśmy owoc wycieczki do wozu i ruszyliśmy do domu. Szef miał ciągle ten niezdrowy, trupi kolorek na twarzy, gdy wszedłem do środka.

– Ale bigos – wychlipał na mój widok czułe powitanie.

Chłopcy niezbyt byli chętni do udzielania wywiadu, toteż szef, bynajmniej nie będący wcieleniem miłosierdzia, cierpliwości czy innych cnót charakteru prawdziwego chrześcijanina, dał im parę razy w zęby, co wyraźnie ułatwiło wzajemne porozumienie. Za drugim razem udzielili wyczerpujących odpowiedzi na zadawane pytania.

– Nigdy nie słyszeliśmy o China Joe. Jesteśmy tu od wczoraj i...

– Ochotnicy, psiakrew! – Szef opadł na fotel. – Zamknij ich i powiedz, co się tam właściwie stało, u diabła!

Zrobiłem, co chciał z pacjentami i wskazałem przez ramię na Neda.

– Tu masz bohatera. Wziął ich jedną ręką pod gradem kul. ku chwale służby. To jednorobotowe tornado skrzyżowane z siłą słonia i mistrzem mastery of fight. Do tego kuloodporne! – wskazałem zarysowania na pancerzu. – Jedyne ślady po kulach.

– To mi śmierdzi kłopotami i to dużymi kłopotami! – Szef nie był w dniu dzisiejszym optymistą.

Miał na myśli chłopców z ochrony – nie kochali aresztowań punków i konfiskat broni bez swego błogosławieństwa. Tyle tylko, że Ned nie bardzo orientował się w subtelnościach tego typu i postanowił szefa pocieszyć.

– Nie będzie żadnych problemów, sir. Nie ma możliwości, żebym złamał któreś z praw robotyki. Są one częścią moich obwodów kontrolnych i są całkowicie zautomatyzowane. Człowiek, który dobywa broni i strzela, łamie dwa podstawowe prawa robotyki, jak i sprawiedliwości. Ja przecież go nie osądzam – tylko unieszkodliwiam.

To wszystko spływało po szefie jak woda po kacze. Wyglądało na to, że nawet nie silił się aby, słuchać. Natomiast ja słuchałem i nawet przemyślałem to, co usłyszałem i zastanowiło mnie, jakim cudem, u Boga Ojca, robot, czyli ordynarnie mówiąc maszyna, może logicznie wnioskować w dziedzinie przepisów prawnych i praktyki. Ned pałał gotowością oświecenia mnie w tej kwestii, usłyszawszy te wątpliwości.

– Roboty były przygotowywane do tych funkcji od lat. Praktycznie zasada jest ta sama, obojętne, czy chodzi o łamanie prawa, czy o przekraczanie szybkości. A do tego sprowadza się auto-motor. A wykrywacz alkoholu? Przecież wsadził do więzienia więcej pijaków niż wszyscy oficerowie śledczy w kupę więzi! A potem roboty zostały wyposażone w możliwość zabijania – przed wprowadzeniem praw robotyki – automatyczne stacje obrony balistycznej były przecież w powszechnym użyciu. Składały się z półautomatycznej baterii dział i rakiet przeciwlotniczych, automatycznego radaru i ośrodka koordynującego jeśli samolot nie nadał właściwego sygnału identyfikacyjnego, to automatycznie szedł rozkaz i zestrzeliwano go. A przecież nie obsługiwał tej stacji ani jeden człowiek.

Doszedłem do wniosku, że nie pogadam sobie z Nedom na tematy dowolne. Może poza jego instrukcją obsługi, ale nie miałem dotąd serca jej poznać, a obecnie moment był mało sprzyjający, toteż niezwłocznie zamknąłem dyskusję.

– Ale robot nie może, do diabła, być gliną! To zajęcie dla człowieka!

Wydawało mi się, że zamknąłem dyskusję, ale ta blaszanka była dziś wyjątkowo pyskata.

– Oczywiście, że nie i nie jest to celem budowy nas, robotów policyjnych. Ale przecież jest tyle mechanicznych czynności w pracy policjanta, których nie będzie musiał on robić, gdy będziemy w powszechnym użyciu. A nie są to kwestie wyboru -jeśli aresztuje pan kogoś, to zakłada mu pan kajdanki -jeśli pan mi każe, to zrobię to ja, ale nie ja decyduję przecież o tym, kogo i za co pan aresztuje. Jestem tylko mechanizmem w tej czynności, chociaż...

Ręce mi opadły. Nadawaliśmy na różnych częstotliwościach, co uniemożliwiało konstruktywne porozumienie. Ta puszka po konserwach teoretycznie miała rację, tylko w praktyce...

– China Joe nie będzie tym zachwycony! – skonkludował z zadziwiającą bystrością szef, przerywając pyskówkę Neda i moje dumania.

Wyjątkowo byłem skłonny zgodzić się z nim. Tu było prawo pięści, a nie kodeksu w użyciu. Prawo nawet niezłe dla burdeli, szulerni i spelunek, czyli miejsca zwanego szumnie Nineport. Wszystkim rządził China Joe. Tak samo zresztą jak i policją. Wszyscy byliśmy na jego garnuszk. Był zresztą jedynym, o którym można było powiedzieć, że nam płaci. Ale to nie była kwestia, którą podjąłbym się wytłumaczyć robotowi. Nawet w sprzyjających okolicznościach.

– Tak, China Joe!

Pomyślałem, że to echo, ale szybko zmieniłem zdanie. Echo przeważnie nie materializuje się, a obok mnie, oparte o framugę drzwi, coś się pojawiło. Coś zwane Alex. Sześć stóp mięśni, ścięgien i kłopotów. Prawa ręka Chiny Joe. To coś udało uśmiech, na widok którego szef wstąpił się w sobie i zapadł w fotel.

– China Joe chciałby, żeby mu ktoś wytłumaczył – odezwało się to coś od drzwi – dlaczego śmierdzące gliny napastują ludzi i pozwalają niszczyć dobre trunki. Jest bardzo tego ciekaw i jeśli nie będziecie w stanie zadowolić jego ciekawości...

– Aresztuję cię w imieniu prawa na podstawie artykułu 46 paragrafu 19 ustawy o... – Ned zrealizował to, zanim zorientowaliśmy się, że w ogóle się ruszył.

To był szczyt – na naszych oczach zamknął Alexa i śpiewał nam własny tren żałobny. Alex nie był tak wolny jak my. Obejrzawszy się, kto tak bezczelnie mu przerywa, wy dobył armatę i zdołał trafić Neda dokładnie w miejsce, gdzie powinno być serce, gdyby Ned był klasycznie zbudowany, zanim ten wytrącił mu broń z ręki i zaobrączkował. Gdy my wyglądaliśmy jak śnięte rybki, Ned przyjrzał się swemu dziełu i dokończył.

– Dam sobie głowę za to uciąć. Więzień Peter Rakjonsky, alias Alex – Siekiera, poszukiwany w Luną City za napad z bronią w rękę i morderstwo. Również poszukiwany przez policję w Detroit, Nowym Jorku i Manchesterze. Oskarżony o...

– Zabierajcie to ode mnie! – ryk Alexa był doskonale słyszalny dla wszystkich w odległości 150 jardów, wyłączając głuchych i nieboszczyków.

Denny Bug nie był ani jednym ani drugim. Wsadził łeb zza drzwi i rzuciwszy okiem na tę malowniczą scenę wewnątrz, dał nogę z alarmującą i zadziwiającą wieścią.

– Alex!!! Gliny capnęły Alexa!!!

Gdy wyskoczyłem na zewnątrz nie było po nim śladu ni zapachu. Kląłem w duchu – dureń! Przecież chłopcy China Joe'go zawsze chodzą w parach. Profilaktyka. W efekcie będzie on o wszystkim powiadomiony przed upływem kwadransa.

– Zamknij go! – poleciłem Nedowi po powrocie. – Skoro zacząłeś ten bajzel, to go ciągnij. Nie chcę mieć więcej kłopotów, gdybyśmy go teraz wypuścili.

Fat orbitował mamrocząc coś do siebie. Na mój widok szczerze się ucieszył.

– Może ty mi powiesz, co tu się dzieje, u diabła? Widziałem Denniego, który pruł stąd, jakby się

ziemia za nim paliła...– w tym momencie ujrzał Alexa z bransoletkami na przegubach i zablokowało go gruntownie.

Po parenastu sekundach jego umysł ruszył z miejsca. Bez straty czasu na pierdoły podszedł do szefa i rzucił mu swoją odznakę.

– Jestem starym człowiekiem i piję zbyt dużo, żeby dalej być gliną. Dlatego też składam rezygnację ze służby. Zresztą, jeśli jest tak, jak jest, to pozostanie tu dłużej gwarantuje, że nie postarzeję się ani o jeden dzień. Z tego powodu rezygnuję natychmiast.

– Szczur! – szef dobył głos gdzieś z głębi siebie. – Śmierdzący szczur!

– Pieprzysz – rzucił mu Fat i opuścił lokal.

Szef był w szoku – wyczerpanie po wzmożonym wysiłku, jakim była dla niego ostatnia wypowiedź. Nie mrugnął nawet okiem, gdy wziętem odznakę i poszedłem do Neda. Nie wiem sam, dlaczego to zrobiłem, może dlatego, że doceniłem jego odwagę. Chociaż, czy można mówić o odwadze u robota? W każdym razie wpędził nas w kłopoty, ale dziwnie się o to nie martwiłem. Chyba przemęczenie! Na jego torsie były dwa otwory. Nie byłem specjalnie zaskoczony, gdy okazało się, że pasują idealnie do zamocowania odznaki.

– Teraz jesteś prawdziwym gliną! – sarkazm, to było to, co dominowało w moim głosie.

Miałem nadzieję, że roboty nie są wyczulone na tony. Ned w każdym razie nie był.

– To wielki honor. Nie tylko dla mnie, także dla wszystkich innych robotów. Dołożę wszelkich starań, aby okazać się godnym tego zaszczytu.

Czyste, żywe wzruszenie – prawie słyszałem silniczek poruszający taśmę z nagraniem. A potem zajął się Alexem. Gdyby nie całokształt sytuacji, to świetnie bym się bawił. Ned miał wbudowanego więcej wyposażenia policyjnego, niż Nineport kiedykolwiek oglądało, wliczając w to dni swojej świetności. Zaczęło się od zbiorniczka z atramentem, który spryskał palce Alexa i karty daktyloskopijnej, która objechała te palce chwilę potem. Następnie więzień został odstawiony na długość ramienia i coś trzasnęło. Z boku Neda wyleciały dwie odbitki – en face i z profilu. To był początek – wielce zajmujący, co prawda, ale miałem jeszcze parę spraw na głowie. Na przykład, jak w tych warunkach pozostać żywym?

– Jakie pomysły, Szefie?

Pytanie było czysto retoryczne i odruchowe. Odpowiedzią był nieartykułowany pomruk. Do biura wszedł Billy – podpora sił Policji Nineport. Kazałem mu łązić dookoła. Jeśli miał nas spotkać marny koniec, to niech przynajmniej będzie to koniec z fasonem – i z honorową wartą.

Ned skończył ceremoniał przyjmowania aresztanta i zamknął drzwi od mamra. Dokładnie w tym momencie wszedł China Joe. Powinno się w zasadzie rzec: raczył wstąpić, albo: weszli. Choć czekaliśmy na to, to jednak był to szok dużej miary. Wlaźł sam, a w przejściu zrobił się tłok jak przy barze. China Joe na przedzie, z rękami ukrytymi w obszernych rękawach swej szaty mandaryna, a za nim całkiem dobry zespół footballowy. Nie zaszczyił nas wzmianką na temat swych obecnych zainteresowań, zwrócił się jedynie do swej obstawy.

– Wyczyście lokal, chłopcy. Nowy Szef Policji będzie tu za chwilę, a nie chciałbym, żeby zostały do tego czasu jakieś flaki na żyrandolu!

Przyznaję, że udało mi się nie wkurzyć. Nawet jeśli nie najwyższego lotu, to jednak byłem gliną, a nie pajacem na lince. Wiele razy szukałem czegoś na niego, ale nie znalazłem nawet najmarniejszego, maciupkiego haczyka. A ciągle chciałem wiedzieć.

– Ned, rzuć okiem na tego chińskiego młodziana znajdującego się w tej okolicy i powiedz mi, co o nim sądzisz.

Boże, ależ te roboty błyskawicznie pracują! Ned wypalił, jakby od swego przybycia do

Nineport tylko na to czekał.

– Pseudowschodni typ. Chemicznie ściemniony pigment skóry. Nie jest Chińczykiem. Także jego oczy poddane były operacji – skóra koło nich jest sztucznie naciągnięta, tak, aby sprawiały wrażenie skośnych. Blizny są widoczne w podczerwieni. Wstystko po to, aby uniemożliwić identyfikację, ale cechy Batiliona w budowie uszu i czaszki czynią ją możliwą. Jest na liście najbardziej poszukiwanych przez Interpol. Prawdziwe nazwisko...

China Joe po raz pierwszy w dziejach naszej znajomości był zły.

– A więc to jest TO... wielkie pyskate radioodbiornicydło. Słyszeliśmy coś o tym i mamy coś specjalnego na tę okazję!

Zespół skoczył pod ściany odsłaniając klęczącego młodziana z bazooką na ramieniu. Model przeciwpancerny i to na ciężkie czołgi. To było moje ostatnie spostrzeżenie, gdy urządzenie odpaliło. Nie jest wykluczone, że można z tego trafić czołg, ale osobiście wątpię, żeby taka sztuka udała się z robotem. Ned padł na pysk sekundę wcześniej, niż ja zrozumiałem na co patrzę. Tylne ściany posterunku rozleciała się dokumentnie. Od pierwszego strzału. Drugiego nie było.

Ned złapał za rurę i zgiał ją w połowie, jak starą gazurkę. Billy zdecydował, że ten, kto odpala rakietę wewnątrz posterunku łamie prawo i runął z wrzaskiem w środek – zapewne chciał aresztować strzelca. Byłem za nim, więc nie straciłem co ciekawszych epizodów. Utworzył się wirujący kłęb, z którego wystawały ręce i głowy w sekundowych sekwencjach. Ned był gdzieś na spodzie tego zespołu taneczno-boksyerskiego, ale nie sądziłem, żeby trzeba było się o niego martwić. Ktoś nerwowo dobył broni, ktoś inny krzyczał, posypały się kule i zrobiło się zupełnie swojsko.

Jegomość nazwiskiem Brooklyn Eddi usiłował mnie trzasnąć w ucho swoim rozpylaczem, którego nie był w stanie użyć z powodu tłoku, toteż ponieważ moja pięść była w pobliżu jego szczęki, nie widziałem żadnego racjonalnego powodu, aby nie doprowadzić do spotkania obu tych części ciała.

Wszędzie była mgła. A przynajmniej tak mi się wydawało. Ostatnie, co zarejestrowałem przed pojawieniem się tego cholernego tumanu, to piekielny tłok wokół mojej osoby. I to, że byłem piekielnie zajęty. Potrząsnąłem głową – mgła zniknęła. Stwierdziłem z lekkim zdumieniem, że jestem jedyną osobą w całym lokalu, która znajduje się w pozycji pionowej. Reszta tego szacownego zbiegowiska zdecydowanie preferowała pozycje siedzące lub zgołą horyzontalne. Korzystnym faktem było to, że ściany jeszcze stały. Poczuję się raźniej. Ned wkroczył przez coś, co niedawno było drzwiami, niosąc w objęciach zde gustowanego Eddiego Brooklyna. Jego twarz sugerowała, że dobrze wykonałem swoją robotę. Nadgarstki Eddiego były skute stalowymi obręczkami, a gdy Ned położył go pieczołowicie pod ścianą, okazało się, że leży tam już około tuzina podobnie przyozdobionych osobników. To niezrozumiałe, jak szybko rozprzestrzenia się moda w pewnych kręgach. Do dziś mam wrażenie, że Ned produkował te artykuły w miarę wzrostu popytu. Parę kroków ode mnie stało całe, jakimś cudem ocalałe krzesło. Siadłem więc z uczuciem ulgi i rozejrzałem się po otoczeniu.

Krew była głównym kolorem figurującym na ścianach i stercie ciał na podłodze. Gdyby nie stłumione przekleństwa i jęki, dałbym głowę, że leżą tam sami klienci Zakładu Pogrzebowego. W tej scenerii gospodarzył Ned, sortując stertę całkiem zgrabnie – ranni pod ścianę, trupy pod drzwi. W końcu okazało się, że wiedział czego szuka. Z samego spodu wydobył Billa. Prawie w jednym kawałku, tylko nie bardzo komunikatywnego. Za to wyraz jego twarzy był bardzo wyrazisty – pełny błogostan, albo absolutne szczęście – tak się to chyba nazywa. Poobijane napiętki i inne ślady podobnego typu wyraźnie świadczyły o bojowej przeszłości właściciela. Jak mało potrzeba ludziom do szczęścia! Gdyby nie Ned, chłopak nie byłby w stanie się ruszyć – kula wyrwała mu spory kawał

uda. Ned był właśnie zajęty samarytańskim zabiegiem, gdy się odezwał.

– China Joe i jeszcze jeden uciekli samochodem.

– Nie zaprzataj tym sobie głowy! Twoje bitewne wyczyny i tak przejdą do historii – pocieszyłem go.

I wtedy spostrzegłem, że szef ciągle jeszcze siedzi za biurkiem. Najogólniej mówiąc było to nienormalne zachowanie, nawet jak na jego głupie pomysły. I wtedy zrozumiałem, że Alonso Craig, szef policji Nineport jest martwy. Jeden strzał i to z małego kalibru. Prosto w serce i z tak małą ilością krwi, że całkowicie wsiąkała w rzeczy. Miałem całkiem niezłe pojęcie o miejscu, w którym była broń, gdy pociągnięto za spust.

Była to mała broń, akurat taka, jaka mieści się w szerokich rękawach mandaryńskiego przyodziewku. Nie byłem zaskoczony, tylko wściekły. Szef nie był kryształowym ani najmilszym gościem, ale na pewno zasługiwał na lepszy koniec niż ten, jaki go spotkał. Zaraz po tym wniosku doszedłem do następnego. Zdecydowanie był to dobry dzień na myślenie. Musiałem podjąć decyzję i to z gatunku tych ważniejszych. Biorąc pod uwagę szefa z kulą w sercu, Billa niezdolnego do ruchu i Fata, który odszedł w siną dal, byłem jedyną żywą i sprawną siłą policyjną w Nineport. Coś trzeba było z tym zrobić. Niezgodnym rozwiązaniem tej kwestii byłoby wyjść z lokalu i zostawić ten bajzel swojemu losowi. Ned wtargnął właśnie z dwoma następnymi klientami do paki. Sądzę, że za parę chwil pomieszczenie owo będzie poważnie przeludnione. Może na widok jego granatowych pleców, a może jestem zbyt słaby, żeby móc uciekać, więc jakby nie było, zdecydowałem się. Ostrożnie odpiąłem szefowi złotą odznakę i umieściłem na miejscu swojej. Stanowczo nie był to najlepszy dzień w moim życiu.

– Przedstawiam nowego szefa sił policyjnych Nineport – wygłosiłem, nie kierując tej przemowy do nikogo konkretnego z szerokiego gremium zajmującego lokal, ale odzew był jak najbardziej konkretny.

– Yes, sir! – Ned wyprężył się w salucie, wypuszczając przy tym z rąk więźnia, który z odgłosem świadczącym o twardości naszej podłogi, dość niespodziewanie się z nią spotkał.

Po czym Ned pozbiierał gościa i wrócił do zbożnego zajęcia jakim niewątpliwie było zapełnienie aresztu. Odsalutowałem. Ambulans, wyjąc potępieńczo, zabrał nieboszczyków (sztuk cztery) i rannych (sztuk sześć).

Wróciłem na posterunek ignorując gapiów, których zdążyło się już zebrać niezłe stadko. Po założeniu opatrunku na mój pogruchotany łeb, wszystko zaczęło wracać do normy. Ned starym zwyczajem zmywał podłogę. Ja zjadłem z tuzin aspiryn i czekałem, kiedy krasnoludki w mojej głowie robią sobie fajrant z kuciem w kość czołową. Wydawało mi się, że wtedy zastanowię się logicznie, co dalej robić. Kiedy zebrałem do kupy rozpierzchnięte myśli, odpowiedź stała się jasna i oczywista. Zbyt oczywista – będę wykonywał swoją pracę tak długo, jak długo będę w stanie przeładować broń.

– Uzupełnij swój schowek z kajdankami, Ned. Wychodzimy!

Zupełnie jak normalny glina! Nie zadał ani jednego głupiego pytania. Zdziwiająca! Zamknąłem drzwi i dałem mu klucz.

– Masz. Jest najbardziej prawdopodobne, że będziesz jedynym zdolnym do użycia tego przyrządu, nim skończy się ten piękny dzień!

Zbliżałem się do siedziby China Joe tak ostrożnie, jak tylko mogłem, starając się wymyśleć inny sposób niż ten, na który wpadłem na posterunku. Nie znalazłem, a morderstwo zostało popełnione i China Joe był tym, którego chciałem mieć. No cóż, okazuje się że znalazłem dość skomplikowany sposób popełnienia samobójstwa. Najlepszą rzeczą, jaką mogłem zrobić w obecnych warunkach, to cofnąć się za róg i zrobić Nedowi odprawę.

– To tam, to kombinacja baru i sklepu, własność tego, którego będziemy na razie nazywali China Joe, dopóki nie będzie sprzyjającej chwili, abyś przedstawił mi jego dane personalne. To, co mamy do zrobienia, to wejść tam, znaleźć go i odstawić przed sąd. Dobrze by było, gdyby nie był całkiem martwy. Acha i jeszcze jedno, nie dać się przy tej okazji zabić. Proste?

– Proste – zgodził się potulnie Ned. – Ale prościej byłoby chyba złapać go teraz, kiedy siedzi w samochodzie niż czekać, aż raczy wrócić!

Faktycznie, za nami zmaterializował się wóz z czwórką pasażerów, prujący w stronę knajpy zdrową sześćdziesiątką. Gdy nas mijał, dojrzałem czerwony strój Joe'go.

– Zatrzymać go! – wrzasnąłem do siebie z głęboką frustracją w głosie, starając się jednocześnie gonić ich.

Tyle tylko, że to parszywe pudło, popularnie zwane patrolowcem policyjnym pokazało znowu, że ma charakter. Za jasną cholere nie dało się zmusić do zapalenia. Mogłem się dłużej nie męczyć – byli zbyt daleko, abym ich dogonił tą kupą złomu. Tak więc Ned ich zatrzymał. Zrozumiał mój wrzask jako rozkaz i wystawił łeb przez okno. Zawsze się zastanawiałem (w ciągu dzisiejszego dnia, rzecz jasna), dlaczego większość jego wyposażenia mieści się w korpusie. Teraz już wiem – działko 25 milimetrowe, nawet z krótką lufą, zajmuje wystarczającą ilość miejsca, przy normalnej wielkości głowy. Nad lufą tegoż działka (nad nosem) było całkiem fajne urządzenie z noktowizyjnym celownikiem laserowym. Całkiem fajne miejsce na taki drobiazg – pomiędzy oczami – nie ma problemów z celowaniem na wysokości głowy przeciwnika i działko jest stale gotowe do użycia. Ktoś tam musiał mieć dobry dzień, kiedy projektował Neda. Dwa strzały omal nie urwały mi głowy. Oczywiście Ned był dobrym strzelcem i pudło albo zmiana celu na moją głowę nie wchodziły w grę, ale sama fala uderzeniowa w zamkniętej gablocie wozu prawie mnie ogłuszyła.

Wpakował po jednym pocisku w tylne koła, robiąc z nich sieczkę i wóz, fiknąwszy twarzowego kozła rozkraczył się na środku drogi sztorcem na pasie szybkiego ruchu. Powoli wylazłem z wozu – nie musiałem się śpieszyć.

Te trzysta jardów Ned pokonał jak zwykle z nowym rekordem i stał tam teraz o dwa kroki od ich wozu, obserwując zawartość. Zawartość owa – czterech dżentelmenów – nie traciła nawet czasu na ucieczkę. Nie dziwcie się – też bym grzecznie siedział, mając o metr lufę dwudziestkipiątki ze snującym się jeszcze z niej dymem, która patrzy łagodnie w moją stronę z męskiej twarzy. Pomysł umieszczenia właśnie tam tego drobiazgu był niezłym chwytem psychologicznym.

Szok – to chyba właściwe określenie. Cała czwórka trzymała przepisowo łapy w górze, omal nie dziurawiąc nimi dachu. Zupełnie jak w prawdziwym westernie. A na podłodze stały śliczne walizeczki – sądzę, że z nader interesującą zawartością. Wszystko poszło bardzo szybko i składnie. Tylko China Joe nie wytrzymał nerwowo i zaczął kląć, psując ten nastrój, gdy Ned korzystając z chwili spokoju poinformował mnie, że tak naprawdę to on nazywa się Santos i że na Elmirze ciągle trzymają celę gotowana jego przyjęcie. Przynależem Joe'emu, że umożliwię mu to gorące przyjęcie, jakie mu tam na pewno zgotują, nawet jeszcze dziś. Notabene, niewiele rzeczy sprawiło mi dotąd taką przyjemność.

Reszta zacnego grona spotkała się z nie mniej gorącym przyjęciem, tyle, że bliżej – sądzono ich w Luną City. To był męczący dzień. Po nim nastąpiła totalna sielanka. Billy kurował się w szpitalu i cieszył się moimi starymi naszywkami sierżanta. Nawet Fat wrócił w charakterze syna marnotrawnego. Co prawda miał problemy, żeby spojrzeć mi w oczy, ale poza tym nie zmienił się ani na jotę.

Nudziliśmy się straszliwie, bo Nineport zmieniło się teraz w cichutkie i spokojniuteńkie miasteczko. Aż żal było człowiekowi, że nie zostawił choćby ze dwóch bandytów na wolności.

Można by się było od czasu do czasu rozerwać. A tak? Ned chodził na patrolach nocnych, a częstokroć też i na dziennych. Możliwe, że Związek Zawodowy Policjantów nie pochwaliłby tego, gdyby się dowiedział, ale nie wyglądało na to, żeby Ned chciał pisać do nich skargę. Wklepał i pomalował wszystkie ślady od kuł i paradował po mieście w mundurku jak z igły i z błyszczącą (codziennie czyszczoną!) odznaką na piersi. Wiem, mówić o robocie, że jest szczęśliwy czy wściekły to głupota wysokiego rzędu, ale Ned "wygląda" na szczęśliwego. Czasami wydaje mi się, że coś do siebie tam mamrocze, ale, rzecz jasna, to tylko silniki tak szumią.

Kiedy przypominam sobie przeszłość i rozmyślam nad nią, to wydaje mi się, że stworzyliśmy swojego rodzaju precedens, robiąc z robota pełnoprawnego glinę. Ponieważ jak dotąd nie zaszczycił nas nikt z fabryki, nie mam pewności, czy dźurzymy w tym względzie palmę pierwszeństwa we wszechświecie, czy też nie, ale niespecjalnie mnie to wzrusza.

Acha, powiem wam coś jeszcze, moi drodzy. Nie zamierzam zostać w tym ugrzecznionym i cukierkowatym zadupiu na zawsze. Wysłałem już sporo ofert w poszukiwaniu nowej roboty. Tak więc, gdy ją znajdę, poniekąd będą BARDZO zaskoczeni zobaczywszy, kto zostanie nowym Szefem Policji w Nineport, gdy ja wreszcie odejdę.

Podobnie jak niewolnicy czy służący, roboty nie będą miały potrzeb— oczywiście z punktu widzenia ich panów— i nie będą potrzebowały żadnej edukacji wykraczającej poza program potrzebny im do wykonywania określonych czynności. Służący potrzebuje bowiem tylko takich informacji, dzięki którym skutecznie i szybko zrobiłby to, co mu się każe. Wszystkie inne informacje są mu zbędne, a poza tym stanowią one potencjalne niebezpieczeństwo, gdyż mogą stanowić podstawę do zadawania tak potwornych pytań, jak na przykład: czy właściwe jest, aby... A następną rzeczą będzie to, że poczciwy Wamba zacznie studiować sposoby spalania domu państwa albo zacznie ostrzyć nożyczki, ot tak, bez wyraźnej potrzeby...

Zbyt wcześnie jest na to, aby znać odpowiedź na pytanie, czy roboty zachowają się w taki właśnie sposób, ale z całą pewnością one też będą wiedziały tylko to, co będą musiały — same koszty wystarczą, aby tak się stało.

Mimo to niektóre roboty będą miały dostęp do informacji, które nie będą im niezbędnie potrzebne. Na przykład robot bibliotekarz...

Robot, który chciał wiedzieć

Całe nieszczęście polegało na tym, że Fyler 13B-445-K chciał wiedzieć wszystko na świecie. W tym chciał wiedzieć również i to, co zupełnie go nie dotyczyło i co nie miało prawa interesować żadnego robota, nie mówiąc już o jakimś głębszym wnikaniu w szczegóły. Niestety – Fyler pod tym względem był robotem szczególnym. A przecież historia z blondynką z Dwudziestego Drugiego Wydziału powinna była posłużyć mu za dobrą lekcję. Wychodził właśnie z hałasem z magazynu, trzymając w rękach stertę książek i podążał przez Dwudziesty Drugi, kiedy ją zauważył. Pochylała się nad jakąś książką, która znajdowała się na najniższej półce. Robot zwolnił i zatrzymał się kilka kroków od niej, nie spuszczać z niej wzroku ani na chwilę. Jego metaliczne oczy dziwnie błyszczały. Kiedy dziewczyna się schyliła, jej krótka spódniczka ukazała oczom robota obciągnięte nylonowymi pończochami nogi. Ale nogi – chociaż, co prawda, nieprzeciętnie zgrabne – robota nie powinny w ogóle interesować. A mimo to Fyler zwrócił na nie uwagę. Stał i patrzył. Wreszcie dziewczyna, zauważywszy jego spojrzenie, odwróciła się.

– Gdybyś był człowiekiem, Buster, dałabym ci po fizjonomii – powiedziała. – Ale ponieważ jesteś robotem, to bardzo chciałabym wiedzieć, w co tak wlepiłeś te swoje fotooczka?

– Przekrzywił się pani szew – nie namyślając się ani chwili odparł Fyler, po czym odwrócił się i z mechanicznym pomrukiem ruszył dalej. Blondynka zaskoczona z niedowierzaniem pokręciła głową, poprawiła szew na łydce i po raz któryś już pomyślała jaka z tej elektroniki chytra nauka. Gdyby wiedziała, na co rzeczywiście patrzył Fyler, jej zdumienie nie miałoby zapewne granic. Bo on patrzył na jej nogi. Oczywiście – Fyler nie skłamał – roboty po prostu nie są w stanie kłamać, ale w żadnym przypadku nie patrzył tylko na przekrzywiony szew. Fyler napotkał problem, którego nie próbował rozwiązać jeszcze żaden robot na świecie. Miłość, romantyka, problemy płci – oto, co z godziny na godzinę coraz silniej go zajmowało. Rozumie się, było to zainteresowanie o podłożu czysto akademickim, a mimo to była to również bezspornie jego pasja. Sama praca obudziła w nim ciekawość i zainteresowanie tą dziedziną życia, w której króluje bogini Wenus.

Roboty systemu FYLER odznaczają się wyjątkowymi walorami intelektualnymi i nie produkuje się ich zbyt wiele. Można je ujrzyć jedynie w największych bibliotekach, a i tam pracują jedynie przy największych i skomplikowanych księgozbiorach. Nie można nazwać ich po prostu bibliotekarzami – oznaczałoby to bowiem ukazanie w fałszywym świetle pracy samych bibliotekarzy, uznając ją za łatwą i prostą. Jasne jest również, że do rozmieszczania książek na półkach i stemplowania karteczek nie potrzeba wielkiego intelektu. Ale też już od dawna wszystkie te czynności wykonują najprostsze roboty, w istocie niewiele bardziej skomplikowane niż prymitywne IBM na kółkach. Wprowadzanie jednak do systemu elektronicznego pewnego zasobu ludzkiej wiedzy było zawsze rzeczą niewiarygodnie trudną.

Takie zadanie spełniały ostatecznie roboty systemu Fyler. Ich metalowe ramiona nie ugięły się pod tym brzemieniem – podobnie jak kiedyś nie ugięły się ramiona ich poprzedników, bibliotekarzy z krwi i kości. Oprócz idealnej pamięci Fylery dysponowały walorami właściwymi w normalnych warunkach tylko mózgowi ludzkiemu. Umiały one na przykład budować i kojarzyć pojęcia abstrakcyjne.

Jeśli Fylera proszono o książkę dotyczącą jakiegokolwiek problemu, natychmiast przypominał on sobie wszystkie książki traktujące o dziedzinach pokrewnych i mogące również się przydać. Wystarczyło mu tylko napomknięcie, by mógł zbudować logiczny łańcuch pojęć i przedstawić go w najzupełniej realnej postaci sterty książek. Umiejętności takie właściwe są tylko Homo sapiens – człowiekowi rozumnemu. One to właśnie pomogły wybić się człowiekowi ponad jego krewniaków

ze świata zwierzęcego. I jeśli Fyler okazał się bardziej ludzki niż inne roboty, to winić za to można było tylko samego jego twórcę – człowieka. Sam Fyler nikogo za nic nie winił – on był po prostu żądny wiedzy. Zresztą wszystkie Fylery są żądne wiedzy, bo tak już zostały zbudowane.

Na przykład pod ręką jednego z Fylerów 9B-367-0 – bibliotekarza Uniwersytetu Taszkienckiego – znalazła się nieprzebrana liczba podręczników do nauki języków, więc zajął się lingwistyką. Znał tysiące języków i narzeczy – praktycznie wszystkie, w jakich można było znaleźć jakiegokolwiek teksty. W kręgach naukowych uważano go za niedościgły autorytet. A wszystko dzięki bibliotece, w której pracował. Natomiast Fyler 13B, ten, który z takim zainteresowaniem oglądał dziewczęce nogi, był zatrudniony w zakurzonych labiryntach Nowego Waszyngtonu. Tutaj miał dostęp nie tylko do najnowszych mikrofilmów, ale i do ton starożytnych ksiąg, wydrukowanych jeszcze na papierze, wiele wieków temu. Jednakże najbardziej zajmowały Fylera powieści napisane w owych minionych czasach. Początkowo zupełnie zbiły go z tropu niezliczone wzmianki i aluzje do romantycznych przeżyć, miłości, mąk duszy i ciała, bez których wyraźnie nie była się w stanie obejść ani wielka miłość, ani romantyka. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć pełnej definicji tych pojęć, co naturalnie zainteresowało go jeszcze bardziej. Stopniowo zainteresowanie przeszło w pasję, a pasja w manię.

I nikt na świecie nie podejrzewał nawet, że Fyler stał się ekspertem w sprawach miłości.

Fyler już od samego początku zdawał sobie sprawę z tego, że ze wszystkich stosunków i form międzyludzkich, miłość jest formą najsubtelniejszą i najbardziej kruchą. Dlatego te badania utrzymywał w największej tajemnicy i wszystko, co udało mu się odkryć, starannie chronił w pojemnych zakamarkach swojego elektronicznego mózgu. W tym samym mniej więcej czasie doszedł do wniosku, że nieco można się dowiedzieć również z realiów i to z niemałym pożytkiem dla wszystkiego, co wyczytał z książek. Stało się to wtedy, gdy w oddziale nauk zoologicznych natknął się niechcący na zastygłą w objęciach parę. Błyskawicznie uskoczył wtedy w cień i przełączył urządzenia słuchowe na maksymalną czułość. Ale rozmowa, którą wtedy podsłuchał, wydała mu się, delikatnie mówiąc, nudnawa. Wszystko to stanowiło tylko żałosne, niesłychanie ubogie naśladownictwo wspaniałych miłosnych tyrad, które przeczytał w książkach. Ale porównanie okazało się cenne i pouczające. Po tym wypadku starał się nie opuścić żadnej okazji przysłuchania się rozmowie między kobietą i mężczyzną. Próbował oglądać kobiety z męskiego punktu widzenia i na odwrót. I dlatego właśnie z takim zaciekawieniem przyglądał się dolnym kończydom blondynki z Dwudziestego Drugiego.

I dlatego też – koniec końców -poppełnił ów fatalny błąd.

Kilka tygodni Fyler asystował jakiemuś szperaczowi, który życzył sobie jego usług. Przy tej okazji tamten wyrzucił na stół masę różnych papierków z kieszeni. Spomiędzy nich wyslizgnęła się jakaś karteczka i upadła na podłogę. Fyler podniósł ją i oddał właścicielowi, który wymruczał podziękowanie i schował ją do kieszeni. Kiedy wszystkie potrzebne książki zostały już skompletowane i facet poszedł sobie swoją drogą, Fyler usiadł i odczytał tekst zapisany na karteczce. Widział ją tylko jakiś ułamek sekundy – i to w dodatku do góry nogami – ale niczego więcej nie było mu potrzeba. Obraz karteczki na wieki utrwalił się w jego mózgu.

Fyler długo rozmyślał nad nią, dopóki nie zaczął się przed nim rysować pewien konkretny plan. Karteczka była zaproszeniem na bal kostiumowy. Fyler znał dobrze ten rodzaj rozrywek. Opisy takich balów raz po raz trafiały się na zakurzonych stronicach starych romansów. Na takie bale ludzie zwykle chadzali przebrani za romantycznych bohaterów. Dlaczegoż by i robot nie miał pójść na taki bal, przebrany za człowieka? Kiedy ta właśnie myśl raz zrodziła się w jego głowie, nie był już w stanie się jej pozbyć.

Oczywiście, takie myśli były robotom w ogóle zakazane, nie mówiąc już o odpowiadającym im przedsięwzięciom. Fyler po raz pierwszy uświadomił sobie, że łamie przegrodę oddzielającą go od sekretów miłości i romantycznych przygód. To jednak, jak należało się spodziewać, jeszcze bardziej go podnieciło. I rozumie się, postanowił wybrać się na bal. Oczywiście Fyler nie śmiał kupić kostiumu. Ale przecież w magazynach zawsze można było znaleźć stare portiery! W jakiejś książce przeczytał o sztuce kroju i szycia, w innej znalazł obrazek kostiumu, który wydał się mu najodpowiedniejszy. Sam los przeznaczył mu odegranie roli kawalera.

Starannie zaostrzonym piórem odmalował na kartonie kopię biletu zaproszeniowego. Zrobienie maski, a ściślej mówiąc, pół maski, bowiem drugą połowę stanowiła maska ludzkiej twarzy, nie było przy jego talencie i możliwościach technicznych rzeczą zbyt skomplikowaną. Na długo przed wyznaczonym dniem wszystko było gotowe.

Pozostały czas wypełniło mu kartkowanie wszelkich dostępnych opisów balów kostiumowych oraz staranne studiowanie najnowszych tańców. Fylera do tego stopnia zaabsorbował ten pomysł, że ani razu nie pomyślał nawet o tym, jak obce powinny być robotowi tego rodzaju czyny. Czuł się po prostu jak uczone badający osobliwy gatunek żywych istot. Rodzaj ludzki. A ściślej mówiąc – żeński.

Aż wreszcie nadszedł długo oczekiwany wieczór. Fyler wyszedł z biblioteki trzymając w ręku zawiniątko podobne do paczki książek.

Nikt nie zauważył, kiedy skrył się w zaroślach porastających biblioteczny ogród. A jeśli nawet ktoś zauważył, to z pewnością nie przyszłoby mu do głowy, że to właśnie Fyler jest tym eleganckim, młodym człowiekiem, który kilka minut później wyszedł z drugiej strony. Jedynym, niemym świadkiem owej metamorfozy był arkusz papieru pakunkowego pozostawiony w krzakach.

W swoim nowym wcieleniu prezentował się Fyler nieskazitelnie – jak przystało robotowi najwyższej klasy, który doskonale przestudiował swoje zadanie. Lekko wbiegł po schodach przeskakując po trzy stopnie i niedbale okazał swoje zaproszenie. Po wejściu skierował się wprost do bufetu i wlał do plastikowej rurki podłączonej do rezerwuaru w jego klatce piersiowej trzy kieliszki szampana. Dopiero potem pozwolił sobie na obrzucenie leniwym okiem zebrane na sali kobiety.

Tak, ten wieczór był stworzony dla miłości. Spośród wszystkich kobiet jego uwagę od razu przykuła jedna. Zrozumiał, że to właśnie ona jest królową balu i ona jedna jest godna jego adoracji.

Czyż mógł przystać na coś innego – on, spadkobierca pięćdziesięciu tysięcy romantycznych bohaterów dawno zapomnianych książek?

Caroll Ann van Damm była, jak zawsze smutna. Jej twarz skrywała maska, ale żadna maska nie była w stanie ukryć cudownych kształtów jej ciała. Liczne grono wielbicieli, poprzebieranych w dziwaczne kostiumy, tłoczyło się przy niej, gotowe do usług. Każdy z nich marzył o zawładnięciu jej młodością i pięknem, a przy okazji milionami jej ojca. Wszystko to dawno się jej znudziło, i teraz z trudem powstrzymywała ziewanie. I wtedy tłum adoratorów uprzejmie, lecz stanowczo rozsunięły szerokie ramiona nieznanego. Rozstąpili się w milczeniu, a on stanął pośród nich, jak lew wśród stada wilków.

– Ten taniec należy do mnie – powiedział wyniośle głębokim, niskim tonem.

Machinalnie wsparła się na wyciągniętym ramieniu, niezdolna sprzeciwić się człowiekowi, w którego oczach taił się taki przedziwny blask. Jeszcze chwila... i już wirowali w walcu... Miał mięśnie krzepkie jak stal, lecz tańczył z lekkością i gracją młodego boga.

– Kim pan jest? – szepnęła.

– Pani księciem. Przybyłem, by panią stąd uprowadzić – odpowiedział półgłosem.

– Mówi pan rzeczywiście, jak księżę z bajki – roześmiała się.

– Bo to jest bajka, a pani jest księżniczką...

Te słowa jak iskra zapaliły jej duszę i całą jej istotę przeszył jakby prąd. W istocie to było wyładowanie elektryczne. Jego usta szeptały słowa, o których usłyszeniu marzyła przez całe życie. Nogi, jak zaczarowane, same poniosły poprzez wysokie drzwi na taras. W którejś chwili słowa przemieniły się w czyn, a gorące usta dotknęły jej ust. I to jeszcze jak gorące – termostat był nastawiony na czterdzieści dwa stopnie!

– Usiądźmy – wyszeptała resztkami tchu, czując jak słabnie od nieoczekiwanej ogarniającej ją namiętności.

Usiadł obok niej, ściskając jej ręce w swoich, tak niehumanie silnych, a mimo to delikatnych. Mówili sobie słowa znane tylko zakochanym, dopóki znów nie zagrała orkiestra.

– Północ – wyszeptała. – Czas zdjąć maski, kochany.

Zdjęła swoją, lecz Fyler, oczywiście, nawet nie drgnął.

– A ty? – zapytała. – Także musisz zdjąć swoją.

Te słowa zabrzmiały jak rozkaz, a robot nie mógł odmówić wykonania rozkazu. Szerokim gestem zrzucił maskę i plastikową atrapę z podbródkiem. Carroll Ann najpierw przeraźliwie krzyknęła, a potem aż pozieleniała z wściekłości.

– Co to znaczy?! Odpowiadaj, ty blaszanko!!!

– To miłość, najdroższa. To miłość mnie tu dziś przywiodła i rzuciła w twoje objęcia...

Odpowiedź była najzupełniej prawdziwa, chociaż Fyler przyoblekł jaw formę odpowiadającą jego roli. Usłyszawszy te pieszczotliwe słowa, dobiegające z bezdusznej, elektronowej paszczy, Carroll Ann ponownie krzyknęła. Zrozumiała, że padła ofiarą okrutnego żartu.

– Kto cię tu nasłał? Odpowiadaj! Co oznacza ta maskarada? Odpowiadaj! Odpowiadaj! Odpowiadaj! Ty skrzyńo ze złodem!!!

Fyler pragnął szybko posortować tę lawinę pytań i odpowiedzieć na każde z nich z osobna, ale Carroll Ann nie dała mu czasu na otwarcie ust.

– Coś podobnego! Przysłać cię tu w przebraniu człowieka! W życiu nikt tak ze mnie nie zakpił! Jesteś robotem, rozumiesz? Niczym! Dwunogą maszyną z głośnikiem! Jak śmiałeś udawać człowieka, kiedy jesteś robotem?!

Fyler nieoczekiwanie powstał.

– Jestem robotem – wyrwały się z urządzenia mówiącego urywane słowa.

To już nie był pieszczotliwy głos kochanka, lecz wrzask zrozpaczonej maszyny. Myśli jak huragan krążyły w elektronowym mózgu, ale w gruncie rzeczy to była tylko jedna, wciąż ta sama myśl...

Jestem robotem... robotem... widać zapomniałem, że... jestem robotem... i co powinien czynić robot z kobietą... robot nie może całować kobiety... kobieta nie może kochać... robota... ale przecież ona powiedziała, że... kocha mnie... i mimo to jestem robotem... robotem...

Cały drżący odwrócił się i zgrzytając, warcząc, ruszył przed siebie. W marszu jego stalowe palce zdzierały z korpusu resztki ubrania i plastikową imitację tkanki ludzkiej. Wszystko to spadało strzępami na ziemię. Ślad jego całej drogi znaczyły takie strzępy i po jakiś stu metrach pozostała już na nim tylko naga stal – taka, jak w pierwszym dniu jego mechanicznego stworzenia. Przeszedł przez ogród i wyszedł na ulicę. Myśli w jego stalowej głowie coraz szybciej wirowały w zakętym kręgu. Rozpoczęła się niekontrolowana reakcja. Rychło ogarnęła nie tylko mózg, ale całe mechaniczne ciało. Szybciej kroczyły nogi, pośpieszniej pracowały silniki, a w piersi, jak oszalała miotająca się pompa smarownicza. I nagle robot, z przeraźliwym krzykiem, rozrzucił ręce na boki i runął twarzą do

ziemi, uderzając głową o schody. Ostry kant granitowego stopnia przebił cienką powłokę ciała. Metal zazgrzytał o metal i w skomplikowanym mózgu elektronicznym nastąpiło krótkie spięcie. Robot Fyler 13B-445-K był martwy. Tak w każdym razie głosiła diagnoza mechanika ogłoszona następnego dnia. Właściwie nie martwy, lecz nieodwracalnie uszkodzony. Należało rozebrać go na części. Ale dziwniejsze było to, co powiedział mechanik podczas oględzin metalowego trupa – bo powiedział zupełnie coś innego. W oględzinach towarzyszył mu drugi mechanik. On to odkręcił śruby i wyjął z klatki piersiowej pękniętą pompę smarowniczą.

– W tym sęk – stwierdził. – Niesprawna pompa. Pękł tłok i ustało podawanie oleju do stawów kolanowych. Z tego powodu upadł i rozwalil sobie głowę.

Pierwszy mechanik wytarł sobie gałganem zatłuszczone ręce i przyjrzał się uszkodzonej pompie. Potem przeniósł wzrok na ziejącą w klatce piersiowej dziurę.

– Coś podobnego! Po prostu pękło mu serce!

Obaj zaśmiali się i mechanik cisnął pompę w kąt na stos innych, zniszczonych, brudnych i nikomu już niepotrzebnych części.

Wahanie się jest tendencją wszystkich ludzi. Gdy świeżo upieczony kierowca wsiądzie do wozu, można mieć pewność, że wrzucając bieg zawaha się i w efekcie zamiast dwójki wrzuci czwórkę. A gdy w końcu uda mu się ruszyć do przodu, będzie się zastanawia) jak ma jechać i wóz popchnie po ulicy na podobieństwo węża dotkniętego paraliżem. Wahanie jest też charakterystyczne dla instytucji. Proszę sobie przypomnieć jak i ile czasu jesteście załatwiani w jakimkolwiek urzędzie. Wahanie jest również udziałem maszyn, choć tu należałoby raczej mówić o dokonywaniu najlepszego wyboru spośród istniejących. Roboty są maszynami humanoidalnymi i jest szansa na to, że może choć w nich uda się zlikwidować pewne minusy konstrukcyjne występujące u ludzi. Jeśli u nich wystąpią jakieś odchylenia, to zawsze można je usunąć. Tak, jeśli wystąpi to w pojedynczym wypadku. Ale jeśli odchylenie obejmie całą generację? Albo całą klasę? Może się zdarzyć, że zostanie ono nie tylko nie naprawione, ale wprost nie zauważone! Z powodzeniem może się zdarzyć, że roboty staną na czele naszych rządów czy sądownictwa. Robot kasjer lepiej sprawdzi autentyczność czeku i szybciej wypłaci należność niż człowiek. Oczy roboty będą lepsze i pewniejsze w tym wypadku niż ludzkie, tak samo zresztą jak i przy funkcji strażnika więziennego. Będą lepiej strzegły tajemnic niż jakikolwiek człowiek. Jest rzeczą możliwą, że roboty będą przejmowały większość funkcji pełnionych przez człowieka, ale czy może się zdarzyć, że nas zastąpią...?

Widzę cię

Sędzia, w swojej czarnej todze i z olśniewającym połyskiem chromowej czaszki, wywierał przygnębiające wrażenie. Jego głośny i przejmujący głos brzmiał jak wyrok przeznaczenia.

– Car! Tritt, sąd orzeka was winnym. W dniu 218 roku 2425 wykradliście z zimną krwią z sejfu Marcux Corporation sumę trzystu osiemnastu tysięcy kredytów z zamiarem zatrzymania jej dla siebie. Wyrok brzmi – dwadzieścia lat.

To ostatnie zdanie w uszach Carla zabrzmiało przeraźliwie i odbijało się głośnym echem wewnątrz jego czaszki. Dwadzieścia lat! – Spojrzał w elektroniczne oczy sędziego – i jedyną rzeczą, jaką tam zobaczył, było luminescencyjne odbicie lamp oświetlających salę. Wyrok został wydany, zapisany w pamięci i nie było od niego apelacji. Sprawa była zakończona. W korpusie sędziego otworzyła się klapka i trzysta osiemnaście tysięcy kredytów, nadal w firmowej kopercie, wypadło na stół sędziowski.

– Tu są pieniądze, które ukradliście. Patrzcie, jak będą zwrócone prawowitym właścicielom – odezwał się sędzia.

Carl nie patrzył, nie miał na to żadnej ochoty – przez okno widać było ulice rozjaśnione blaskiem letniego, słonecznego poranka, a on miał dwadzieścia pięć lat. Gdyby nie to, że był dwudziestopięcioletnim mężczyzną czuł, że wypłakałby się, ale dwudziestopięcioletni mężczyzna nie powinien płakać. Zamiast tego nabrał w płuca kilka głębokich oddechów. Dlaczego ja? Dlaczego ze wszystkich ludzi, których znał, właśnie on dostał tak wysoki wyrok? Dlatego, że ukradł pieniądze? Zgoda, ale żeby za to dostać dwadzieścia lat? Łzy, którym nie pozwolił wyjść na zewnątrz, spłynęły mu do gardła tworząc tam utrudniającą oddychanie kłuchę. Odchrząknął i splunął przed siebie. Zanim ślina zdążyła upaść na podłogę, z boku wytoczył się okrągłutki automat porządkowy i odezwał się skrzekliwie:

– Carl Tritt, naruszyłeś Miejscowy Porządek § 14-668 przez wypróżnianie się w miejscu publicznym. Wyrok opiewa na dwa dni. Łączny wyrok dwadzieścia lat i dwa dni.

Wypadł z sali i pognął w kierunku swojego mieszkania.

Reszta dnia upłynęła pod znakiem pętania się po ulicach. Wędrował po nich bez sensu i bez celu, aż do całkowitego zmęczenia. A potem zobaczył bar, ciepłe światło w miłym i przytulnym wnętrzu. Nacisnął drzwi i potem jeszcze widział, jak znajdujący się wewnątrz zaprzestają rozmów i odwracają się w jego stronę, przyglądając się z zainteresowaniem bezskutecznym wysiłkom otwarcia drzwi. Wtedy przypomniał sobie, że jest skazańcom i że żadne drzwi lokalu czy sklepu nie otworzą się przed nim.

Ludzie wewnątrz musieli zrozumieć to samo, gdyż wybuchnęli śmiechem, a on pognął przed siebie jak szalony. Gdy dotarł do mieszkania był zubożniały i przygotowany na najgorsze. Ku swemu zdziwieniu odkrył, że drzwi się otwierają. Dopiero gdy wszedł do środka zrozumiał wszystko – w korytarzu stały spakowane, czekające na niego torby.

Niespodziewanie ożył ekran video – nigdy nie przypuszczał, że on też był sterowany przez centralę. Ekran pozostał ciemny, ale odezwał się głośnik:

– Ubranie i rzeczy osobiste niezbędne skazanemu zostały dla ciebie wybrane. Twój nowy adres jest na bagażach. Udaj się tam natychmiast.

Tego już było za wiele. Bez sprawdzania wiedział, że ani korona, ani książki, ani modele raket, ani setki innych rzeczy, które coś dla niego znaczyły, nie zostały uznane za niezbędne. Runął w stronę kuchni wyłamując po drodze zamknięte drzwi przy akompaniamencie głosu z wszechobecnych

głośników.

– To, co robisz, jest naruszeniem prawa. Zaprześć tego natychmiast, albo wyrok ulegnie podwyższeniu.

Głos nie znaczył dla niego nic i to, co mówił również. Dostał się do lodówki i sięgnął po butelkę. Palce ześlizgnęły się po gładkiej, przezroczystej powierzchni, która oddzielała wnętrze lodówki od reszty świata. Zniechęcony powlókł się w stronę korytarza, ścigany przez natrętne głośniki obwieszające, że jego wyrok uległ podwyższeniu o pięć dni.

Taksówki ani autobusy nie zatrzymywały się na jego wezwanie, toteż na swoją nową kwaterę zmuszony był udać się pieszo z torbami w dłoniach. W końcu dotarł do długiego kwadratu jednolitych bloków zlokalizowanych w dzielnicy, o której istnieniu nie miał pojęcia.

Ledwie znalazł się na klatce schodowej, uderzył go przygnębiający klimat, jaki w niej panował: skrzypiące schody, ciemne światło, zakurzone podłogi i pajęczyny snujące się we wszystkich kątach.

Musiał się wspiąć na drugie piętro zanim odnalazł swój numer. Bez zapalania światła rzucił bagaże na podłogę i dojrzał do łóżka. Było to zwykłe metalowe urządzenie, którego nie spotykało się prawie poza muzeami. Diabelsko niewygodne, ale był tak zmęczony, że ledwie to stwierdził, a już zapadł w kamienny sen.

Obudziwszy się rano nie miał żadnego zamiaru otwierać oczu. Starał się przekonać, że to, co mu się przytrafiło, było tylko złym snem, ale szarość przenikająca przez zamknięte powieki wyprowadziła go z błędu.

Z westchnieniem obrzydzenia otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju. Był czysty i to była jedyna jego zaleta. Umeblowanie składało się z najprostszych mebli: łóżka, krzesła i stołu. To wszystko oświetlała naga żarówka zwisająca z sufitu. Na przeciwległej niż jego łóżko ścianie, znajdował się duży, metalowy kalendarz, na którym można było bez żadnego trudu odczytać: dwadzieścia lat, pięć dni, siedemnaście godzin i dwadzieścia pięć minut. Akurat, gdy na niego spoglądał, rozległ się donośny szcęk i ostatnia cyfra przeskoczyła na dwadzieścia cztery. Zanim skończył kontemplować zegar, na nogi postawił go donośny głos.

– Śniadanie jest podawane w jadalni piętro niżej. Masz dziesięć minut.

Głos pochodził z gigantycznej tuby-głośnika o średnicy około pięciu stóp i Carl posłuchał go bez dłuższego namysłu.

Jedzenie było podłe, ale dawało się przełknąć. W jadalni zebrało się spore towarzystwo – zarówno męskie, jak i damskie. Tyle tylko, że wszyscy okazali głębokie zainteresowanie zawartością własnych talerzy. Postąpił podobnie i, jak mógł najszybciej, wrócił do pokoju. Ledwie przekroczył próg, skierował się na niego obiektyw kamery, równie ogromny jak głośnik – miał rozmiar przynajmniej jego pięści i obracał się wolno, śledząc każdą czynność Carla. Skazany jest przecież zawsze sam, ale nigdy nie jest w samotności,

– Twoja praca zaczyna się dziś o godzinie 18.00 – ryknął głośnik bez żadnego uprzedzenia. – Tu jest adres.

Na podłogę z otworu pod kalendarzem spłynęła kartka. Carl podniósł ją i przeczytał bez zainteresowania. Jak się spodziewał, adres był mu obcy. Nie miał nic do roboty, toteż runął na łóżko, które boleśnie jęknęło i pograżył się w niewesołych myślach. Torturowały go one od chwili aresztowania – dlaczego był taki głupi i dał się złapać.

A wszystko wydawało się takie proste...

Zaczął się tak niewinnie – od rutynowego sprawdzania linii telefonicznej w potężnym gmachu

zajętym w całości przez urzędy i biura. Był sam, gdyż do kontroli nie potrzebował robotów, a skrzynka z niezbędnymi narzędziami była niewielka i niespecjalnie ciężka. Sama skrzynka łącz telefonicznych znajdowała się w pomocniczym korytarzu, biegnącym równoległe do głównego hallu. Ponieważ był to duży budynek, było w nim dużo rozmaitych pomieszczeń, a w związku z tym i połączeń, toteż sprawdzenie ich było długotrwałym zajęciem. Obok jednej ze ścianek rozgraniczających zauważył płytę z solidnie hartowanej stali. Wychodziły z niej zakończenia nagwintowanych prętów. Siedząc przy swoich łączach Carl zainteresował się nią po prostu z nudów. Jak wykazało bliższe badanie, nie była to bynajmniej jednolita płyta, lecz tylko idealnie sprasowane ze sobą prostokątne płytki, których łączenia były oznaczone wystającymi prętami. Przeznaczenia tego czegoś i tak w żaden sposób nie mógł odgadnąć, więc zabrał się do swojej roboty.

Po paru godzinach doszedł do wniosku, że jest akurat odpowiednia pora na lunch, toteż zrobił sobie przerwę i skierował się do baru. Wychodząc zauważył stojący przed wejściem furgon bankowy. Dwóch strażników wyciągało z niego koperty i wkładało je do wyciągniętych ze ścian hallu kasetek. Po jednej kopercie do jednej kasetki, po czym wędrowała ona z powrotem do wnętrza ściany i zostawała zamknięta: Całość była oddzielona od korytarza dość solidną kratą. Pomyślałszy z rozrzewnieniem, jaka też tam musi być ilość gotówki, powędrował na lunch. Dopiero kiedy wracał, uderzyła go myśl, że przecież to, co oglądał, to nic innego, jak tylna ściana sejfu. To co było tak pilnie strzeżone z przodu, było nader łatwo dostępne od tyłu. Prostota tego rozwiązania oszołomiła go. Skończył robotę jak w transie, zapamiętał lokalizację poszczególnych elementów wnętrza i zapomniał o wszystkim na sześć miesięcy. Po upływie pół roku rozpoczął przygotowania.

Dokładna obserwacja ujawniła, że koperty zawierają spore przekazy w gotówce, wypłacane przez banki najrozmaitszym firmom, których biura znajdowały się w tym gmachu. Straż bankowa deponowała je w południe każdego piątku. Żadna z kopert nie była zabierana wcześniej niż o trzynastej tego samego dnia. Carl zanotował sobie w pamięci, gdzie zostaje złożona najgrubsza koperta i przystąpił do wcielania w życie swojego planu. Wszystko szło jak w zegarku. W piątek za dziesięć dwunasta wszedł do budynku ze swoją skrzynką na narzędzia. Dokładnie dziesięć minut później był niezauważony, w tylnym korytarzu. O 12.10 z cienkich rękawiczkach na dłoniach przystąpił do pracy używając swego miniaturowego palnika, który ciął stal bez żadnych oporów i z błyskawiczną szybkością. Wyciął okrąg w upatrzonej kasecie i za pomocą długiej pincety wyciągnął kopertę, którą włożył do innej, wyjętej z własnej torby i zaadresowanej na swoje nazwisko. Minutę po opuszczeniu budynku wrzucił ją do skrzynki pocztowej i będzie bogaty. Ostrożnie i dokładnie posprzątał po sobie, zdjął rękawiczki i razem z kopertą wsadził je do torby. O 12.35 znalazł się w pustym korytarzu głównym i lekko pogwizdując skierował się do wyjścia. Znalazł się na ulicy i w tym momencie policjant położył mu dłoń na ramieniu.

– Jesteście aresztowani za kradzież!

Szok był tak silny, że dał się prowadzić jak ogłupiała owca. Nigdy nie myślał, że go złapią, a już w zmorach sennych nie przychodziło mu do głowy, że tak szybko i w tak kretyński sposób. Kiedy w trakcie procesu została ujawniona dokumentacja oskarżenia, zrozumiał, gdzie tkwił błąd jego planu. Cały budynek był wyposażony w czujniki przeciwpożarowe. Płomień jego palnika spowodował włączenie się alarmu na pulpicie dyżurnego oficera, który oczywiście na monitorach sprawdził co się dzieje. Pożaru nie znalazł, ale za to znalazł złodzieja, toteż niezwłocznie zawiadomił policję.

Te niezbyt przyjemne rozmyślania przeciął następny komunikat z głośnika:

– Jest 17.30. Czas, żeby udać się do pracy. Ponaglony przez głośnik Carl zebrał się do kupy i podążył do nowego zajęcia. Dojście na miejsce zajęło mu prawie pół godziny. Niespecjalnie się

zdziwił, gdy firma egzystująca pod podanym adresem okazała się Przedsiębiorstwem Oczyszczania Miasta.

– Połapiesz się szybko – oświadczył mu zasuszony dyspozytor. – Masz tylko sprawdzać na liście towary, które zostaną ci pokazane.

Lista była sporą księgą, składającą się ze zbioru spisów w układzie alfabetycznym – spisów najrozmaitszych śmieci, przy których były numery od 1 do 13. Podczas gdy Car! zastanawiał się co one znaczą, rozległ się głośny ryk i przed budynek zajechała robotociężarówka potężnych rozmiarów.

– Śmieciarka – poinformował dyspozytor. – Twoja.

Carl oczywiście wiedział o istnieniu czegoś takiego, natomiast również oczywiste było, że nigdy czegoś takiego nie widział – jak zresztą każdy uczciwy mieszkaniec metropolii. Był to lśniący cylinder dwudziestometrowej długości z robotem kierowcą wbudowanym w kabinę.

Trzydzieści innych robotów stało na stopniach wzdłuż całej długości wozu. Dyspozytor zaprowadził go na koniec maszyny i wskazał przytwierdzoną z tyłu klatkę zaopatrzoną w okno.

– Roboty pakują śmieci sortując je według trzynastu klas – stwierdził. – Każdemu wrzuconemu śmieciowi towarzyszy naduszenie odpowiedniego przycisku, co umieszcza go w odpowiednim przedziale wewnątrz wozu. Tak się to odbywa zazwyczaj. Ale zdarza się, że robot nie jest w stanie rozpoznać lub sklasyfikować śmiecia. Wtedy ty to robisz – odczytasz z tej listy i nadusisz odpowiedni przycisk. To może się wydać z początku trudne, ale sam zobaczysz, że w praktyce tak nie jest.

Carl wgramolił się do klatki i ledwie zdążył usiąść, gdy cała ta konstrukcja ruszyła ze zgrzytem i oszałamiającą szybkością podskakując na nierównościach drogi.

Była to robota tak nudna, jak tylko można to sobie ' wyobrazić – śmieciarka podążała z góry ustaloną trasą poprzez śpiące miasto i Carl przez cały czas nie zauważył ani jednej ludzkiej istoty. Co parę minut stawali, roboty odłączały się i zabierały do pracy. Kontenery gładko huczały przy wypróżnianiu, były odnoszone, a roboty stawały na swoje miejsca i wóz ruszał. I tak w kółko.

Dopiero po przeszło godzinie Carl miał pierwszą okazję przydać się – robot zamarł na chwilę, po czym przysunął przed okienko zdechłego kota. Carl spojrzął na niego z przerażeniem, kot nie spojrzął w ogóle. Skupiając całą siłę woli oderwał wzrok od trupa i sprawdził w książce. Karton... kawałki metalu... koty (zdechłe)... ten jest na pewno zdechły – nr 9. Wdusił klawisz oznaczony numerem 9 i kot zniknął z pola jego widzenia. Było to jedyne urozmaicenie przez całą drogę, która przebiegała identycznie w nader usypiający sposób: do przodu, hamowanie, do przodu, hamowanie. Ukołysany tym monotonnym ruchem zdrzemnął się.

– Spanie jest zabronione w czasie pracy. To jest pierwsze ostrzeżenie – ryknęło mu nad głową, doprowadzając momentalnie do pełnej przytomności.

Oczywiście znów głośnik do kompletu z kamerą.

Dni i noce wlokły się z zastraszającą monotonią – jedyną odmianą w codziennej szarzyźnie była treść kalendarza, który aktualnie głosił: 19 lat, 322 dni, 8 godzin i 18 minut. Jako skazańcowi nie przysługiwały mu żadne rozrywki poza biblioteką, do której zresztą trafił dość szybko i jeszcze szybciej ją opuścił, nie znajdując w niej nic poza historyjkami z morałem. Czas wolny dzielił sprawiedliwie między spanie (większość) a rozmyślanie (mniejszość).

Z wolna narastało w nim poczucie rozwścieczenia – myśl o tym, że w ten sposób ma wegetować przez dwadzieścia lat, doprowadzała go do szalu.

Tak było przed wypadkiem.

Wypadek bowiem zmienił wszystko. Ta noc była taka, jak każda poprzednia. Śmieciarka posuwała się znaną trasą, a Carl podrzemywał z otwartymi oczami. Na jednym ze skrzyżowań spotkali ciężarową cysternę o dużej pojemności, na którą zwrócił uwagę tylko dzięki temu, że prowadził ją człowiek. Musiała mieć niebezpieczny ładunek, gdyż tylko takie są przewożone przez ludzi. Cysterna stanęła przy krawężniku, a kierowca właśnie wychodził z szoferki, gdy coś mu się najwidoczniej przypomniało, ponieważ cofnął się i szukał czegoś w kabinie. Musiał przy tym niechcący potrącić starter, gdyż wóz szarpnął i ruszył parę metrów do przodu. Samo w sobie było to całkiem nieważne. Tyle tylko, że w czasie tego ruchu zawadził klapą zbiornika o ramię sygnalizacji i urwał je, gubiąc jednocześnie pokrywę. Wóz stanął, a rozkołysana zawartość – szarozielony płyn – chlusnęła do przodu i do tyłu, opryskując rozbujaną siłą inercji kabinę i boki cysterny. Płynu było niewiele, gdyż zaalarmowany automat odciął dopływ, ale Carl z zaskoczeniem dojrzał, jak kierowca kamieniał ze zgrozy, a płyn strzelił płomieniem i cały przód wozu objął ogień, zasłaniając znajdujące się wewnątrz kierowcę.

Przed skazaniem Carl sporo pracował z robotami i wiedział, w jaki sposób nakłonić je do posłuszeństwa. Wyskakując ze swej klatki trzasnął pierwszego z brzegu po ramieniu i wykrzyknął polecenie. Robot opuścił pojemnik i z pełną szybkością runął w kierunku płomieni. Otoczony nimi wspiał się na cysternę i zamknął otwarty właz, po czym skierował się ku szoferce, ale nagle zatrzymał się gwałtownie. Przez chwilę wyglądał jak człowiek ogarnięty bólem, po czym ogień musiał przepalić bezpieczniki, gdyż coś w nim błysnęło – maszyna eksplodowała i zapadła się w sobie całkiem zniszczona. W tym czasie Carl biegł już ku płonącej cysternie, prowadząc ze sobą dwa następne roboty. Kabina płonęła JUŻ z zewnątrz i wewnątrz, skąd dobiegł rozdzierający ryk palonego żywca człowieka. Jeden z robotów wyłamał drzwi szoferki, a drugi wyciągnął płonącego kierowcę poza zasięg ognia wykonując rozkazy wydane przez Carla. Kierowca nie wyglądał specjalnie korzystnie – ogień zamienił jego nogi w bezkształtną masę parującego mięsa, a po reszcie ciała pełzały drobne języki ognia. Carl zaczął je gasić gołymi rękoma, kiedy na miejscu pojawiły się pojazdy straży porządkowej. Potężna fala piany, którą została zalana cysterna prawie natychmiast stłumiła ogień. Ambulans zatrzymał się z jękiem syreny. Na zewnątrz wyskoczyły dwa roboty z noszami i lekarz. Temu wystarczył jeden rzut oka na spalonego kierowcę, żeby postawić diagnozę.

– Dobrze ugotowany!

Diagnoza nie przeszkodziła mu jednak działać – na nogach i korpusie została błyskawicznie rozpylona pianka chirurgiczna, a z podanej przez maszynę torby wybrana strzykawka ze środkiem uśmierzającym, który został natychmiast zaaplikowany. Ledwie zostało to zrobione, roboty przerzuciły jego ciało na nosze i wpakowały do ambulansu, który ruszył z ponownym rykiem sygnału. Doktor poinformował przez radiotelefon szpital o nadjeżdżającej przesyłce i zainteresował się Carlem.

– Pokaż no swoje rączki – polecił.

Dopiero w tym momencie Carl spojrzął na swoje dłonie i zrobiło mu się słabo. Obie były lekko przyrumienionymi płatami surowego mięsa.

– Spokojnie – stwierdził doktor pomagając mu usiąść na chodniku – to wcale nie jest w takim stanie, na jaki wygląda. Nowa skóra, tydzień odpoczynku i nie będziesz pamiętał, że coś się stało.

Stwierdzeniu temu towarzyszyło ukłucie w ramię i świat się rozplątał.

Następną rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, był ranek w luksusowym łóżku szpitalnym. To że był skazańcom, nie miało żadnego znaczenia. Traktowano go jak wszystkich innych pacjentów. W luksusach normalnego życia spędził okrągły tydzień, bycząc się za wszystkie czasy, podczas gdy jego dłonie i przedramiona pokryły się nowym, silnym naskórkiem Rankiem ósmego dnia dermatolog

obejrzał efekty kuracji i stwierdził z uśmiechem.

– Dobra robota, Tritt. Wygląda na to, że opuści nas pan dzisiaj. Kazałem przynieść pańskie rzeczy.

Ubierał się możliwie najwolniej jak umiał, ale wiedział, że poza powrotem do roboty i tak nic nie może zrobić. Ruszył do wyjścia, gdy zawołała go jedna z sióstr.

– Skalvy chciałby pana zobaczyć, tutaj proszę!

Skalvy, kierowca cysterny. Carl bez słowa wszedł do pokoju, w którym siedział na łóżku porządnie zbudowany facet. Coś było nie w porządku z jego wyglądem. Carl uprzytomnił sobie, że Skalvy ma amputowane nogi.

– Obcięli obie, kawałek przed stawami biodrowymi – poinformował go Skalvy widząc jego spojrzenie. – Ale nie ma się czym przejmować. Planują regenerację i oświadczyli mi, że za rok będę miał nogi równie dobre jak stare. Ale nie o tym chciałem... – nagle podniósł się na łóżku. – Pokazywali mi film z wypadku, który zrobiły czujniki. Widziałem wszystko. O mało nie zemdlałem widząc jak wyglądałem, gdy mnie pan wyciągnął. Chciałem podziękować za to, co pan dla mnie zrobił – powiedział z uczuciem w głosie i wyciągnął do Carla swą mięsistą dłoń, a widząc ogłupiały wyraz twarzy Carla dodał. – Chcę ją uścisnąć nawet, jeśli jest pan skazańcem.

Kiedy po tym niespodziewanie miłym tygodniu otworzył drzwi do swego pokoju, powitał go znany, metalowy głos:

– Carl Tritt, opuściłeś siedem dni z twojego wyroku pracy. Nie powinny one zostać od niego odliczone, ale z uwagi na precedensowy wypadek jaki to sprawił, zostają one potraktowane tak, jakbyś je przepracował.

Na potwierdzenie tych słów na kalendarzu liczba dni zmniejszyła się o siedem.

– Dzięki za nic – mruknął Carl waląc się na łóżko. Nie zrażony tym głośnik kontynuował:

– Również w związku z twoim zachowaniem spotkała cię nagroda. Zgodnie z Regulaminem Wykonywania Kar twój akt osobistej odwagi i to, że ryzykowałeś życiem, aby ratować człowieka, co jest bezsprzecznie aktem świadomości społecznej, zostaje uznane za początek edukacji i twój wyrok zostaje zmniejszony o trzy lata.

W chwili, w której treść komunikatu dotarła do niego, Carl był na nogach gapiąc się z niedowierzaniem w głośnik. Ku swemu ogromnemu zaskoczeniu dostrzegł, jak na kalendarzu przeskakują lata osiemnaście... siedemnaście... szesnaście i koniec, ot tak sobie. Nie wyglądało to specjalnie wiarygodnie tak sobie ni stąd, ni zowąd odjąć trzy lata od wyroku. Nie ulegało jednak najmniejszej kwestii, że tak było, o czym świadczył kalendarz.

– Kontrola Wyroków – ryknął – hej! Słuchaj no! Co tu się dzieje? To znaczy, jak wyrok może być obniżony bez orzeczenia sądu? Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

– Obniżanie wyroków nie jest podawane do publicznej wiadomości – poinformował go głośnik.

– To mogłoby zachęcić ludzi do łamania prawa. Normalnie skazanym nie przysługuje obniżenie wyroku przed upływem pierwszego roku kary, to znaczy nie są o tym informowani przed końcem tego okresu. Ale w twoim przypadku jest inaczej.

– Jak mogę się dowiedzieć czegoś więcej o obniżaniu wyroku?

– Twoim kuratorem jest Mr Prisbi. On może cię poinformować, co można zrobić. Jesteś z nim umówiony na 13.00 w dniu jutrzejszym. Tu jest adres.

Tym razem złapał kartkę zanim skończyła wysuwać się ze szczeliny w ścianie.

Oczywiste było, że zjawił się za wcześnie – ponad godzinę przed umówionym terminem. I tak

mu to nie pomogło, gdyż robot recepcjonista, wpuścił go dopiero o oznaczonym czasie. Kiedy otworzyły się drzwi, pewnie wkroczył do środka, ostatkiem sił zmuszając się do zwolnienia. Mr Prisbi wyglądał jak marynowany śledź zapomniany w starym słoiku – to było odpowiednie porównanie. Był wysuszony, trupio blady i ogólnie wyniszczony, a w zasadzie zakurzony. Na nosie siedziały mu okulary o tak nieprawdopodobnie grubych szklach, że oglądane przez nie źrenice wypełniały prawie całą soczewkę. Do całości obrazu należało jeszcze dodać sfatygowane ubranie o kroju przestarzałym o jakieś piętnaście lat. Nie uśmiechnął się ani nie wydał żadnego dźwięku, gdy Carl wszedł, tylko obserwował jego pochód przez całą długość pokoju w stronę biurka z dość osobliwym zainteresowaniem.

– Nazywam się... – zaczął Carl.

– Wiem, Tritt – wychrypiało gdzieś z przepaścistej głębi zapadniętej klatki piersiowej. – Siadaj tu -wskazał końcem pióra metalowe krzesło po przeciwnej niż on stronie biurka.

Carl usiadł i momentalnie został oślepiiony potężnej mocy snopem światła. Gdy minął pierwszy szok dostrzegł, że Prisbi przegląda jakąś teczkę leżącą na stole.

– Bardzo dziwne akta, Tritt – wychrypiał w końcu. – Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobały. Nie wiem nawet, dlaczego Kontrola zezwoliła na twoje widzenie się ze mną. Ale skoro już tu jesteś, to może ty mi powiedz.

– Widzi pan, otrzymałem trzyletnie skrócenie wyroku. Nigdy dotąd nie słyszałem o istnieniu takiej możliwości. Kontrola skierowała mnie tu informując, że więcej na ten temat dowiem się od pana.

– Strata czasu – papiery powędrowały z powrotem do szuflady. – Nie ma możliwości zmniejszenia kary przed upływem roku. Masz przed sobą jeszcze dziesięć miesięcy do upływu tego terminu. Wtedy możesz przyjść i wyjaśnię ci, o co chodzi. Teraz odejdz.

Carl nie drgnął, tylko jego dłonie zacisnęły się, gdy desperacko próbował się opanować. Przebrnąwszy jakoś przez to pochylił się w stronę Prisbiego.

– Tylko widzi pan, ja już uzyskałem obniżenie wyroku. Może właśnie dlatego Kontrola przysłała mnie tutaj.

– Nie próbuj uczyć mnie prawa – zapiszczał Prisbi z oburzeniem – ja jestem, aby to robić. Dobrze, powiem ci, chociaż w tej chwili i tak nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia. Kiedy ukończysz pierwszy rok wyroku – pełny rok całej pracy – możesz ubiegać się o obniżenie wyroku. Możesz podjąć pracę, która liczona jest inaczej, na przykład prace niebezpieczne, chociażby przy naprawie satelitów. W takich wypadkach jeden dzień pracy zaliczany jest jako dwa dni wyroku. Są i inne prace – w energetyce atomowej – gdzie możesz dojść i do trzech dni, ale są to rzadkie wypadki. I w ten sposób skazany może sam sobie pomóc, pomagając jednocześnie społeczeństwu, ale to ciebie i tak nie dotyczy.

– Dlaczego nie? – Carl stał teraz trzymając się obu dłońmi blatu. – Dlaczego muszę przez rok wykonywać to kretyńskie zajęcie, które jest zupełnie bez sensu? To jest czysta strata czasu i energii. To, co ja robię przez całą noc, może wykonać średnio rozwinięty robot w trzy sekundy po powrocie śmieciarki. To się nazywa pomoc społeczeństwu? To ma mnie nauczyć...?

– Siadaj Tritt! – wrzasnął Prisbi cienkim, wibrującym dyszkantem. – Czy ty nie rozumiesz gdzie jesteś? Albo kim ja jestem? Powiem ci coś. Do mnie nie zwraca się inaczej niż "Yes, sir" albo "No, sir". A już ci powiedziałem, że masz skończyć pełen rok pracy i dopiero wtedy możesz tu wrócić. To już wszystko.

– Mylisz się! – krzyknął Carl. – Pójdę do twojego zwierzchnika. Nie możesz decydować o moim losie według własnych upodobań!

Prisbi również wstał z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości i ryknął:

– Nigdzie nie pójdziesz! Ja mam tu ostateczne słowo! Słyszysz? Ja ci mówię to, co masz robić. Jeśli ci każę wywozić gnój, to będziesz go wywoził. Dotarło to do ciebie? Jeśli zechcę, to za obraźliwe zachowanie w stosunku do mojej osoby twój wyrok zostanie podniesiony.

Szukał po biurku, aż znalazł mikrofon i włączywszy go wyrzucił z siebie:

– Tu kurator Prisbi. Za obraźliwe zachowanie względem kuratora polecam zwiększyć wyrok więźniowi Carlowi Trittowi o tydzień.

Po sekundzie głośnik odezwał się tym samym tonem:

– Polecenie przyjęto. Carl Tritt, zostaje ci dodanych siedem dni do wyroku, który teraz wynosi szesnaście lat...

Głos przestał docierać do Carla. Obraz przesłoniła czerwona mgiełka. Nie nowość! Jediną rzeczą, z której zdawał sobie sprawę to to, że cały świat zewnętrzny uosabia ta wstrętna wyblakła gęba.

– Ty... nie możesz tego zrobić... – wychrypiał przez zaciśnięte zęby. – Nie możesz mi szkodzić, jeśli jesteś tu po to, aby mi pomagać.

Nagle go olśniło.

– Ale ty przecież nie chcesz mi pomóc! Uwielbiasz odgrywanie roli Boga przed skazańcami, obracając ich życie w swoich łapskach...

Jego głos został zagłuszony przez skrzek Prisbiego do mikrofonu:

– ... niespotykana bezczelność... polecam dodać miesiąc...

Carl słyszał, co tamten skrzeczy, ale już go to nie obchodziło. Starał się przystosować do ich stylu, ale już dłużej nie mógł. Nienawidził całego tego systemu i tego człowieka, który był jego częścią składową. Jego najbardziej. Nie, nie pozwoli, aby o jego losie decydował ten wstrętny sadysta. Już nie pozwoli.

– Zdejmij okulary – polecił piskliwym głosem.

– Co... że co? – Prisbi przestał wreszcie wrzeszczeć do mikrofonu.

– Już nic! – stwierdził Carl i przechylając się przez stół zdjął okulary z nosa zaskoczonego Prisbiego. – Zrobię to za ciebie.

Dopiero gdy oprawki stuknęły o blat, Prisbi zorientował się co się święci.

– Nie!

To było wszystko, co zdążył powiedzieć, zanim pięść Carla wylądowała na jego twarzy, masakrując wargi, wybijając zęby i posyłając go razem z fotelem pod ścianę. Z porozbijanych kostek ciekła krew, ale Carl nie zważał na to. Stał nad wijącym się i skomlącym na podłodze facetem i śmiał się. Nadal śmiejąc się opuścił pomieszczenie.

Robot recepcjonista na jego widok zaczął coś mówić, ale nie dane mu było skończyć. Ciągłe zanosząc się ze śmiechu Carl złapał mosiężną papierośnicę i roztrzaskał mu głowę. Coś w jego środku trzęsło się z przerażenia, gdy to robił, ale to coś było bardzo niewielką częścią jego osoby. Nareszcie to, co robił, sprawiało autentyczną przyjemność – łamać prawo, łamać całe prawo, wszystkie te reguły, które do tej pory trzymały go w klatce. Gdy zjeżdżał windą resztki histerycznego śmiechu zamarły i uspokojony wytarł sobie czoło rzeświście skropione potem. Czynność tę przerwała dobrze znana mu sytuacja.

– Carl Tritt, popełniłeś przestępstwo i twój wyrok został podniesiony... – dobiegło go z głośnika.

– Gdzie jesteś? – zawołał. – Nie bój się i nie szepcz mi do ucha. Wyłaź! – zbliżył się do ściany,

badając dokładnie, aż odkrył obiektyw. – Widzisz mnie, tak?! – wrzasnął. – Ja też cię widzę!

Jednym uderzeniem zmiażdżył soczewkę, potem rozdarł tkaninę i znalazł głośniczek... Głos zamarł z cichym piskiem. Gdy wyszedł na ulicę ludzie uciekali pod ściany, ale on nie zwracał na to uwagi. Jego celem był inny przeciwnik – każdy obiektyw i głośnik, jaki napotkał na swojej drodze zamieniał w bezużyteczny wrak. Jego przejście znaczyły również zamarłe i zniszczone roboty. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zostanie złapany, ale nie bardzo na to zważał i nie starał się tego uniknąć. Teraz następowało to, co było ukoronowaniem jego całego życia, a to, co będzie potem, było bez znaczenia. Głośniki były uparte, nie przestawały do niego gadać ani przez chwilę, ale to tylko ułatwiało zadanie – odnajdywał je i niszczył. Po każdym takim zniszczeniu jego wyrok ulegał podwyższeniu, co go szalenie bawiło.

– Łącznie dwieście dwanaście lat, dziewiętnaście dni i... – głos zamarł, gdy jakiś zespół kontrolny spostrzegł, że to, co mówi, jest ewidentną bzdurą, lecz po chwili odezwał się znowu – Carl Tritt, twój wyrok jest wyższy niż spodziewana długość twojego życia i dlatego też...

– Zawsze jest jakieś wyjaśnienie – ryknął Carl. – Gówno mnie ono obchodzi! Tylko gdzie ty jesteś? Muszę cię dostać!

– ... i w takim przypadku konieczny jest proces. Policja jest teraz w drodze po ciebie. Jesteś zobowiązany do spokojnego oczekiwania albo...

Cios kamieniem był celny.

– Przyślijcie ich! – wrzasnął Carl w stronę pogiętej blachy i wyłazących z niej drutów. – Zajmę się nimi również!

Śledzony przez wszechobecne obiektywy Centrali nie miał żadnych szans, toteż pościg nie trwał zbyt długo. Tym niemniej samo ujęcie przestępcy nie było prostą sprawą – trzech z pięciu policjantów, którzy po niego przybyli, nie było w stanie wykonać najmniejszego ruchu, gdy w końcu jednemu z pozostałej dwójki udało się wpakować mu zastrzyk obezwładniający.

Ten sam sędzia i ta sama sala sądowa, tylko tym razem obecnych było jeszcze dwóch strażników – ludzi, żeby pilnować niesfornego więźnia, choć ten nie wyglądał na wymagającego tak czułej opieki. Siedział spokojnie na krześle.

– Uwaga! Sąd orzeka – rozległ się donośny głos automatu – Carl Tritt, sąd orzeka cię winnym.

– Znowu?! – zdziwił się Carl. – Nie znudziło ci się powtarzać w kółko tego samego?

– W trakcie odczytywania wyroku obowiązuje cisza – ryknął sędzia i kontynuował normalnym głosem. – Zostałeś uznany popełnienia tak licznych przestępstw, że wymienianie ich jest niecelowe, a łączny wymiar kary pozbawienia wolności byłby zbyt wysoki, aby istniała szansa, że starczy twojego życia na jej odbycie. Dlatego zostajesz skazany na Śmierć Osobowości. Chirurgia mózgu wymaże z twojego ciała wszystkie ślady twej osobowości tak, że będziesz całkiem martwy.

– Niezupełnie tak – zaoponował Carl. – Raczej w ten sposób!

Zanim któryś ze strażników zdążył zareagować, celny cios krzesłem rozciągnął pierwszego z nich na ziemi. Drugi próbował dobyć broni, ale Carl nie dał mu na to czasu – noga od krzesła, bo tyle zostało z całego mebla, trafiła strażnika pod uchem i posłała ku towarzyszowi niedoli.

– Teraz sędzia! – westchnął Carl z prawdziwą satysfakcją, zamieniając głowę automatu w dymiącą ruinę.

W hallu prowadzącym do sali naprzeciw rozległ się odgłos zbliżających się kroków. Było to jedyne wyjście z sali, toteż zakończenie działalności, która sprawiała mu tyle satysfakcji, wydawało się Carlowi nader bliskie. Nie miał zresztą konkretnego planu – chciał tylko być wolny i dokonać tak wielu zniszczeń w znieprawionej Kontroli, ile tylko się da. Zaskoczony nadciągającym hałasem

rozejrzał się dookoła. Jego wyszkolone oczy technika dostrzegły nagle płytkę, dość dobrze zamaskowaną w ścianie znajdującej się za plecami sędziego robota. Jednym susem znalazł się przy niej i po krótkim mocowaniu odblokował zamek, otwierając płytę do ciemnego korytarza. Oczywiście jego poczynania były obserwowane przez jeden z wszędobylskich obiektywów, który znajdował się w sali sądowej zbyt wysoko, aby Carl mógł go dosięgnąć. Ale to nie miało znaczenia – i tak maszyny będą towarzyszyły mu wszędzie. Wszedł do korytarza w tym samym momencie, w którym dwa roboty wkroczyły do sali rozpraw.

– Car! Tritt, poddaj się natychmiast! Jeśli nie, to... to... Car... Ca...

Słuchając ich zamierających głosów przez cieką blachę drzwi, Car! nagle zrozumiał – był w jedynym miejscu, w którym był niezauważalny dla Centralnej Kontroli. Był wewnątrz jej centralnego mechanizmu. Dla maszyny myślącej było rzeczą niemożliwą naprawianie samej siebie, a raczej swojej pamięci. Mogłoby to mieć nader niekorzystne konsekwencje. Napraw musiały dokonywać niezależne automaty, toteż niecelowe, a nawet niebezpieczne byłoby instalowanie urządzeń podglądu w jej wnętrzu. A konsekwencją tego było to, że zniknął z pola widzenia maszyny, czyli przestał dla niej istnieć. Było nader prawdopodobne, że pamięć o nim i o jego poczynaniach została już skasowana jako zbędna. Powoli ruszył korytarzem przed siebie i nagle zrozumiał, co to znaczy.

– Wolny! – wykrzyknął. – Naprawdę wolny! Pierwszy raz w życiu! Mogę zmusić roboty naprawcze, żeby przynosiły mi jedzenie, meble, rzeczy, cokolwiek chcę. Mogę tu żyć jak chcę i robić co chcę!

Otworzył następne drzwi i osłupiał. Znow znalazł się w pokoju, który był całkowicie umeblowany i wyposażony tak, jak sam by to zrobił. Książki, obraz, nastrojowa muzyka – gapił się na to wszystko w całkowitym osłupieniu, dopóki za jego plecami nie odezwał się głos:

– Oczywiście, że byłoby to cudowne życie. Być władcą miasta i mieć wszystko, czego się zapragnie na jedno skinienie ręki. Tylko co cię skłoniło, biedaku, do przypuszczenia, że jesteś pierwszy, który na to wpadł? A poza tym nie wiem czy wiesz, ale tu naprawdę jest miejsce tylko dla jednej osoby, a ponieważ ty przybyłeś zbyt późno, tą osobą jestem ja.

Carl obrócił się wolno, mierząc jednocześnie odległość między sobą a tym, który mówił, badając szansę dostania się do niego zanim tamten zdąży zrobić użytek z pistoletu, który trzymał w dłoni.

W erze lotów międzyplanetarnych roboty będą potrzebne tak w kuchni, jak i w siłowniach statków kosmicznych. Ale ci mechaniczni służący poza tym, że będą obsługiwali, będą też oczekiwali od człowieka usług wszelkiego rodzaju. Mechanicy są potrzebni wszędzie – nawet na pokładach zautomatyzowanych samolotów obecnej ery. Automatyczne domy słoneczne muszą być konserwowane. Tego nie da się uniknąć. Każdy mechanizm musi być konserwowany i naprawiany. Okręty kosmiczne będą przemierzały przestrzeń tak pewnie, jak inne obecnie pływają po morzach Ziemi. Ale ciągle potrzebna będzie do tego nawigacja. No i porty, do których mogłyby zawijać. A tym będą potrzebne lądowiska i obsługa. I jeszcze jedno – lądowisko, nawet najbardziej solidnie zbudowane, będzie czasem wymagało naprawy...

Konserwator

Stary miał taki wyraz twarzy, jakby zamierzał powiedzieć coś mądrego i wzniosłego. Byliśmy sami w biurze, a ponieważ sądzę, że najlepszą obroną jest atak, zacząłem pierwszy.

– Odchodzę. Nie wciskaj mi głodnych historii, jaką to brudną robotą musisz się zajmować, bo i tak mnie to nie ruszy.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Wdusił jeden z przycisków na biurku i na blacie pojawiła się płachta jakiegoś dokumentu.

– To jest twój kontrakt – poinformował mnie uprzejmie. – Mówi on jak i kiedy możesz go zerwać. Stop stali i wanadu. To nie jest materiał, który możesz zniszczyć byle rozpylaczem, chłopcze!

Zanim zdążył zareagować, ja pochyliłem się do przodu i wyłuskałem mu arkusz z dłoni. Tym samym ruchem ciągnąłem wyrzuciłem go w powietrze i nim zdążył opaść trafiła go wiązka z mojego miotacza. Nie jestem specjalnie utalentowanym wynalazcą, ale Solar mi się udał – na podłogę opadły nie dające się odczytać strzępki materii. Stary wdusił ponownie guzik i drugi, srebrzyście połyskujący arkusz znalazł się na blacie biurka. Jego twarz była jeszcze bardziej zatroskana niż przed chwilą.

– Powiniennem ci powiedzieć, że to był duplikat twojego kontraktu tak, jak ten zresztą też – tu stuknął palcem w arkusz. – A tak na marginesie, to odciągam z twojej wypłaty trzynaście kredytów za duplikat i sto tytułem kary za użycie broni w zamkniętym pomieszczeniu. Przechodząc zaś do rzeczy, to tu jest napisane, że nie możesz zerwać umowy w takich warunkach jak obecne, czyli po prostu bez powodu. Dlatego też nie mówmy już o tym. Mam dla ciebie małą robótkę, z rzędu tych, które lubisz. Naprawa. Beacon Centurii przestał działać. To beacon typu Mark III...

– Jaki typ powiedziałaś?

Być może nie był to z mojej strony szczyt uprzejmości przerywanie mu w połowie słowa, ale jeśli ktoś tak jak ja zajmuje się naprawą i konserwacją beaconów hiperprzestrzennych w całej Galaktyce i to od ładnych paru lat, to ma prawo trochę w siebie zwątpić, jeśli słyszy po raz pierwszy o jakimś nieznanym typie.

– Mark III – powtórzył uprzejmie Stary. – Nie przejmuj się, ja też nic o takim nie słyszałem dopóki archiwum nie znalazło jego danych. To jeden z pierwszych typów, a po mojemu, lokalizacja na jednej z planet układu Centurii wskazuje na to, że może to być zgoła pierwszy, jaki w ogóle powstał.

To co przeczytałem w dokumentach, które zdążył w międzyczasie wyjąć z szuflady, zjeżyło mi włosy na głowie.

– Przecież toto ma ponad dwieście metrów wysokości i jeszcze Bóg jeden wie, jak to wygląda. Jestem konserwatorem, a nie archeologiem. Tym czymś, co ma w dodatku dwa tysiące lat powinni zająć się archeolodzy. Zamiast szukać tego rupiecia, lepiej zbudować nowy!

Na to kazanie Stary założył kciuki za kamizelkę i zaczął czterdziestą lekcję Obowiązków Kompanii i Moich Osobistych Kłopotów.

– Ten departament jest oficjalnie nazwany Inwestycje i Naprawy, a powinien nazywać się Kupa Kłopotów. Nie muszę ci przypominać, że beaconsy hiperprzestrzenne powinny funkcjonować wiecznie albo coś koło tego. Kiedy któryś wysiada, to nigdy nie jest wypadek, a naprawa nigdy nie ogranicza się do wymiany jednej śrubki. A poza tym zainstalowanie nowego beaconu zajęłoby ponad rok – to po pierwsze, jest diabelnie drogie – to po drugie, ten zabytek jest jednym z najważniejszych – to po trzecie, a w podprzestrzeni są w tej chwili cztery statki w zasięgu piętnastu lat świetlnych, które są unieruchomione – to po czwarte.

To był tupet! Mówić takie rzeczy mnie, który robił całą brudną robotę, podczas gdy on płaszczył swoją szlachetną dupę w klimatyzowanym biurze!

– Poza tym – kontynuował – guzik mnie obchodzi, że jesteście bandą oszustów na skalę kosmiczną. Nie interesuje mnie, co robicie w wolnym czasie – szantaż, kradzieże – każdy robi to, co lubi. Jeśli chodzi o was, łobuzy albo konserwatorzy, co kto woli, to możecie wieszać się nawzajem, byle tylko statki szły tam, gdzie mają i beacony były sprawne!

Sądząc po optymistycznym akcencie był to koniec miłej pogawędki, toteż zebrałem ze stołu makulaturę i udałem się ku drzwiom. Gdy już miałem klamkę w rękę, dogoniły mnie jeszcze jego słowa:

– I nie radzę ci wysilać się nad jakimś dowcipnym sposobem wyłgania się z kontraktu. Możemy zablokować twoje konto na Alad II, zanim zdążysz poprosić o wypłatę.

Uśmiechnąłem się z wyższością i opuściłem pomieszczenie. Jego szpicle zaczęli pracować na swoją pensję. Co prawda, nigdy nie liczyłem na to, że uda mi się utrzymać to konto w tajemnicy w nieskończoność, ale mogli z tym poczekać parę dni. Przemierzając hali zastanawiałem się nad sposobem bezkolizyjnego wyciągnięcia swoich pieniędzy, wiedząc jednocześnie o tym, że w tym samym czasie Stary rozmyśla nad problemem wręcz odwrotnym. Było to na dłuższą metę zbyt męczące, toteż skrzyłem do najbliższego baru.

W czasie, gdy ekwipowano moją łajbę, zająłem się obraniem najdogodniejszej marszruty. Najbliżej zniszczonego beaconu znajdowała się klasyczna Beta na circinucie. Postanowiłem zacząć od niej. Z mojego aktualnego miejsca pobytu był to drobiazg – jakieś dziewięć dni hiperprzestrzeni.

Żeby zrozumieć istotę beaconów należy najpierw pojąć hiperprzestrzeń. Nie jest to, według mnie, specjalnie skomplikowane zadanie, tym niemniej znam niewielu, którzy by to potrafili. Największą trudność sprawia pojęcie tego, czego praktycznie nie ma, bo nie sposób tego zobaczyć, a nie dość, że istnieje, to jeszcze rządzi się pewnymi stałymi regułami. Najważniejszą z nich jest ta, że nie ma w niej niczego, co umożliwiałoby orientację. Do tegoż właśnie celu służą budowane na różnych planetach beacony, czyli źródła potężnych strumieni promieniowania, które umożliwia poruszanie się statkom w hiperprzestrzeni. Każdy z nich ma swój system pulsacji odróżniający go od pozostałych w celu identyfikacji, a do normalnego skoku potrzebne jest współistnienie przynajmniej czterech takich źródeł. Do dłuższych podróży potrzeba większej ich liczby. W ten prosty sposób wychodzi na to, że podstawą bezpieczeństwa i możliwości skoków w ogóle jest ciągłe działanie wszystkich beaconów. Pięknie to brzmi, gdy tymczasem jeden z nich, o podstawowym znaczeniu, najzwyczajniej w świecie zamilkł. W takich właśnie chwilach okazuje się, że ta banda wykolejeńców, jak nas Stary łaskawie nazywał, czyli konserwatorzy, są potrzebni. Na wyposażeniu mamy specjalnie projektowane jednostki wyposażone praktycznie we wszystko, co może i nie może się przydać – ot, taki latający przegląd ludzkiej produkcji i pomysłowości. Maszyny są jednoosobowe, gdyż komplet robotów naprawczych, jakim dysponuje jednostka, wystarczyłby od biedy na wybudowanie nowego beaconu, tak więc więcej jak jeden człowiek do kierowania nimi byłby czystą rozrzutnością. Problemem jest samotność, gdyż do uszkodzonego beaconu nie można dolecieć w hiperprzestrzeni – po prostu nie wiadomo dokąd ma się lecieć – toteż trzeba podróżować w klasycznej przestrzeni, co niekiedy trwa długie miesiące.

Zgodnie z tą regułą wziąłem namiar na najbliższy czynny beacon i wybrałem przybliżone koordynaty Alfy Centauri. Gdy znalazłem się ponownie w normalnym świecie, wylazłszy ze środka niczego, okazało się, że nieźle trafiłem – komputer stwierdził, że normalna podróż przyświelna potrwa sześć tygodni. Nie mam pojęcia skąd był tego taki pewien, ale komuś musiałem przecieżyć

zaufać, toteż chcąc nie chcąc zgodziłem się z nim i poszedłem spać.

W tym czasie prawie zakończyłem korespondencyjny kurs nukleoniki i przebudowałem po raz dwudziesty moją karierę. Kursu tego nie robiłem bynajmniej dla zaspokojenia moich zboczonych ambicji. Powód był o wiele bardziej prozaiczny – firma podwyższała pensję w miarę zdobywania dodatkowych specjalności przez konserwatorów. Oszalały funkcjonalizm!

Oczywiście ten kretyń włączył alarm planetarny, gdy smacznie spałem, a Alfę Centaur! ledwie było widać na ekranie. Elektroniczny sadysta! Tym niemniej, gdy osiągnęliśmy parkingową drugiej planety, na której ponoć zbudowano ten beacon, byłem w miarę przytomny. Ze starożytnych szpargałów po parogodzinnym wysiłku wywnioskowałem lokalizację, ale kształtu samego beaconu nie byłem już w stanie odgadnąć. Zresztą poza informacjami, że jest to bagnisko – tropikalna planeta – niewiele z tych papierów wynikało.

Koordinaty stanowiłyby niezłą zagadkę dla bardziej lotnych umysłów niż mój. W takiej robocie jak moja człowiek szybko uczy się dbać o własną skórę, toteż wysłałem na rekonesans Szperacza, sam pozostając poza atmosferą. Jako punkty orientacyjne, ci dowcipnisie z zeszłych wieków podały dwa szczyty górskie – beacon miał być pomiędzy nimi. Po sześciu godzinach latania Szperacz namierzył fragment pasujący do tego opisu. Obniżyłem go i zająłem się oglądaniem doliny leżącej między tymi szczytami. Obraz zafalował, zgasł, po czym na ekranie wyłoniła się wstrząsająca w swym ogromie kamienna piramida. Posłałem Szperacza na parę okrążeń okolicy, tak w celu zaspokojenia wyobraźni, jak i w celu przeszukania. W promieniu dziesięciu mil jedyną rzeczą, która wystawała ponad błota w sposób zauważalny, była piramida. Ale to nie był mój beacon. Z nudów opuściłem Szperacza trochę niżej, aby móc lepiej obejrzeć to kuriozum. Budowla była z ciosanego kamienia, surowa w swej prostocie, nigdzie śladu jakiegokolwiek ozdobnika czy innej dupereli. Na samym szczycie znajdował się pokaźny zbiornik z wodą. Zaskoczyłem dopiero po paru chwilach. Poleciałem Szperaczowi stale krążyć wokół piramidy i zacząłem szukać w dokumentacji. Po chwili byłem już w domu – beacon Mark III miał na górze zbiornik wody służący do chłodzenia reaktora. Wniosek był wstrząsający – jeśli zbiornik tu jest, to cała reszta też – wewnątrz.

Tubylcy, którzy oczywiście nie zostali nawet wzmianką zaszczytzeni przez tego idiotę, który sporządzał dokumentację, zbudowali po prostu małą piramidkę wokół aparatury. Ponowny rzut oka przekonał mnie o słuszności tej tezy – ściany piramidy, pięknie teraz widoczne, gdyż Szperacz latał w kółko o jakieś dwadzieścia metrów od jej boków, oblepione były ferajną. Były to półtorametrowe jaszczurki, obdarzone bez wątplenia inteligencją, gdyż zajmowały się właśnie próbami strącenia Szperacza za pomocą strzał i innych kamlotów. Przerwałem im tę radosną twórczość, włączając automatycznego pilota na kurs powrotny do statku. Po wykonaniu tej istotnej czynności zrobiłem sobie zasłużonego drinka. Faktem jest, że miałem na swoim koncie niezłe osiągnięcia, jak dotąd – nie dosyć, że znalazłem aparaturę, co prawda wewnątrz kamiennej budowli (ale to jest już szczegół techniczny), to jeszcze dość skutecznie rozwścieczyłem te stworki, które ją zbudowały. Świetny początek, który, jak sądzę zapoczątkowałby u silniejszego ode mnie alkoholizm. Całe szczęście, że już mi to nie zagrażało.

Konserwatorzy omijają wszelkie lokalne cywilizacje jak rejony objęte prohibicją, z tego też powodu, jak i zresztą paru innych równie dobrych, beacony są budowane na nie zamieszkałych planetach. Jeśli przypadkiem zdarza się inaczej, to sytuuje się go w miejscach raczej niedostępnych. A tu co? Umieścili sobie aparaturę w samym środku miłego, domowego bagienka, które jeszcze awansowało przez to ani chybi na miejscową świętość. No cóż, nie pozostało mi nic innego, jak nawiązać kontakt. A jak wiadomo niezbędna do tego jest znajomość lokalnego języka. A na to byłem

już przygotowany. Dostyc dawno temu wymyśliłem sobie szpicla ogłupiającego w sposób totalny. Nikt nie zwróciłby na niego uwagi, nawet w środku miasta – ot, zwykły trzyfuntowy kamień. Jedynym problemem było nie rzucające się w oczy umieszczenie go. Zlokalizowałem miejscową metropolię jakieś tysiąc metrów od piramidy i posłałem w nocy Szperacza ze szpiclem w pojemniku. Wylądował przy tutejszej drodze i do połowy wleciał w muł. Rankiem, gdy pojawił się pierwszy egzemplarz tubylca, uruchomiłem rejestrację głosu i obrazu. Gdzieś po pięciu lokalnych dniach w pamięci translatora był wystarczający zapas słów do prowadzenia konwersacji. Przyszedł czas na doświadczenia. Wybrałem jednego tubylca, który przechodził koło szpicla dzień w dzień, umieściłem w rowie dodatkową aparaturę i pewnego pięknego poranka przyszedł czas na kontakt. Gdy podszedł tego ranka w pobliże stanowiska, odezwałem się:

– Witaj o Goat, mój wnuku! To ja – duch twojego dziadka! Przemawiam do ciebie z zaświatów – to, co powiedziałem, zgadzało się z miejscową religią tak, że szansa wykrycia kłamstwa była minimalna.

Zanim zdołał na tyle dojść do siebie, aby wziąć nogi za pas, przekręciłem dźwigienkę i na drogę sypnęły się dwa naszyjniki tutejszych muszli, czyli lokalnej waluty.

– Masz tu trochę gotówki z zaświatów, jestem bowiem z ciebie zadowolony, chłopcze. Przyjdź tu jutro, to trochę porozmawiamy.

Z zadowoleniem stwierdziłem, że mój podopieczny najpierw się uklonił, a potem złapał muszle i ruszył tak, że aż błoto pryskało. Poza tym, że gotówka nie pochodziła z zaświatów, lecz z jednego z magazynów, wszystko się zgadzało. Po tym trudnym początku dziadek z wnuczkiem odbyli wiele szczerych rozmów w przydrożnym rowie. Dla obu były one owocne. Trochę mniej dla okolicznych sklepów. Tym niemniej dowiedziałem się tego, czego potrzebowałem z historii i współczesności jaszczurek i nie były to miłe informacje. Z bieżących nowości najważniejszą była mała, religijna wojenka, jaka toczyła się naokoło piramidy.

Oczywiście wszystkiemu byli winni moi kretyńscy przodkowie budujący beacon. Żadnemu z nich nie wpadło do łba, że mrowiące się w okolicznych bagnach tałatajstwo może stać się rasą inteligentną i zainteresować się aparaturą jako tworem czysto religijnym. Co notabene nastąpiło. Dolinę uznano za świętą, beacon za świątynię, dorobiono opakowanie, a wodę użytą do chłodzenia, która była odprowadzana do rezerwuaru oczyszczającego, za magiczny płyn bogów. Co ciekawe, to tym tu, radioaktywność wody wcale nie przeszkadzała, wprost przeciwnie – wywoływała w nich korzystne mutacje. No cóż, co kraj to obyczaj. Dla dopełnienia całości zbudowali w pobliżu miasto i przez stulecia żyli w szczęściu i spokoju. Specjalna kasta kapłanów zajmowała się obsługą świątyni. Wszystko było piękne do pewnego dzionka, jakieś pięć miesięcy temu. Wtedy to jeden z nich bądź na skutek wybujałych ambicji, bądź innych zaburzeń psychicznych wtargnął do wnętrza świątyni i coś tak pomajstrował (to moja teoria), znaczy rozgniewał bogów (to ich teoria), że święta woda przestała lecieć. Konsekwencją tego była rewolucja, masakra i zmiana kapłanów (starzy przenieśli się na zasłużony odpoczynek w zaświaty). Nowa banda kapłanów strzegła świątyni, ale wody jak nie było, tak nie ma.

Rozeźlone społeczeństwo założyło oblężenie świątyni oraz niesolidnych kapłanów i czekało na cud. A moja osoba miała ni mniej ni więcej tylko wleźć w sam środek tej kotłowaniny, żeby naprawić ten mebel.

Pomyślawszy o tym przytargałem prefabrykaty pianolitu i na podstawie trójwymiarowego modelu wnuczka sporządziłem sobie kombinezon przypominający tubylca. Sam sobie się raczej podobam, ale wolałem nie ryzykować pokazywania się we własnej osobie – okaże się, że nie jestem w ich typie i co...? Nie wyglądałem w tym przebraniu jak jeden z nich, ale o to mi chodziło. Nie

miałem być tubylcem, tylko ich wyobrażeniem o duchach. Logiczne. Jeślibym na ten przykład żyjąc w starożytnym Egipcie spotkał przedstawiciela rasy zamieszkującej Spician i wyglądającej jak dwudziestostopowa krzyżówka ośmiornicy z befsztykiem sądzę, że w trybie pospiesznym opuściłbym miejsce spotkania. Co innego, gdyby gość miał kształty humanoidalne – pewnie bym został, a na pewno nie zrobiłbym odwrotu tak pospiesznie. Tak więc założyłem stelaż, potem twarzowy, zielony plastik jako skórę i upchnąwszy elektroniczny ekwipunek w ogonie przymocowanym do pasa systemem klamer i dźwigni, stanąłem przed lusterkim. Wstrząsające, ale efektowne. Ogon ciągnął mnie do tyłu, przez co poruszałem się z dostojeństwem kaczuki, ale to tylko wzmagало autentyczność postaci. Wsadziłem na głowę łeb z kamerami zamiast oczu i zadowolony z siebie, podczepiwszy się pod szpicła ustrojonego na podobieństwo pterodaktyla powędrowałem w dół, kierując się na wejście do piramidy. Wyglądało to na autentyczne zstąpienie z nieba i wywarło podobny efekt. Pierwszy, który mnie dojrzał, uciekł z takim wrzaskiem, że lądowałem na zupełnie pustym placu.

Uniosłem ramiona gestem proroka i ryknąłem:

– Witajcie czcigodni słudzy Wielkiego Boga!

Translator zadziałał, głośniki też i wspaniałe echo odbiło się od ścian piramidy. Zadowolony z efektu, jaki wywołałem wśród zbiegowiska, kontynuowałem:

– Chciałbym pomówić z wami, Czcigodni!

Zanim zdołali zdecydować się na jakąś konstruktywną odpowiedź wszedłem do środka. Sala była niezbyt okazała w porównaniu z resztą budowli i mam nadzieję, że nie złamałem zbyt wielu tabu naraz. Na końcu była sadzawka wypełniona błotem z ciekawym gadem w środku. Osobnik ów zerknął na mnie wzrokiem śniętej ryby i coś tam zbulgotał. Słuchawka w moim uchu wyszeptała:

– Skąd w imię trzynastu demonów żeś się tu wziął?

Skłoniłem się uprzejmie i odparłem:

– Przybywam z misją i posłaniem od twoich przodków. Chcę wam pomóc odzyskać Świętą Wodę.

Szef opadł w błoto, że ledwie oczy mu wystawały i prawie słyszałem wysięk, z jakim trawił te nowiny w głębinach swojej czaszki. W końcu musiał je jednak przetrawić, bo go poderwało i wyciągnąwszy paluch ku mnie, wrzasnął:

– Jesteś kłamcą! Nie jesteś naszym przodkiem! My...

– Zamknij się! – mój ryk był jeszcze efektowniejszy, bo prawie go utopił. – Powiedziałem ci, że jestem wysłańcem przodków, a nie, że jestem jednym z nich. Nie waż mi się sprzeciwiać, bo przodkowie zwrócą się przeciwko tobie.

Dla poparcia moich słów rzuciłem w odległy kąt świątyni granat. Wywaliło twarzową dziurę w podłodze i spowodowało efektowny kłęb dymu.

Szef przemyślał widać sprawę, bo zaczął gadać z sensem – zwołał radę kapłanów. Gulgotaliśmy i chrząkaliśmy ponad godzinę i w efekcie poczłapaliśmy w głąb budowli – do pancernych drzwi strzeżonych przez dwóch wartowników. Gdy zaczęły się otwierać, szef zwrócił się do mnie:

– Bez wątplenia wiesz, że zasadą ustaloną od wieków jest, że w Miejsce Najświętsze ze Świętych może wejść jedynie osoba ślepa.

Założę się, że ogłaszając mi tę nowinę uśmiechał się. Jego trzydzieści parę zębów błysnęło w świetle łuczyw. Wyglądało to, wypisz wymaluj, jak ujmujący uśmiech wykonany przez zepsuty zamek błyskawiczny. Wczekałem, aż zbliżył rozpalone żelazo, przygotowane bez wątplenia na moją cześć do prawego obiektywu, po czym odezwałem się:

– Oczywiście, że oślepienie jest słuszne, ale musisz trochę poczekać w moim przypadku. Potrzebuję swoich oczu do naprawy Świętej Wody. Gdy popłynie znowu, oślepisz mnie, gdy będę

wychodził z Najświętszego ze Świętych Miejsc.

Zastanawianie się nad tą możliwością zajęło mu półtorej minuty, po czym zgodził się ze mną. Lokalny kat sapnął zawiedziony i drzwi stanęły otworem. Po chwili byłem sam w ciemności. Lecz nie na długo. Obok mnie zmaterializowało się trzech oślepionych kapłanów, którzy bez słowa zaprowadzili mnie do solidnych drzwi z napisem MARK III BEACON – WSTĘP TYLKO DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH. Stwierdziłem, że wydaję się sobie osobą jak najbardziej upoważnioną, toteż otworzyłem drzwi i wszedłem, zostawiając trzech przewodników po ich drugiej stronie, po czym starannie je za sobą zamknąłem.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniłem, było pozbycie się kostiumu, którego stelaż nie był specjalnie wygodnym przyodziewkiem. Następnie wziąłem się za dokumentację i zlokalizowałem sterownię. Awaryjne oświetlenie udało mi się uruchomić już po piętnastu minutach. Zdziwiałem, ale na pierwszy rzut oka, nic tu nie wyglądało na zniszczone. Zgodnie z oczekiwaniami jedna z jaszczurek zapałała chęcią wiedzy i dobrała się do skrzynki z bezpiecznikami. Pomajstrował sobie ten obiecujący młodzian, w wyniku czego wywaliło wszystkie bezpieczniki i cały ten interes wyłączył się. To był problem. A w zasadzie początek problemów, gdyż bezpośrednim skutkiem tego było wylanie się chłodziwa, a pośrednim usunięcie paliwa z reaktora, aby uniknąć reakcji łańcuchowej. Tym niemniej pradziadkowie budowali dobrze – ponad dziewięćdziesiąt procent maszynowni było bez zarzutu po przeszło dwóch tysiącach lat.

Sporządziłem listę części i wysłałem zamówienie na statek. Szperacz przywiózł to wszystko w nocy i odleciał nie zauważony. Nazajutrz miałem niezłą zabawę obserwując kapłanów targających cały ten ładunek pod moją komendą.

Sama naprawa była dziecinnie prosta i zajęła mi zaledwie dziesięć godzin. Byłem na tyle zadowolony, że zainstalowałem jeszcze w odpływie wody drobiazg nadający wodzie zielonkawą kolor. Według moich obliczeń powinien pracować około pięćset lat. Wodę włączyłem dopiero rano, żeby efekt był większy. Faktycznie był – radosny ryk tłumu przeniknął nawet do mnie przez zwały kamienia. Zupełnie nieźle musiało się to prezentować na zewnątrz. Dopiąłem kombinezon i podążyłem ku drzwiom i niezwykle radosnej emocji związanej z wypalaniem oczu. Ślepi kapłani oczekiwali mnie w korytarzu za pierwszymi drzwiami i wyglądali na mniej szczęśliwych niż zazwyczaj. Zrozumiałem dlaczego, gdy spróbowałem je otworzyć. Były zamknięte na wszystkie możliwe sposoby – jak zdążyłem się zorientować, miejscowe jaszczurki były asekurantami.

– Zostało postanowione – odezwał się jeden z nich – że pozostaniesz tu na zawsze, aby pilnować Świętej Wody. My pozostaniemy tu także, aby ci służyć i zaspokajać twoje potrzeby.

Oszalamiająca perspektywa – nic, tylko szczyt moich marzeń – spędzić resztę moich dni w zamkniętym beaconie z trójką ślepych jaszczurek! Ich troskliwość o moją osobę była naprawdę wzruszająca. Tyle że nie lubię czułych gadów.

– Co?! Ośmielacie się zakłócać wolę przodków?! – odpaliłem wzmacniacze na pełną moc i o mało nie rozwalilo mi uszu.

Wyciągnąłem mojego Solara i wywaliłem magazynek w drzwi. Jak należało się spodziewać zamek zniknął, a drzwi stanęły otworem. Zanim moi opiekunowie zdążyli zrozumieć, co się dzieje, złapałem ich kolejno za karki i wystawiłem za drzwi. Zanim zamknąłem je dokładnie za sobą, musieli osiągnąć już koniec schodów. Sądząc z odgłosów, wpadli właśnie do sali z bajorkiem. Pognałem za nimi i dopadłem szefa zanim nagromadzony tłum zdążył wyjść z osłupienia. Fakt faktem że miał on nader dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy – zdążył się prawie zanurzyć, zanim go dopadłem i wyciągnąłem z bajora. – Co za chamstwo! – tym razem przykręciłem wzmacniacz, bo jeszcze mi dzwoniło w uszach po poprzednim występie. – Za karę przodkowie zdecydowali, że

dostęp do Świętej Wody będzie zamknięty na zawsze. Ale w swojej dobroci pozwalają jej płynąć.

To mówiąc wypaliłem w stronę schodów, robiąc tam wcale niezgorszy zawał. Razem z zaspawanymi laserem drzwiami powinno ich to wystarczająco zniechęcić do prób odkrywczych.

– A teraz czas na uroczystość!

Ponieważ miejscowy kat był jak reszta osłupiały, nie tracąc czasu na perswazje zabrałem mu żelazo i wsadziłem sobie w oba oczodoły. Kamery szlag trafił, a plastik dał wcale niezły smród. Wstrząsnęło to wszystkimi, mną prawie też. Zanim zdążyli wpaść na jeszcze jakiś wspaniały pomysł, przekręciłem wajchę i mój sfalszowany pterodaktyl wleciał do środka. Oczywiście, z wypalonymi oczami nie byłem w stanie dojrzeć go, ale szczęk karabińczyków umocowanych na moich ramionach był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki słyszałem w ciągu ostatnich paru tygodni. A potem poczułem, że lecę. Gdy uznałem, że jestem wystarczająco wysoko, zdjąłem z siebie łeb i spojrzałem na malejącą piramidę. Tłum rozanielonych jaszczurek kłębił się w radioaktywnej sadzawce. Zrobiłem rachunek sumienia. Wyszło nawet niezłe: po pierwsze – beacon naprawiony; po drugie – wejście było totalnie zatkane, tak że przyszłe ewentualne sabotaże, wypadki czy przypadki były wykluczone; po trzecie – kapłani powinni być zadowoleni – woda znowu płynęła, moje oczy były wypalone, a oni znowu kierowali interesem; po czwarte – do następnej naprawy przyślą już innego konserwatora, bo nie nastąpi ona tak szybko i to było właśnie to, co cieszyło mnie najbardziej.

Człowiek może kiedyś stracić zainteresowanie wojną, ale nie zwycięży swoich odruchów. Odruch walki jest tak silny, że mało prawdopodobne jest, aby został całkowicie przytępiony w wyniku ewolucji. Choćby teraz, gdy idea wojny jest dla większości z nas niepociągająca, a już z pewnością nie jest czymś przyjemnym, to jednak coś się w nas raduje i z przyjemnością słuchamy wojennych bębnow czy huków dział w salucie honorowym. I jak wskazują dotychczasowe doświadczenia, wielu ludzi pracuje w przemyśle zbrojeniowym, tak czy inaczej doskonaląc istniejącą broń, choć wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jeśli zostanie ona użyta, to skutecznie wyeliminuje nas z powierzchni tej planety.

Jeśli szczęśliwie tego unikniemy (przez głupi przypadek zresztą), to z pewnością człowiek nie omieszka wyekspediować tych miłych drobiazgów reszcie Galaktyki. Jeśli natomiast spotka obcą rasę, niezbyt skłoną zająć się wojną..., to tym gorzej dla niej. A jeśli nie będzie żadnej rasy pod ręką, to człowiek powróci do swego najstarszego wroga. Siebie. Oczywiście jego starzy koledzy, czyli roboty będą robiły to także. Przecz jasna – będą to robiły lepiej, gdyż staną się lepszymi żołnierzami – trudniejszymi do zniszczenia, skuteczniejszymi w niszczeniu i oczywiście, z wbudowanym instynktem zabijania...

Zacofana planeta

– Ależ ta wojna zakończyła się lata przed moim narodzeniem! W jaki sposób jeden głupi torpedowiec może kogokolwiek zainteresować? – Dall, zwany Małolatem, był najwyraźniej skutecznie ogłupiony.

Jego szczęściem było, że komandor Lian Stane poza dużą ilością doświadczenia i wytrzymałości miał niewyczerpane zapasy zimnej krwi i był człowiekiem z natury spokojnym.

– Było to dokładnie pięćdziesiąt lat temu, a Era Służalstwa też trwała swój czas, ale to nie znaczy, że od tego czasu wszystko, co zostało wypuszczone w przestrzeń w związku z wojną, przestało po niej latać! – Stane spojrział w okno, gdzie na pierwszym planie rysował się kształt jego okrętu wojennego, widmowy na tle gwiazd, składających się na imperium, z którym walczyli tak długo, by je w końcu zniszczyć. – A samo Służalstwo trwało pewnie ze sto lat, a ciągle jesteśmy w połowie rekonstruowania ekonomii i gospodarki i wyciągania ich z poziomu niewolniczego. Poza tym musimy jeszcze uważać na ich maszyny, takie jak to tu! – kopnął z obrzydzeniem pokład.

– To wszystko to ja znam na pamięć! – Dall był już wyraźnie zdenerwowany. – Na planetach jestem od chwili wstąpienia do floty. Tylko co to wszystko ma wspólnego, do diabła, z tą cholerną Mozaiką, którą tyle czasu goniliśmy? Przecież zrobiono ich podczas wojny chyba z bilion i wypuszczono w chmurki. Jak, u Boga Ojca, jeden taki antyk może wzbudzać zainteresowanie?

– Gdybyś choć raz uważnie przeczytał opis techniczny – komandor wskazał na broszurkę leżącą przed nim – zamiast marnować energię w okolicznych burdelach, traciłbyś teraz trochę mniej nerwów. Torpedowiec klasy Mozaika jest bronią przystosowaną do wojny w przestrzeni. Jest to praktycznie rzecz biorąc statek kosmiczny sterowany przez komputer zaprogramowany tak, aby odnaleźć określone cele i zniszczyć je. Ma, rzecz jasna, własną obronę jak i mechanizm autodestrukcji w przypadku dostania się w obce ręce lub wyczerpania źródeł energii. Jego główną bronią są torpedy energetyczne, zdolne zniszczyć dowolną planetę.

– Nigdy nie sądziłem, że to ma pokładowy komputer – mruknął Dall. – Mówi się zawsze, że roboty mają zakodowane blokady, uniemożliwiające zabijanie ludzi. Czy ten nie ma tego wynalazku?

– Raczej wbudowany niż zakodowany. To bardziej oddaje stan faktyczny – poprawił go Stane. – Pamiętaj, że roboty nie mają ludzkiej psychiki, choć pod względem złożoności nie ustępuje ona naszej, to jest jednak inaczej kodowana. A poza tym większości z nich nie znane jest pojęcie moralności. Dawno temu, w początkach naszej robotyki, budowaliśmy maszyny z ludzkimi psychikami. To zresztą jest domena specjalistów. Ale z tego co wiem, to dziś tego typu umysły mają tylko niektóre, wąsko wyspecjalizowane maszyny. Reszta się nie sprawdziła i ma umysły lepiej dostosowane do swej działalności. Mozaika nie zna pojęcia moralności, chyba że uznamy za to możliwość kalkulacji, jak wiele jest w stanie zabić! Ma detektor masy i gdy przekracza ona w odnalezionym czy napotkanym obiekcie masę krytyczną, to rozpoczyna się działanie, w którego efekcie może z dużym powodzeniem być zniszczony zarówno statek, jak i planeta. Wszystkie dane, jakie poprzedzają atak, są raz jeszcze kodowane i interpretowane. A teraz co do twoich wątpliwości – najprawdopodobniej ten torpedowiec miał zająć się czwartą planetą układu, w którym teraz jesteśmy.

– Czy mamy coś w archiwum o tej planecie?

– Nie. Jest to nie zbadany dotychczas system, przynajmniej do czasów, które obejmują nasze archiwa. Ale Służalcy mogli o niej coś takiego wiedzieć, że zdecydowali się na jej zniszczenie. Jesteśmy tu po to, aby się dowiedzieć, dlaczego tak postanowili.

Małolat stał, przetrawiając usłyszane informacje.

– I jest to jedyny powód? – odezwał się w końcu. – Jeśli nam się uda, to będzie wszystko...? Myślę, że to nie powinno być zbyt trudne...

– To myślenie jest typowym przykładem, dlaczego na tym statku masz tak niską rangę – artylerzysta Arnild obwieścił swą obecność.

Arnild był weteranem służby patrolowej, która słynęła z tego, że dział emerytalny nie narzekał na nadmiar petentów. Poza tym był całkowitym ignorantem, wyłączając trzy dziedziny: wojnę, komputery i działa.

– Czy mogę coś dodać od siebie o możliwościach tego, co nastąpi, szefie? Pierwsze – to każdy wróg Służalców jest naszym sprzymierzeńcem, a może być przyjacielem. Drugie – może tak być, że jest to wróg całej rasy ludzkiej i wtedy będziemy musieli użyć Mozaiki, żeby ukręcić łeb całej sprawie, czyli zakończyć zbożne dzieło rozpoczęte przez Służalców. Trzecie – to Służalcy mogą mieć tu coś schowane, coś w stylu zastępczego centrum dowodzenia. Coś, co raczej zniszczą niż nam pokażą. Każdy z tych powodów jest wystarczający, żeby zainteresować się tą planetą, nie?

– Będziemy w atmosferze za dwadzieścia godzin – przerwał zaległą ciszę Dall – ale jeśli my damy pełną moc, to możemy być za siedem.

– Zbyt długo się nie uchowasz. Jesteś zbyt niecierpliwy, jak na grzeczne dziecko – Arnild nawet nie odwrócił głowy od ekranu, ustawiając filtr podczerwieni na najlepszą ostrość.

– Panowie, trochę kultury – głos Stane'a był jak zwykle spokojny i cichy. – To że jesteśmy we trzech i to na tym zadupiu zapomnianym przez Boga i ludzi oraz nasze dowództwo, to jeszcze nie powód, żeby nie przestrzegać podstaw dobrego wychowania. A poza tym, Arnild, zapomniałeś, że Dall nigdy nie walczył ze Służalcami. A teraz jazda na naszą łajbę.

Przelatywali przez atmosferę w milczeniu. Zwiadowczy planetolot zataczał kręgi po równikowej orbicie, gdy uzyskali pierwsze odczyty i odbitki z powierzchni. Duplikaty powędrowały na stół, oryginały zostały w zapieczętowanych kasetach, które otwiera się tylko w bazie.

– Niewiele tu tego – komandor odsunął odczyty – a i od tego człowiek głupieje. Nie mamy innej rady, schodzimy i rozejrzemy się na miejscu

Arnild w milczeniu oglądał zdjęcia. Jego palce odruchowo uruchamiały nie istniejące wyrzutnie. Dall pierwszy przerwał ciszę.

– Faktycznie, niewiele tu ciekawego. Kupa wody i jeden wielki kontynent. Nic więcej.

– Nic wykrywalnego – to był Stane. – Żadnego promieniowania, dużych mas metalu na powierzchni czy w jej wnętrzu, żadnych źródeł energii. Żadnych powodów, dla których tu jesteśmy.

– Ale jesteśmy tu! – Arnild zakończył kontemplację zdjęć. – Więc zamiast strzepić gębę, zjeżdżajmy na dół i przekonajmy się naocznie po cholere się tu znaleźliśmy. To tu – przytknął w zdjęcie – to chyba jakaś wioska. Prymityw! Dymy z palenisk, tubylcy szwendają się po okolicy jak snięte rybki...

– A tu są owce na polu – przerwał jak zwykle Dall – i łodzie wypływające z zatok. Powinniśmy tu coś znaleźć!

– No cóż, pozostanmy w tej zbożnej nadziei. Przygotować się do lądowania!

Starym zwyczajem odbyło się ono z hukiem i błyskiem. Przyziemili w zagajniku na wzgórzu, na którego stoku była położona największa na kontynencie osada.

– Pozytywny odczyt atmosfery – Dall wyłączył analizator.

– Zostań przy celownikach, Arnild – Stane był tym razem spokojniejszy niż zwykle. – Trzymaj nas na wizji, ale wal tylko na mój rozkaz.

– Albo gdy cię zabiją – głos Arnilda był całkowicie wyprany z emocji.

– Albo gdy mnie zabiją – Stane nie ustępował mu pod tym względem ani na jotę. – W tym wypadku zostaniesz dowódcą.

Razem z Dallem ubrali lekkie skafandry i opuścili statek. Powietrze było chłodne i przyjemnie orzeźwiające.

– Pachnie wspaniale po odorze tych katakumb!

– Masz rzadki dar obrzydzenia sobie życia – odezwał się w słuchawkach Arnild. – Hej! Zobaczcie no, co się dzieje w wiosce!

Dall ustawił ostrość lornetki. Stane zrobił to, gdy tylko opuścili pokład.

– Nic się nie rusza! Wyślij "Oko"!

Z hukiem boostera owalny aparat opuścił planetolot i zaczął zataczać kręgi nad wioską. Składała się ona z około setki domów o przestronnych wejściach, tak że "Oko" mogło spenetrować ich wnętrza.

– Nikogo – głos Arnilda był pełen sarkazmu. – Ani jednego zwierzaka, nie mówiąc o gospodarzach. I gdzie się podziała ta przysłowiowa gościnność wobec gwiazdnych tułaczy?

– Ludzie nie mogli, u diabła, tak po prostu zniknąć – zdenerwował się Dall. – W jaką stronę byś nie spojrział, pola są puste. A przecież dym z kominów jeszcze się snuje po okolicy!

– Dym jest, a ludzi nie ma – głos Arnilda był znów beznamiętny. – Zejdźcie z łaski swojej na dół i rozejrzyjcie się.

"Oko" opuściło wioskę i leciało w kierunku statku. Właśnie przelatywało nad zagajnikiem, gdy stanęło jak wryte, a słuchawki rozdarły się głosem Arnilda:

– Stop! Tam nikogo nie ma, ale z dziesięć metrów nad wami ktoś jest i to nawet nie taki brzydki!

Obaj zainteresowani powstrzymali naturalny odruch zadarcia głów i podziwiania tego kogoś. Zrealizowali go dopiero po chwili, gdy byli już w bezpiecznej odległości od niezasłużonych podarków, które mogły się im posypać na głowy.

– Uważajcie! Obniżam grata dla lepszego obrazu. Dziewczyna, ładna, nie ma żadnej, widocznej broni, tylko jakąś spódniczkę. Siedzi na drzewie i nie rusza się. Oczy ma zamknięte. Wygląda na cholernie przestraszona.

Obaj podróżnicy widzieli konturowy obraz opisywanej rzeczywistości w soczewkach swoich lornetek.

– Nie podjeżdżaj bliżej, ale włącz głośnik i przełącz mnie na linię.

– Jesteś włączony.

– Jesteśmy przyjaciółmi... Zejdź... Nie chcemy cię skrzywdzić... – słowa odbijały się echem i zniekształcone docierały do ich uszu.

– Słyszysz, szefie, ale może jej nie uczyli esperanto – zauważył Arnild. – Rezultaty twojej przemowy są nikłe – mocniej przytuliła się do pnia.

Stane nieźle znał język Służalców w czasie wojny, ale teraz musiał się nieźle pogimnastykować, zanim sklecił zrozumiałą wiązkę dźwięków o tym samym znaczeniu w języku wrogów.

– To coś dało, szefie – meldował Arnild. – Podskoczyła tak, że omal nie zleciała z tej grędy. Teraz weszła chyba dwa razy wyżej i siedzi.

– Niech pan mi pozwoli tam wejść, sir – Dall stał na baczność. – Wezmę linię i wejdem po nią. To jedyny sposób. To tak samo jak z kotem.

Stane rozejrzył się wokoło.

– Wygląda na to, że to jest najlepsza możliwość. Weź lekką linię, ze dwieście metrów, ze statku. I pospiesz się, bo zaczyna zmierzchać.

Żelazo werżnęło się w drzewo i Dall rozpoczął wspinaczkę. Dziewczyna poczuła ruch drzewa i

wtedy spostrzegł jasną plamę jej twarzy, zwróconą ku dołowi. Potem plama znikła i zaszeleściły liście. Ruszył w górę, zanim Arnild zrelacjonował sytuację.

– Uważaj! Wlazła wyżej, jest nad tobą!

– Co mam robić, komandorze? – spytał Dall, siadłszy okrakiem na grubym konarze, z dziesięć metrów nad ziemią.

– Właź dalej. Ona nie może wejść wyżej niż na czubek. Na pewno ją dogonisz – wypowiedź Stane'a jak zwykle napawała otuchą.

Wspinaczka była teraz łatwiejsza – gałęzie bliżej rosły i nie były tak rozłożyste, jak niżej. Wchodził powoli, żeby nie przestraszyć dziewczyny. Byli odcięci od otoczenia w swoim własnym świecie – świecie drzewa i tylko połyskujący obiekt „Oka” przypominał, że są też inni obok nich. Dall zawiązał kolejny węzeł. Po raz pierwszy w tej misji wiedział, że jest potrzebny, że robi to, co umie i robi to dobrze. Uśmiechnął się do swoich myśli. Mogła wejść jeszcze wyżej – gałęzie z pewnością utrzymałyby ją. Ale dla jakichś, sobie znanych powodów, znalazł ją na następnym konarze. Stał obok. Odetchnął i odezwał się łagodnie, uśmiechając się:

– Nie masz powodów, żeby się bać, Chcę tylko pomóc ci zejść bezpiecznie i pomóc ci wrócić do przyjaciół. Dlaczego nie złapiesz się liny?

Dziewczyna wzdrygnęła się i odwróciła. Była młoda i ładna. Miała długie, czarne włosy zaplecione w warkocz. Wyglądała całkiem swojsko – tylko ten strach. Gdy był blisko, mógł zobaczyć, że cała drży. Ręce i nogi trzęsły się w nieustannych drgawkach. Zaciśnęła zęby i z kącika ust sączyła się strużka krwi z przygryzionych warg. Nigdy dotychczas nie sądził, że ludzkie oczy mogą być tak pełne przerażenia.

– Naprawdę, nie masz się czego bać – powtórzył.

Poruszał się nader ostrożnie, choć gałąź była mocna – nie było niczego, za co mógłby się złapać i łatwo mogli oboje bardzo szybko znaleźć się na ziemi. A była to rzecz, jakiej sobie najmniej życzył. Powoli owinął linę wokół gałęzi i obwiązał się nią w pasie. Kątem oka widział, że dziewczyna rozgląda się spłoszona jego zachowaniem.

– Przyjaciele – próbował ją uspokoić, po czym przełożył to na język Służalców, gdyż wyglądało, że zrozumiała poprzednią wypowiedź dowódcy. – No'rvenn!

Krzyk jaki wydarł się z jej gardła był straszny – jak u torturowanego zwierzątka. Zaskoczyła go, a potem było już za późno. Udało jej się. Odbiła się z całych sił i skoczyła w dół, mierząc w lukę pomiędzy gałęziami. Głuchy łomot świadczył o zakończeniu znajomości. Jego uratował węzeł, jaki zaciągnął chwilę przedtem. Wlazł z powrotem na konar, z którego przed chwilą zleciał i bujał się przez chwilę między gałęziami. Potem puścił się najszybciej jak potrafił, zwijając za sobą linę. Spojrzawszy na to, co leżało pod drzewem, nie wysilił się nawet na pytanie, czy żyje.

– Staralem się ją powstrzymać. Robiłem co mogłem – głos mu wyraźnie drżał.

– Widzieliśmy. Nie było żadnego sposobu, żeby ją powstrzymać, gdy zdecydowała się skoczyć.

– Niepotrzebne było to odezwanie w mowie Służalców... – Arnild był na zewnątrz i chciał jeszcze coś dodać, ale spojrzawszy na Stane'a, zamknął się.

– Zapomniałem – Dall był niepokieszony. – Pamiętałem tylko, że ją rozumie. Nie przyszło mi do głowy, że może się tego przestraszyć. To była pomyłka, ale przecież wszyscy je popelniamy! Ja nie chciałem jej śmierci... – opanował się z wysiłkiem i zamilkł.

– Lepiej weź coś na nerwy, a poza tym, to nie była twoja wina – głos Stane'a był już spokojny. – Pochowamy ją pod drzewem. Pomogę ci, Arnild.

Posiłek ciągnął się jak zapalenie płuc z przerzutami. Nikt nie był głodny, ale nikt nie miał ochoty do rozmowy. Stane pokazał im duży, zielony owoc leżący pod drzewem.

– Mamy odpowiedź, po co tam weszła i dlaczego nie zniknęła, jak reszta. Po prostu nie zdążyła się schować, poszedłszy po jedzenie. Trzeba się rozejrzeć po wiosce.

– Nie sądzi pan, szefie, że może być trochę ciemnowo? Proponuję poczekać do rana.

Arnild położył miotacz na kolanach i rozglądał się zapraszająco po okolicy. Jakoś nic nie skorzystało z jego zaproszenia.

– Sądzę, że masz rację. Nie ma sensu tłuc się po nocy. Przystaw "Oko" na podczerwień i puść na rekonesans. Może to nam coś da.

– Zostanę na podglądzie – Dall zerwał się na nogi. – Nie jestem... śpiący. Może coś znajdę, sir.

Komandor uśmiechnął się przez moment, po czym zgodził się na projekt.

– Obudź mnie, jeśli coś zobaczysz. Jeśli nie, to rano.

Noc minęła w ciszy i bezruchu. Z pierwszym brzaskiem, Stane i Dall zeszli ze wzgórza z "Okiem" lecącym ponad ich głowami. Arnild został przy lokatorach.

– Tędy, sir – Dall poważnie traktował obowiązki przewodnika. – Tu jest coś, co odkryłem w nocy, kontrolując obraz "Oka".

Wyszli spomiędzy drzew na brzeg jeziora. W jego toni widać było jakieś szczątki skorodowanej maszyny.

– Sądzę, że to jakieś maszyny budowlane, sir, ale trudno mi określić dokładniej. Są strasznie przerdzewiałe. Wygląda na to, że leżą tu kupę czasu.

"Oko" zanurkowało i obraz stał się bardziej szczegółowy.

– Zgadza się, to maszyny kopiące – Arnild nie miał cienia wątpliwości. – Część z nich spadła, reszta została czymś zasypana. Wygląda, jakby wpadły w pułapkę. I wszystkie są wytworem Służalców.

Stane wyglądał na zaskoczonego.

– Jesteś pewien?

– Tak samo jak tego, że woda nie służy mi do picia.

– Dobra, idziemy do wioski...

Stane z trudem przetrwał uzyskane rewelacje, nawet nie starając się tego ukryć. I ponownie Małolat odkrył, gdzie podzieli się tubylcy. Wystarczyło pomyśleć wszedłszy do pierwszej z brzegu chaty, ale, jak wiadomo, rzeczy najprostsze są zawsze najtrudniejsze. Podłoga była klepiskiem z odłamem skały udającym palenisko. Wnętrze było puste i nosiło ślady pośpiesznej ewakuacji. Resztki jedzenia, jakieś szmaty i skorupy – wszystko świadczyło o tym, że gospodarze zdrowo się śpieszyli. Dalla zastanowiła porzucona przy palenisku skóra – po jej podniesieniu ukazała się nader twarzowa dziura.

– Tutaj, sir!

Miał ponad metr średnicy i wiódł Bóg wie jak głęboko w lekkim skosie. Podłoga tunelu była ubita tak samo, jak podłoga chaty.

– No tak – Stane był zdeglustowany. – Uciekli tędy. Przyświeć, zobaczymy jak tam głęboko.

Ale okazało się, że łatwiej powiedzieć niż wykonać. Promień sięgał na jakieś dziesięć metrów, do zakrętu, za którym ział mrok. "Oko" które wmeldowało się tam, przekazywało tylko ciemność.

– Sprawdź w innej chacie – odezwał się Arnild. – "Oko" odkryło takie nory we wszystkich tych „budynkach”. Można, szefie?

– Dobrze, ale ostrożnie. Jeśli tam są ludzie, to nie ma sensu straszyć ich bardziej. Po tej dziewczynie sądząc, to i tak są wystarczająco przerażeni.

Po chwili Arnild był z powrotem na linii.

– Znalazłem drugi tunel, a teraz jeszcze jeden. Wygląda to niezbyt pewnie. Nie wiem, czy będę

w stanie wrócić tą drogą. To się może lada chwila obsunąć.

– Oczu mamy dość w zapasie – komandor był dziś bojowo nastawiony. – Idź do przodu.

– Wygląda solidniej. Jakby skały... załamanie... duża sala... Czeka! Stój! Tu jest jeden! Widzę go! Spieprza w głąb tunelu!

– Za nim!

– Nie tak łatwo – odezwał się głośnik po chwili milczenia. – Korytarz wygląda na ślepy. Kawał ściany blokuje tunel. Ten spryciarz musiał za sobą zawalić tunel. Zawracam... Ognia!

– Co się dzieje, Arnild?!

– Następna skała omal nie zgruchotała "Oka". Wygląda na to, że zasypali tunel i to skutecznie. Teraz obraz jest martwy i nie mogę złapać sygnału identyfikacyjnego – Arnild był zaskoczony i zły.

– Chytrutki – Stane był zdenerwowany. Wystawili tego klienta na wabia i wpuścili maszynę w tunel pułapkę, którą potem zasypali. Mają tu ciekawe zwyczaje powitalne. Wygląda na to, że nie lubią obcych i najpewniej, ze swoich dotychczasowych doświadczeń mają rację.

– To się chyba nazywa szeroko rozumiana profilaktyka.

Na wszelki wypadek w łeb, a potem sprawdź, kogo. Milusińscy – Arnild doszedł do równowagi psychicznej.

– Ale dlaczego?!

Zaskoczenie nie było właściwym słowem dla opisu stanu Dalla – właściwszym byłoby tu zaszokowanie.

– Dlaczego ci tu tak bardzo boją się Służalców? To oczywiste, że Służalcy stracili kupę czasu, aby się do nich dokopać. Czy chcieli zniszczyć tę planetę dlatego, że znaleźli, czy dlatego, że nie znaleźli tego, czego szukali?

– Chciałbym to wiedzieć – Stane był zrezygnowany. – To ułatwiłoby nam robotę. A tak, trzeba wysłać raport do Kwatery Głównej. Może oni coś wymyślą.

Wracając do statku zobaczyli świeżo rozkopaną ziemię koło drzewa, przy którym pochowali dziewczynę. Grób był pusty, a grunt zryty we wszystkich kierunkach. Na korze były ślady zrobione chyba jakimiś stalowymi narzędziami albo... gigantycznymi zębami. Coś czy ktoś zabrał ciało w swoisty sposób oznaczając teren i pnie. Grób łączył się wykopem z czarną dziurą w ziemi, będącą wejściem do podziemi.

Przed snem Stane dwukrotnie zrobił obchód, sprawdzając, czy wejścia są zamknięte, a obwody alarmowe włączone. Mimo to nie mógł zasnąć. Zastanawiało go to wszystko. Czuł, że odpowiedź jest bliska, tylko musi sobie przypomnieć jakiś drobiazg. Tylko jaki? Zapadł w sen, nie znalazłszy odpowiedzi. Gdy się zbudził było jeszcze ciemno, ale miał uczucie, że stało się coś strasznego. Co go, u licha, mogło zbudzić? Spośród oparów sennych wreszcie się to coś wyłoniło – przeciąg. Podmuchi powietrza. Rzecz niemożliwa przy zamkniętej cyrkulacji powietrza. Zrywając się na nogi, zapalił światło i dobył miotacza. Arnild, zbudzony hałasem ziewnął i skoczył do drzwi.

– Co się dzieje?

– Budź Dalla, myślę, że ktoś dostał się na statek!

– Chyba odwrotnie – Arnild opadł na łóżko. – Łóżko Dalla jest puste!

– Co?!

Stane pobiegł do sterowni. Systemy alarmowe były wyłączone, a na wyjściu komputera leżała kartka z jednym słowem. Pięść komandora zacisnęła się na niej i, gdy po chwili minęło osłupienie, dotarło do niego znaczenie tego świstka.

– Idiota! Głupi, pieprzony gówniarz! Arnild, "Oko", nie, dwa, natychmiast i sprzęż je z hełmami!

– Co się tu właściwie dzieje, szefie? Co ta młoda nadzieja Floty Galaktycznej znowu

wymyśliła? – w głosie Arnilda można było wyczuć żywe zainteresowanie.

– Polazł do podziemi! Musimy go zatrzymać!

Po Dallu nie było śladu, ale ziemia koło drzewa była świeżo ruszana.

– Puszczę tu "Oko" – Stane był zdecydowany. – Ty weź drugie i wpuść w najbliższą dziurę.

Używaj głośników. W języku Służalców nadawaj, ze jesteśmy przyjaciółmi.

– Ale przecież widziałeś reakcję tej dziewczyny, gdy Dall zagadał do niej w tym slangu...

– Widziałem, ale jak inaczej możemy im coś przekazać? Masz jakiś genialny pomysł? Nie? No to do roboty! I śpiesz się!

Arnild miał ochotę powiedzieć, co myśli, ale spojrzenie na twarz komandora przekonało go, że lepiej zachować dyplomatyczne milczenie. Zabrał aparat i ruszył do wsi. Może jeśli ktokolwiek z tubylców usłyszał orację, to jednak reakcji nie dało się zaobserwować. Jeden z automatów został zasypany zwałami szutru i piachu, skutkiem czego Stane przestał być użyteczny w tej fazie operacji. Arnild natomiast, a właściwie jego "Oko", odkryło wielką komnatę wypełnioną głodnymi i przerażonymi owcami. Tyle że nie było w niej, poza nimi, żywej duszy. Przy wyjściu z pieczary "Oko" dostało się w lawinę kamieni. I to był chwalebny koniec tej operacji. Ciszę przerwał Stane:

– No cóż, sami się proszą. Jak nie można po dobroci, to weźmiemy ich siłą.

– Szefie, coś się rusza koło drzewa – przerwał mu Arnild. – Miałem to w lornecie, ale chyba jakby zniknęło, bo już jest spokój.

Podchodzili wolno, z odbezpieczoną bronią, pod niebem płonącym wschodem słońca. Szli, wiedząc co znajdują, ale łudzili się nadzieją, że to ich zboczona woj na wyobraźnia tylko tak sądzi. Oczywiście ich wyobraźnia miała jak zwykle rację. Ciało Dalla, zwanego Małolatem, leżało w trawie przy wejściu do tunelu. Leżał spokojnie, tyle że sielski obrazek mąciła barwa twarzy. Była czerwona.

– Skurwiele! Bydło! – nie było wątpliwości, że gdyby Arnild miał pod ręką jakiegoś tubylca, ten ostatni zacząłby szybko żałować, że nie popełnił samobójstwa. – Tak postąpić z człowiekiem, który chciał im pomóc! Połamane ręce i nogi, obdarty ze skóry! Jego twarz, nic nie zostało, uszy, nos, oczy... – głos przeszedł w nieartykułowany pomruk, w którym wyróżnić można było kunsztowne wiązanki. – Powinni być starci z powierzchni ziemi! Dokładnie! To co Służalcy zaczęli... – spojrzał na Stane'a i zamilkł.

– Tak właśnie najpewniej czuli i postępowali Służalcy – głos komandora był spokojny. – Czy nie rozumiesz, co się tu działo?

Arnild potrząsnął głową.

– Dall odkrył prawdę. Był młody, miał nadzieję, że może zmienić kolej rzeczy. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Poszedł, bo obwinił siebie o śmierć tej dziewczyny. A dlatego, że przeczuwał niebezpieczeństwo, zostawił kartkę, na wypadek gdyby nie wrócił. Tam było napisane tylko jedno słowo "Służalcy". To było takie proste! Myśmy szukali jakiegoś superskomplikowanego problemu, a tymczasem to najzwyklejszy na świecie problem socjologiczny. To jest, a właściwie była planeta Służalców, odkryta i urządzona przez nich do specjalnych potrzeb.

– Że jak? – Arnild w dalszym ciągu nie rozumiał.

– Niewolnicy. Służalcy ciągle walczyli. Ty przecież też się z nimi biłeś. Znasz ich styl walki i szafowanie ludźmi. Stale potrzebowali armatniego mięsa, więc musieli je gdzieś hodować. Ta planeta była, a właściwie jest odpowiedzią na ten temat. Wymarzona farma hodowlana – jeden kontynent pokryty puszcza, z paroma miejscami na osady. Utrzymywali ich na pierwotnym poziomie, tłumiąc wszelkie przejawy ewolucji. Zapewniali minimum pożywienia, ale całkowicie wyeliminowali technologię. A kiedy przyszedł czas, czyli co ileś tam lat uznawali, że już można i

zabierali tyłu niewolników, ilu było im potrzeba, a resztę zostawiali na dalsze rozmnażanie. Zapomnieli o jednej rzeczy.

– Wątpliwości Arnilda zniknęły. Zaczął rozumieć o co tu chodzi.

– Zdolności przystosowawcze?

– Oczywiście. To i instynkt samozachowawczy. Przy tym połączeniu wystarczy trochę czasu, żeby każde bydlę, a co dopiero istota inteligentna, zaczęła się starać uciec od śmierci. Tu jest typowy przykład. Zamknięta populacja, bez historii, bez pisanego języka – piękny materiał. Cyklicznie, co parę lat, nieznanne potwory spadały z nieba i kradły ich dzieci. Starali się uciekać, ale nie było dokąd. Budowali łodzie, ale nie było gdzie płynąć. Nie można było nic zrobić...

– Aż jakiś sobieradek wykopał dół i wlaź tam z całą famułą, gdy tamci przylecieli – przerwał mu Arnild.

– I ci ocaleli. Zgadza się, to był początek. Pomysł, który był skuteczny i który rozwinęli do perfekcji, na jaką mogli się zdobyć nie mając maszyn. Tunele były dłuższe i biegły głębiej niż Służalcy mogli się dostać, a poza tym – od czego inwencja własna – zaczęli się zabezpieczać pułapkami. I w ten sposób wygrali. Jest to chyba jedyny przykład udanej rebelii całej planety w Erze Wielkiego Służalstwa. Znaleźć ich nie można było, gdyż korytarze były zbyt długie. Z tego samego powodu nie mógł ich wszystkich zabić gaz. Maszyny kopiące kończyły jak nasze "Oczy". A ludzie, którzy byli na tyle głupi, żeby wleźć do tuneli... – nie musiał kończyć, ciało Dalla mówiło samo za siebie.

– Ale, ale. Dlaczego wobec tego ta dziewczyna się zabiła?

– Z czasem, jak sądzę, tunele stały się świętością. Musiały nią być, jeśli w ciągu lat były sprawą absorbującą ich czas i wysiłki. Dzieciaki już od najmłodszych lat uczono, że demony przychodzą z nieba, a ich ratunek leży tylko pod ziemią. Dokładne odwrócenie religii ze starej, dobrej Ziemi. Każdy z nich, ledwie tylko nauczył się chodzić, był wychowywany tak, że wiedział, iż ratunek jest tylko pod ziemią, a on za nic nie może zdradzić tej tajemnicy czyli budowy i rozmieszczenia tuneli. Był też uczony, co należy zrobić, gdy demony przyjdą z nieba. Wejścia do tuneli muszą być umieszczone tak, żeby można było szybko z nich skorzystać. Ta okolica swoim wyglądem musi przypominać ser szwajcarski i to w najlepszym gatunku. Sądzę, że ewakuacja od chwili zauważenia statku trwała sekundy. Ona niestety nie zdążyła. Gdyby zesłała, wskazałaby nam drogę, a gdy po nią weszliśmy, to jako demony zmusilibyśmy ją do mówienia. Milczeć mogła tylko po śmierci. A skąd ona i cała reszta mogli wiedzieć, że Służalcy to nie jedyne istoty, jakie mogą spaść z nieba? – Dall zrozumiał to, tylko że niezbyt dokładnie zdał sobie sprawę z pewnych rzeczy. Miał nadzieję, że uda mu się wytłumaczyć im, że Służalcy odeszli i nie wrócą już nigdy, a z nieba spadli dobrzy ludzie. Tyle tylko, że nikt z nich go nie słuchał.

Gdy ciało Dalla zostało już umieszczone w hermetycznym pojemniku na statku, odetchnęli.

– Nie zazdroszczę tym, którzy przybędą tu po nas, aby przekonać tubylców – Arnild otarł pot z czoła. – Ale, szefie, nie rozumiem jednego – dlaczego, u Boga Ojca, Służalcy chcieli zniszczyć tę planetę?

– Sądzę, że złożyło się na to wiele przyczyn. Dlaczego wojsko po zdobyciu jakiejś twierdzy wysadza w powietrze budynki, niszczy pomniki, w przypadku, gdy mieszkańcy stawili twarde opór? Jest to chyba wściekłość i niezadowolenie z tego, że musieli się bić i pokonywać ten opór – są to stare, ludzkie emocje. A tu się to spotęgowało – ta planeta musiała opierać się latami przed ich zakusami. Czyli reasumując, można powiedzieć, że złożyło się na to – po pierwsze udana rebelia, jedyna udana, jak już mówiłem, po drugie tyle czasu trwająca walka nie przynosząca im żadnych sukcesów, wreszcie po trzecie niezbyt miła niespodzianka ze strony tych, których przecież uważali za

swoją własność. Tych spraw nie mogli tak po prostu puścić w niepamięć. Starali się stłumić rebelię tak długo, jak długo mieli na to nadzieję. Gdy zrozumieli, że przegrali wojnę, zniszczenie tej planety było tym, co rozładowałoby ich emocje. Zauważyłem, że ty czułeś to samo, gdy zobaczyłeś ciało Dalla. To normalna ludzka reakcja.

Byli obaj starymi żołnierzami i nader dobrze kontrolowali swoje zachowanie, lecz lata robiły swoje. A i pobyt na tej planecie nie podziałał odmładzające. Byli zmęczeni jak wszyscy, którzy zbyt długo robią wciąż to samo i mają pełne prawo poczuć się wyczerpanymi.

W społeczeństwie ludzkim nie ma zbyt wielu naprawdę utalentowanych racjonalizatorów czy też wynalazców, ale nie stanowi to przeszkody dla szybkiego rozwoju cywilizacji. Bracia Wright wykonali swój pierwszy lot w roku 1903– nie upłynęło jeszcze czterdzieści lat, a już były produkowane samoloty, których rozpiętość skrzydeł była większa niż dystans lotu, jaki oni pokonali. Homo sapiens jest urodzonym improwizatorem, a jedną z jego cech charakterystycznych jest dążenie do rzeczy coraz to większych i coraz to lepszych.

Odnosi się to również do wojny. Wojny kosmiczne dają tylko złudzenie, że są większe i lepsze od pozostałych rodzajów konfliktów zbrojnych – bez wątpienia dlatego, że wrażenie robi ogrom pola walki. Mogą jednakże być nader nużące i zniechęcające z powodu małej liczby zaangażowanych w nie bezpośrednio, a tym samym możliwych do jednorazowego zabicia ludzi. Prędzej czy później, niezależnie od tego, co się w tej chwili sądzi, wojny powrócą na Matkę Ziemię. Najróżniejsze grupy znajdują sobie różne, ważne rzeczy, o które warto się kłócić, a co za tym idzie, logicznie postępując, owe różnice zaczną być załatwiane w wypróbowany i skuteczny sposób – przez, walkę. Oczywiście pomagać w tym będą już roboty, które po odpowiednim treningu staną się nader skutecznymi uczestnikami tej zabawy. Zrobią to same z siebie. Co prawda, ich udział odbierze uczestnikom konfliktu sporą dozę przyjemności wynikającą z własnoręcznej eliminacji przeciwnika, ale dążenia do doskonałości i tak to nie powstrzyma. Tak długo, jak jedna ze stron nie zdobędzie trochę przewagi nad stroną przeciwną, to ta druga będzie robiła wszystko, co tylko jest w jej mocy, aby tę różnicę zniwelować. Naukowo nazywa to się utrzymaniem równowagi sił.

Efektym tego będzie totalna wojna, obejmująca całą kulę ziemską, tak pod, nad, jaki na samej Ziemi, która to planeta zostanie zamieniona na porządne i imponujące pola bitew...

Wojna z robotami

Tylko lekka wibracja, wyczuwalna przez podłogę, świadczyła o tym, że wóz jest w mchu. O szybkości mówił coś jedynie obraz mijanych, a widzianych przez okna ścian tunelu. Żadnych szarpnięć czy wstrząsów, pełna amortyzacja. Pasażerowie, wszyscy w paradnych mundurach, z orderami i medalami na piersiach, siedzieli sztywno, pogrążeni w rozmyślaniach i monosylabowej rozmowie. Tysiące stóp litej skały ponad nimi oddzielało ich od toczącej się na powierzchni wojny.

Z szybkością 150 mil na godzinę niósł ów pojazd generała Pena i jego sztab do stanowisk dowodzenia. Gdy ryknęła syrena alarmowa, kierowca wdusił hamulec i zgasił silnik. Było to jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić. Z pełną szybkością stalowa kula przebiła się przez barierę skal i wywołując obwał zablokowała tunel. Stalowa płyta oderwana od jego stropu uderzyła w wóz generalski, masakrując i niszcząc wszystko, co spotkała na swej drodze, aż w końcu wsparła się o podłogę. Światła zgasły, w całkowitej ciemności słychać było jedynie przyspieszone oddechy pasażerów.

Generał Pen podniósł się, potrząsając głową dla pozbycia się natrętnego dzwonięcia w uszach i zapalił latarkę. Promień światła wyłonił z mroku nieco krótsze wnętrze tunelu i poblądłe twarze oficerów.

– Całkowite straty? – gdy zwrócił się do adiutanta, głos jego był jak zwykle cichy i spokojny.

Nie jest tak łatwo panować nad sobą w takich warunkach, szczególnie gdy ma się 19 lat. Pen zmusił się do spokojnego oczekiwania, podczas gdy metalowy korpus adiutanta obracał się w ciasnym wnętrzu, przygotowując raport. Widoczne z jego miejsca siedzenia były zajęte, a więc straty nie powinny być duże. Ostatni rząd foteli odgradzała stalowa płyta i usypisko odłamków. Prawdopodobnie martwy kierowca razem z kabiną i całym wyposażeniem sterującym był pod tym wysypiskiem. Ten fakt zapowiadał spore kłopoty.

– Jeden zabity, jeden zaginiony, jeden ranny. Zdolnych do akcji siedemnastu – adiutant zsalutował i zamarł w oczekiwaniu na rozkazy.

Generał Pen przełknął nerwowo ślinę. Zaginiony to kierowca. Faktycznie jest martwy, cholernie martwy, jak to, co go zasypało. Zabity to ten rudy kapitan z Kontroli Myśliwskiej. Miał chłop pecha. Został wyrzucony z siedzenia, gdy maszyna hamowała i teraz był nieco niekompletny. Plecy jego były tu, głowa pod zawałem. Płyta zadziałała jak nóż gilotyny. Najlepiej od razu zająć się tym rannym. Rozejrzał się po otoczeniu i zatrzymał wzrok na poblądłej twarzy pułkownika Zeń.

– Ramię, sir! Gdy to spadło, coś mnie w nie uderzyło przypilając do oparcia. Myślę, że jest złamane...

– Ja też tak sądzę – odparł Pen trochę zbyt łagodnie, bo cierpienie rannego wzruszyło go bardziej niż tego oczekiwał.

Rozległy się kroki i z mroku wyłoniła się postać jego zastępcy, generał Nati.

– Udzielić mu pierwszej pomocy, generale. Opatrzyć i zgłosić się z raportem.

– Tak jest, sir! – głos zdradzał lekki strach.

Cholerny świat – pomyślał Pen – powinno się lepiej nad sobą panować. Nie znajdziemy wojska, jeśli będziemy się bali. Nawet, jeśli mamy do tego prawo. Niezbyt istotną sprawą było to, że generał Nati był dziewczyną i to osiemnastoletnią.

Wspomnienie sztabu skłoniło go do zajęcia się problemem najpilniejszym. Jak wydostać się z tej pułapki? Jego mózg pracował z pełną szybkością, a dzięki korekcie genetycznej w łańcuchu DNA z Banku Nasienia i specjalnemu treningowi, miał ją nader dużą. Tak samo zresztą jak predyspozycje dowódcze. Przepowiadano mu wielką przyszłość w ciągu najbliższych czterech, pięciu lat. Tak, dla

kogoś, kto jest przygotowany do kierowania wojną globalną, ten problem jest niczym.

– Łączność? – pytanie zostało skierowane do majora z Korpusu Łączności.

W jego głosie brzmiał już zwykły autorytet, kontrastujący jednak z pobladałą twarzą generała.

– Brak, sir. To co zablokowało tunel, przecięło też wszystkie połączenia telefoniczne.

– Czy ktoś wie, jak daleko stąd do Kwatery Głównej?

– Moment, sir – odezwał się szpakowaty pułkownik z Korpusu Komputerowego.

Wyjął z kieszeni kalkulator i wystukiwał na nim cyfry, mamrocząc jednocześnie pod nosem.

– Brak danych o długości tunelu, jak również dokładnej lokalizacji kwatery, ale wzięwszy szybkość i ogólny czas dojazdu – około trzy godziny... a do czasu wypadku jechaliśmy... – głos zmienił się momentalnie.

Pen czekał spokojny i nieporuszony. Ta informacja była niezbędna do planowania dalszego ciągu.

– Pomiędzy czterdziestą a sześćdziesiątą milą, sir. To górne granice. Mogę założyć iż jest to około pięćdziesiąt mil.

– Dobrze, potrzebuję dwóch ochotników. Ty i ty przedostańcie się przez kabinę i postarajcie się zrobić wyłom przez zawal. Spróbujemy się stąd wydostać i dalej deptać pieszo. Musimy dojść do kwatery, bo jeśli spadnie tu coś podobnego, to nie będzie nawet czego po nas wspominać.

Ta wypowiedź zdecydowanie podniosła morale podkomendnych, nadszarpnięte niemiłą niespodzianką inaugurującą ich pierwsze, samodzielne dowództwo. Całkiem już opanowany wydawał rozkazy zgromadzenia zapasów pożywienia i wody. Potem posłał swego adiutanta, aby zmienił duet drążący wyłom w zawale. Do takiej pracy robot nadawał się lepiej, zastępował bowiem dziesięciu ludzi.

Ponad dziesięć godzin trwała penetracja bariery. Adiutant kopał, a oni tylko odnosili urobek poza maszynę. Z początku ignorowali zupełnie odłamy skały, ale gdy jeden z nich, spadając na skutek podkopania, o mało nie zmiażdżył robota, musieli też się nimi zająć. Potem wpadli na pomysł, aby użyć foteli jako stempli w najbardziej zagrożonych miejscach.

Po upływie dziesiątej godziny zobaczyli dalszy ciąg tunelu. Generał Pen zarządził półgodzinną przerwę. Podczas gdy reszta posiłła się, Pen z adiutantem przy boku poszli sprawdzić, czy tunel nie jest jeszcze gdzieś zasypany, przynajmniej w najbliższym sąsiedztwie zawalu.

– Na ile czasu starczą ci jeszcze baterie? – spytał Pen.

– Na maksymalnym obciążeniu na około trzysta godzin.

– To biegnij do bazy. Jeśli spotkasz inne zawaly, to staraj się przez nie przejść, a jeśli nie będzie żadnych przeszkód, postaraj się wysłać po nas jakiś pojazd. Nie sądzę, żeby to trwało zbyt długo.

Robot zsalutował i pośpiesznie oddalił się. Gdy ucichły odgłosy jego kroków, Pen wrócił do swojego sztabu i zajął się posiłkiem.

Wyruszyli przy świetle jednej lampy. Szli około ośmiu godzin bez przerwy i dopiero, gdy zaczęli spać na stojąco, Pen zarządził odpoczynek. Zanim zasnęli zmusił ich do spożycia posiłku. Na sen mieli około pięciu godzin. Potem nieco wypoczęci rozpoczęli dalszy marsz. Trudy poprzedniego dnia dawały się jednak mocno we znaki i tempo było znacznie słabsze. Kiedy mieli już w nogach kolejne cztery godziny marszu, ujrzeni w dali tunelu światła nadjeżdżającego samochodu.

– Zapalcie światła, wszyscy – rozkazał Pen. – Nie po to mordowaliśmy się tyle czasu, żeby się teraz dać rozjechać!

Robot kierujący pojazdem jechał połową prędkości, szukając ich na drodze. Wsiedli błyskawicznie i jeszcze szybciej zasnęli, podczas gdy maszyna pędziła z maksymalną szybkością do

sztabu. Tymczasem adiutant zdawał generałowi raport:

– Zawał został zgłoszony i zaznaczony. Oprócz niego są jeszcze dwa inne w pozostałych tunelach.

– Co je spowodowało?

– Wywiad nie jest pewien, ale raport powinien nas oczekiwać na miejscu.

Pen wyraził swoją opinię o wywiadzie w mało parlamentarnej formie, nawet jeśli nikt nie rozumiał jego mamrotania. Gdy skończył poczuł, że koszula lepi mu się do ciała.

– Co jest z klimatyzacją? Zepsuta?

– Nie, sir. Temperatura powietrza w tunelu jest o wiele wyższa niż zazwyczaj.

– Dlaczego?

– Jeszcze nie wiadomo.

Gorąco dawało się już porządnie we znaki, gdy znaleźli się na miejscu. Pen dał rozkaz otwarcia śluz. Maszyna zamarła na końcu tunelu poza nimi, a fala powietrza z wnętrza bazy o mało ich nie zwała z nóg. Było wręcz upalnie. Przeszli przez parking do platformy windy. Robot strażnik odsunął łufę miotacza i zasalutował, gdy identyfikacja sztabu została zakończona. Weszli do windy. Rozległo się parę zduszonych przekleństw, gdy niektórzy zetknęli się ciałem z rozgrzaną blachą ścian. Pen zmusił się do spokojnego oczekiwania, aż wszyscy znajdą się wewnątrz. Nie było większych zmian w temperaturze pomimo przebycia pięciu poziomów, czyli 400 metrów skały. Widocznie powietrze w całej bazie miało jednakowo wysoką temperaturę.

– Sądzę, że to gorąco i blokada tuneli jest spowodowana czymś, o czym przed tygodniem nie mieliśmy pojęcia – odezwała się Natia – to może być spowodowane działalnością nieprzyjaciela.

Pen doszedł do podobnych wniosków, ale zostawił je dla siebie. Tylko on zdawał sobie sprawę ze skutków realnego zagrożenia sztabu, jeśli jego lokalizacja została rozszyfrowana przez wroga, a dowództwo nie wiedziało, na czym polega to zagrożenie. Tak szybko jak tylko można prowadził sztab do Centrali.

Nic nie było w porządku. Nikt nie zgłosił się z formalną formułą wejścia. Owszem, roboty były na miejscach wykonując swoją pracę, ale nie było wśród nich żadnego oficera. Z biciem serca pomyślał, że tak mogą wyglądać wszystkie cztery stacje. Potem zobaczył kiwający na niego palec pierwszego kontrolera. Fotel, który zajmował całkiem go zasłaniał. Pen podszedł do fotela szybkim krokiem i zasalutował, a raczej próbował, bo ręka zatrzymała się w połowie drogi i opadła bezwładnie pod wpływem tego, co zobaczył. Pierwszy raz doznał uczucia strachu jeżącego włosy na głowie.

Człowiek musiał być w fotelu, gdy to coś zaatakowało go. Z wysiłkiem oderwał oczy od fotela i przeniósł wzrok na konsolę kontrolną. Postać w fotelu była karykaturą człowieka. Nie miała włosów, odkryte powierzchnie ciała miały wściekle różowy kolor, widoczne były wszystkie mięśnie i ścięgna, jakby ten człowiek został żywcem odarty ze skóry. Oczy były okrągłe, o połowę większe niż u człowieka i czerwone jak u królika. Jako tako wyglądał do pasa, choć jedna ręka była złana krwią, natomiast to, co było kiedyś nogami, teraz nie zasługiwało już na taką nazwę. Obie były zbite w jedną, bezkształtną masę. Tym niemniej zdrowa ręka spoczywała na przyrządach. Był to jednak człowiek, oficer wykonujący swoje zadanie i to w dodatku żywy. Za okrwawionych warg dobiegł chrapliwy głos, przypominający rżenie:

– Dzięki Bogu, że jesteście, w końcu dzięki... – słowa zmieniły się w jęk i zamarły.

Konsoleta była zbryzgana krwią i szczątkami tkanek. Krwawe ślady znaczyły trasę ręki rannego, która przełączała i włączała przyciski, dowodząc walką. Były świadectwem hartu i wytrzymałości tego, który został na stanowisku. Obok leżała bateria stymulatorów, środki pobudzające, glukoza,

plazma itp., więc wszystko to, co umożliwiało mu przeżycie. Wiele dni upłynęło od chwili, gdy coś go zaatakowało i pozostawiło samego. Sam, przez cały ten czas sam, beznadziejnie samotny w całej Kwaterze Głównej, utrzymujący ją w stanie gotowości bojowej, jak również podległe Stacje Bojowe i prowadzący ciągle bój, stale oczekiwał na pomoc. Pen przywołał swój sztab.

– Generale Natia, zestaw reanimacyjny, szybko!

Natia potoczyła go przed fotel i zamarała z końcówkami w dłoniach na widok tego, który miał być ratowany. Trwało to jednak krótko, w końcu była przygotowana na podobne widoki, toteż błyskawicznie podłączyła i uruchomiła aparaturę.

– Gotowe, sir!

Tymczasem Pen przesunął czerwoną gałkę na konsolce, przy której spoczywała dłoń siedzącego i rozmigotały się lampki, informując o stanie bazy. Mogło się wydawać, że spowodowały szok u rannego, gdyż w tym samym momencie ciało wyprężyło się w skurczu. Pen złapał go za całe ramię i potrząsnął brutalnie. Pod wpływem bólu ranny otworzył oczy i spojrzał przytomnie.

– Co się stało? Gdzie reszta personelu?

– Zabici – głos był słaby, ale zrozumiały. – Jestem jedynym, który pozostał przy życiu. Byłem wtedy tu i niemal nie dotykałem metalu, i dlatego żyję. Automaty mówią, że był to rodzaj broni wibracyjnej, atakującej strukturę białkową... infra-dźwięki... coś nowego. Zabiło przez metal wszystkich... rozbiło na proteiny. Jak jajka... jak gotowane jajka... wszystkich!

Gdy zapadł w majaki Pen przekazał go Natii i przyjrzał się odizolowanej posadźce. Broń wibracyjna może być użyta ponownie w każdej chwili. Roboty muszą wiedzieć coś nowego, minęło ostatecznie sporo czasu od ataku. Podeszedł do wyjścia komputera. Uruchomił konsolę łączności i czekał aż jego ekrany rozblyszą gotowością. Wszystko wskazywało na to, że Centralny Komputer, serce Kwatery Głównej jest w pełni sprawny.

– Czy odnaleziono źródło wibracji, które zabiło ludzi? – zadał pierwsze pytanie.

– Tak, maszyna, która zbliżyła się z zewnątrz i podłączyła do zewnętrznej ściany bazy. Użyła metalu jako przewodnika drgań. Została wykryta, jak tylko zaczęła działać. Przeanalizowano to działanie i zneutralizowano. Wyposażenie i maszyny nie poniosły żadnej szkody. Zginęli wszyscy ludzie poza pułkownikiem Frey. Duże zapasy jedzenia w magazynach...

– Tym zajmiemy się później. Gdzie ona jest?

– Tu – odparł automat pomocniczy, będący ruchomym wyjściem komputera i podjechał do ściany, która zmieniła konsystencję na przejrzystą, ukazując biały, owalny obiekt, długi na około jard. Nie przypominało to niczego, co Pen dotąd widział. Z jednej strony, tej skierowanej ku nim, było otwarte. Wnętrze było płataniną przewodów, światłowodów i monokryształów.

– Jak to działa?

Robot zbliżył soczewkę do ściany tak, że cały ekran zajęło zbliżenie jednego z kryształów z przyłączonymi do niego przewodami i metalowym, ośmiocalowym trzpieniem, umieszczonym na przegubowym ramieniu i wyjaśnił:

– To jest generator drgań, dający małe natężenie pola, zupełnie nieszkodliwe. Inne są takie same. Pole jest zbierane z powierzchni kadłuba i za pomocą wysięgnika przekazywane na atakowany obiekt.

Obraz przekazywał rodzaj ssawki wystającej z urządzenia i dotykającej ściany bazy.

– To jest urządzenie sterujące, najpewniej z zakodowanym położeniem Kwatery. Tu też jest mikrostop produkujący energię.

Obrazy przedstawiały omawiane elementy w miarę opisu. Wszystkie generatory łączyły się na wyjściach i dawało to w efekcie natężenie zabójcze dla organizmu ludzkiego i życia organicznego w

ogóle.

– Dlaczego nie została wykryta przed rozpoczęciem operacji?

– Jej masa jest zbyt mała i ma bardzo mało części metalowych, w sumie niecałe dwa kilogramy.

Ponadto poruszała się bardzo wolno. Praktycznie niezauważalna dla detektorów.

– Jak długo tu podchodziła?

– Biorąc pod uwagę ostatnie zapisy detektorów i badając jej urządzenia napędowe, to została wpuszczona w ziemię około czterech lat temu.

– Cztery lata! – Pen był zdumiony. – A więc te skały otaczające bazę ze wszystkich stron, zamiast stać się jej ochroną, mogą być siedliskiem śmierci dla jej załogi. Ile podobnych urządzeń może się jeszcze w nich kryć? Kto to może wiedzieć?! Czy podobne urządzenia mogą nadal nas atakować?

– Nie, teraz już nie. Nie stanowią one już dla nas żadnego zagrożenia. Detektory i inne urządzenia obronne zostały już na nie przestawione. Były groźne, gdy stanowiły element zaskoczenia, teraz już taka obawa nie zachodzi.

Pen odwrócił się od ściany i popatrzył na swoich sztabowców. Wszystkie stacje bojowe były już teraz kierowane stąd, każda przez jednego oficera. Pułkownik Frey został zabrany do szpitala. Wszystko funkcjonowało tak, jak powinno. Wszystko było też w porządku, poza tą cholerną temperaturą.

– Co jest powodem tego gorąca i wzrostu temperatury?

– Wzrost temperatury jest spowodowany sąsiedztwem intensywnie nagrzewających się skał. Przyczyna jednak nie jest nam znana.

Pen nerwowo przygryzł wargi – przyczyna nie jest znana! Jeśli nieprzyjaciel zbudował zespół generatorów ciepła tak małych, jak to coś za ścianą, to przybyły one w ten sam sposób i ugotują przebywających w bazie ludzi jak jajka na twardo. Muszą zostać odnalezione i zniszczone, zanim wzrastająca temperatura zabije ich lub porozłącza styki automatów.

– Teoria jest spójna, tak jak inne, które przeanalizowałem, nie ma jednak żadnych dowodów.

– To je znajdź! – Pen był wściekły na tę żelazną logikę maszyny, niezależnie od tego, czy była słuszna, czy też nie. Wcisnął guzik z napisem WYKONANIE ROZKAZU, umieszczony w korpusie automatu i wydał polecenie:

– Natychmiast przystąpić do poszukiwania obszarów gorących skał, ich źródeł, które natychmiast zbadać i bezwzględnie zniszczyć!

Następnie zajął się analizą przebiegu bitew. Operacje prowadzone były wolno, ale skutecznie. Światelka migocące na konsolach łączności, kolumny symboli przesuwające się po ekranach i symbole logiczne wystukiwane na wejściach drukarek dawały spójny i logiczny obraz walki. Główny koordynator, generał Natia, odbierała pytania i udzielała odpowiedzi, koordynując całością poczynań. Elektroniczna wojna jest oczywiście sprawą zbyt skomplikowaną, aby zajmował się jej problemami tylko mózg człowieka. Wszystkie okręty, antyokręty, myśliwce, bombowce czy czołgi były kierowane i obsługiwane przez roboty. Komputery o dużym stopniu inteligencji i odpowiedzialności kierowały przebiegiem bitew. Ale do koordynacji całości, jak też do opracowywania planów taktycznych i strategicznych posunięć, byli potrzebni ludzie. No i ludzie rozpoczęli tę wojnę, a więc ludzie powinni ją zakończyć. Była bezsprzecznie prowadzona dobrze. Analiza rezultatów wskazywała, że niewielka przewaga uzyskana po lokalnym zwycięstwie w bitwie pancerniej dziesięć miesięcy temu, wzrasta nieznacznie, ale stale. Jeśli przewaga będzie wzrastać w takim tempie, a wszystko na to wskazuje, to następna generacja będzie świadkiem zwycięstwa. Przyjemnie było o tym pomyśleć.

Piętnaście minut temu pierwszy z generatorów ciepła został zidentyfikowany i zniszczony. Pen odnotował to z zadowoleniem, chociaż było to zbyt mało, aby sądzić, że sukces jest blisko. Warunki były wprost tropikalne, wszyscy pracowali na wpół nago. Nie było to zgodne z obowiązującymi przepisami, ale za to znacznie wygodniejsze. Wrogie urządzenie podobne było wymiarami i kształtem do wibratora, tyle że jego plastikowy korpus nie był biały, ale intensywnie czerwony.

– Jak to wytwarza ciepło?

– Zasada działania bomby termojądrowej, tyle że ze sterowaną reakcją wydzielania ciepła poprzez emitowanie małych eksplozji w przeciągu milisekund, prowadzące po upływie trzech godzin do niezbyt dużej eksplozji ładunku wodorowego – odpowiedział komputer, do którego pytanie było skierowane.

– Mała bomba wodorowa?

– Praktycznie tak, ale z minimalnym promieniowaniem. Większość energii przekształca się w ciepło, dające w efekcie ogniska lawy. Zbliżają się one do ścian bazy. Jest ich zbyt dużo, aby można było nad nimi zapanować.

– Czy można je wykryć i zniszczyć przed wybuchem?

– Mówiłem już, że praktycznie nie. Zbyt małe, zbyt duża ich liczba, za duży teren poszukiwań, mało czasu. Możliwość sukcesu około dwadzieścia dziewięć procent, a więc praktycznie nieprawdopodobieństwo. Mimo wszystko automaty zostały wysłane.

Nie była to najmilsza informacja, jaką mógł usłyszeć. Ale może uda się to wytrzymać, zanim opadnie lub zostanie zniszczone.

– Jaka jest przewidywana temperatura maksymalna?

– Około pięćset stopni Celsjusza – odparł mechaniczny głos bez żadnej emocji.

Pen wytrzeszczył oczy patrząc z niedowierzaniem na komputer i z trudem łapiąc powietrze w płuca.

– Że jak?! Pięć razy więcej niż temperatura wrzenia wody?!

– Tak jest.

– Czy rozumiesz, co ty mówisz?! Jak sobie to wyobrażasz, że ludzie... Jak mamy to przeżyć?!

Automat milczał, gdyż problem nie leżał w jego kompetencjach. Pen w zakłopotaniu potarł policzki i odezwał się:

– Ta temperatura jest nie do przeżycia dla obsługi ludzkiej, nawet jeśli przetrwają ją maszyny. Musisz znaleźć sposób, aby obniżyć tę temperaturę!

– Problem był już rozważany, gdyż jest to temperatura krytyczna dla żywotności delikatniejszych elementów komputera. Klimatyzacja pracuje na pełnej mocy i nie ma możliwości obniżenia temperatury więcej niż o dziesięć stopni Celsjusza. Dlatego proponuję zalanie terenu bazy wodą, która jest trudniejsza do ogrzania niż powietrze. Obniży to temperaturę w znacznym stopniu i pozwoli na bezawaryjną pracę zespołów dowodzenia.

To nie było rozwiązanie problemu. Był to zaledwie kompromis automatu, dający chwilowe rozwiązanie. Mimo wszystko było to jakieś wyjście, a ludzie mogli przeżyć używając masek tlenowych. Nieprzyjemne w użyciu, ale nie niemożliwe.

– Jaka będzie maksymalna temperatura wody?

– Sto czterdzieści stopni Celsjusza. Jest możliwość nawet większego obniżenia temperatury, ale nie można już zwiększyć cyrkulacji wody w pomieszczeniach, gdyż pompy nie mają aż takiej wydolności. Wszystkie urządzenia i aparatura są wodoodporne.

– Ludzie nie są...! A nawet jeśli, to nie chcą być ugotowani w tej cholernej zupie, którą proponujesz. Może mi powiesz zatem, jak mamy się uratować?

Ponownie zapadła cisza, w której słychać było oddechy ludzi i szum wody.

– No co, zablokowało ci wyjście?

– Kąpiel. Niższa temperatura – odparła maszyna.

Wszyscy spoglądali na niego, gdy wysłuchiwał ostatecznej odpowiedzi komputera.

– Ktoś ma inny pomysł? – zwrócił się Pen do sztabu. Odpowiedź nie padła, gdyż możliwość mogła być tylko jedna – opuszczenie stanowisk i zawiadomienie o tym fakcie dowództwa. Nikt z nich nie opuścił stanowiska ani nie zostawił na pewną śmierć towarzyszy. Ale przez krótki okres robot może sterować stanowiskiem koordynatora.

– Obwody logiczne! – odezwał się Pen. – Czy robot z odblokowanymi obwodami, zbudowany do tego celu, może kierować stacją?

– Tak – odpowiedział komputer.

– A więc dobrze. Natychmiast to wykonaj. Ewakuujemy się, gdy sprawdzę, że nadaje się on do tej funkcji.

Temperatura rosła w zastraszającym tempie, zbliżając się do granicy ludzkiej wytrzymałości. Praca koordynatora nie była zbyt skomplikowana, podejmował on decyzje typu tak lub nie, albo wybierał najlepsze z możliwych wariantów podsuwanych przez komputer. Przez krótki czas mógł jazdą powodzeniem wykonywać specjalnie zaprogramowany robot. Było to ryzykowne, ale jedyne w tej sytuacji rozwiązanie, a poza tym po ustąpieniu zagrożenia ludzkiego życia, będzie można po powrocie skorygować jego posunięcia.

Skontaktował się z dowództwem, nie licząc zresztą na to, aby oni znali lepsze wyjście. Faktycznie nie znali. Pogratulowali mu najlepszej w tych warunkach decyzji i zatwierdzili następną gwiazdkę na pagony.

Gdy tylko robot zasiadł w fotelu koordynatora, Pen zarządził ewakuację. Woda sięgała do kolan. Pen obejrzał swojego następcę i skrzywił się z niesmakiem. Prostokątne pudło na wysięgnikach opatrzonych w koła, z małą naroślą spełniającą funkcje głowy, zaopatrzoną w parę soczewek telewizyjnych i z jedną ręką położoną koncentrycznie. I pomyśleć, że coś takiego zastępowało szkolonego przez piętnaście lat człowieka. Maszyna błysnęła czerwonym światłem i jej dłoń opadła na klawiaturę konsoli sterującej. Pierwszym zadaniem było zatrzymanie natarcia nieprzyjaciela na lewym skrzydle. Automat użył czołgów z odvodu, mając jeszcze w rezerwie lotnictwo strategiczne. Toczył się bój spotkaniowy ze zmiennym szczęściem. Pen spokojny odwrócił się i zostawił robota pogrążonego w pracy.

– Przygotować się do ewakuacji!

– Poniesiemy pułkownika Freya – zwrócił się do oficera medycznego. – Jak on się teraz czuje?

– Zmarł! Ogólne wyczerpanie organizmu i przeciążenie mięśnia sercowego. Zresztą czego można było oczekiwać po takich przejściach.

– W porządku – Pen wziął się w garść. – To znaczy, że Zeń jest jedynym rannym i będzie mógł iść sam.

Oficerowie z generał Natią na czele stanęli w szeregu i zaszalutowali. Generał Natia złożyła raport:

– Wszyscy obecni, sir. Wszyscy mają żelazne porcje żywności i wody na wypadek problemów w drodze powrotnej.

– Tak, oczywiście.

Pen odpowiadał machinalnie, mając umysł zaprzątnięty zupełnie innymi problemami. Był już najwyższy czas na opuszczenie bazy.

– Czy tunel dojazdowy jest czysty? – pytanie było skierowane do adiutanta.

– Tak, te dwa obwały zostały usunięte przed godziną.

– Bardzo dobrze, stań na przedzie. Uwaga... W prawo zwrot! Naprzód marsz!

Gdy jego mała kompania wymaszerowała, Pen odwrócił się i powodowany jakimś anachronicznym przyzwyczajeniem, oddał honory następcy. Widząc bezsensowność swojego postępowania szybko i dołączył do reszty.

Byli już przy bramie, gdy spotkali jeden z automatów naprawczych. Czekał po drugiej stronie bramy i wszedł, gdy ta się otwierała. Był cały pokryty kurzem i odpryskami skał. Ponieważ był to tylko tak zwany robot fizyczny, Pen zlecił kontakt z nim swojemu adiutantowi. Oba automaty pogrążyły się w konwersacji.

– Tunel jest zablokowany – odezwał się wreszcie adiutant. – Ściany obsunęły się w wielu miejscach, a ich szczątki są zalane wodą. Nie ma możliwości odtworzenia jego pierwotnego stanu, ponieważ korytarze stale się zapadają i to w różnych miejscach. Taka jest aktualna ocena komputera.

– To niemożliwe! – zawołał Pen z nutką desperacji w głosie.

Znajdowali się na otwartej przestrzeni w podziemiach. Gorąco panujące tam uniemożliwiało jakiegokolwiek myślenie. Poprzez czerwoną mgłę Pen zobaczył resztę górniczych robotów, które zdążyły w popłochu w kierunku bazy i osypującą się za nimi skałę.

– Musi być inna droga odwrotu! – głos Pena był cichy, lecz tak stanowczy, że maszyna przyjęła te słowa jako rozkaz.

– Jest inne wyjście, o którym nie meldowałem. Jest to wyjście na wyższe poziomy, ale moje wiadomości są niekompletne i nie wiem w jakim stanie jest ten luk awaryjny.

– Prowadź, bo inaczej ugotujemy się tutaj!

Metal dotykany gołym ciałem powodował oparzenia, toteż adiutant ruszył przodem i zajmował się otwieraniem drzwi zamykanych na zamki kołowe. W tej temperaturze ludzie nie byli zdolni do jakiegokolwiek wysiłku. Po drodze został pułkownik Zeń, najmniej odporny z uwagi na osłabienie organizmu i możliwość posługiwania się tylko jedną ręką. Gdy odwrócili go na wznak, już nie żył. Następny był lekarz, człowiek w podeszłym wieku. Znikł tak nagle, że w kompletnych ciemnościach, jakie ich otaczały, nie znaleźli nawet jego ciała.

Pen próbował zaprowadzić jakiś porządek i ustawić najśłabszych w środku kolumny, ale jego wysiłki nie miały znaczenia, gdyż nie było w tej piętnastoosobowej grupie silnych. Słaby odbłask światła w górze był ich jedynym przewodnikiem. Ramię w ramię z generał Natią podążali tuż za torującym im drogę robotem. Gorąco zaczęło się zmniejszać dopiero po dwóch godzinach. Pen zarządził postój. Opadli bezwładnie na ziemię i łapczywie pili z żelaznych zapasów.

Odgłosy agonizującego rżenia pobudziły Pena do działania. Dochodziły z tyłu i okazało się, że były ostatnim znakiem życia majora Korpusu Łączności. W czasie marszu zginęło dziewięć osób i nie wiedzieli nawet w jakich okolicznościach. Żelazne racje pobudziły ich do życia i działania.

Ponad Kwaterą Główną był cały labirynt opuszczonych, splątanych tuneli i pomieszczeń, o których przeznaczeniu i zawartości zapomniano w miarę opuszczania ich podczas działań wojennych. Tworzyły labirynt, w którym jakikolwiek postęp był niemożliwy. Gdyby nie automat adiutant dawno już by zabłądzili. On wytyczał drogę najłatwiejszą do przebycia, a przeszkody usuwał siłą swoich stalowych ramion. Cał po calu przedzierali się coraz wyżej i coraz bliżej wyjścia. Monotonia i kompletna ciemność otumaniały ich coraz bardziej. Spali idąc, bez pożywienia i wody. Szli tylko dlatego, że automat sygnalizował, iż znajdują się w strefie powierzchniowej.

– Jesteśmy na najwyższym poziomie, bezpośrednio pod powierzchnią – rozległ się głos adiutanta. – Ten tunel prowadzi do automatycznych działobitni, ale jest teraz zablokowany.

Pen obejrzał w świetle pięciu lamp kolistą perspektywę. Zmusił się do myślenia, choć mózg

stanowczo odmawiał posłuszeństwa. Szczyt tunelu był zamknięty stalową płytą, hermetycznie przylegającą do ścian.

– Oczyszczyć drogę – wydał polecenie adiutantowi.

– Nie mogę. Moje baterie są prawie wyczerpane. Nie będę w stanie skończyć!

To był koniec. Nie posuną się wyżej, a więc zostaną tutaj. Swoją drogą, miejsce niezbyt ciekawe na grób.

– Nie będziemy mogli otworzyć...? – zapytała nieśmiało Natia.

Pen odwrócił się i zobaczył w jej dłoni klips. Zawierał on awaryjny ładunek wybuchowy.

– Może adiutant połączy klipsy razem i detonuje je – zaproponowała.

– To się da zrobić – odpowiedział automat.

Wszyscy w pośpiechu oddawali swoje klipsy, które adiutant połączył w jeden ładunek i przymocował do zapory. Cofnęli się za najbliższy załom korytarza. Minutę potem nadbiegł robot i padł plackiem obok nich.

Huk eksplozji zakłócał podziemiami i rozdarł panującą tam ciszę. Przeczekali aż opadnie kurz po wybuchu, po czym Pen zarządził powstanie. Zapora nadal istniała. Poprzez pęknięcia w jej powyginanej powierzchni sączyły się smugi dziennego blasku z zewnątrz.

– Powinniśmy to rozwalić do końca! Dalej! – zarządził Pen.

Robot ujął za odgięte wybuchem krawędzie włazu i silnie pociągnął. Trzask pękającego metalu i łoskot spadającej metalowej pokrywy zagłuszyły ich radosny okrzyk. Szczątki zapory i adiutanta utworzyły na podłodze kłębowisko trudne do rozdzielenia. Adiutant zresztą i tak był niezdolny do użytku.

Przez szeroki otwór dało się widzieć trawę i niebo. Pen podniósł się na rękach i wyjrzał przez dziurę, która, jak się okazało, była zlokalizowana pośrodku dużego trawnika rozciągającego się na stoku niewielkiego pagórka.

– Pozwól sobie pomóc – odezwał się jakiś głos i brązowa od opalenizny dłoń złapała go za kołnierz, pomagając wydostać się na otwartą przestrzeń.

Było to tak nieoczekiwane, że Pen pozwolił ze sobą postępować jak z workiem ziemniaków. Został wyciągnięty i rzucony twarzą do trawy. Kątem oka zobaczył otaczające go nogi. Cofnął dłoń od kabury, rezygnując na razie z użycia broni. Reszta jego ludzi opuściła bunkier w ten sam sposób. Niebo było pochmurne i musiało niedawno padać.

Przed nim rozciągało się dziewicze pole. Doznał dziwnego uczucia przyjemności, rozpoznając to, co dotychczas widział tylko na ekranie. Po raz pierwszy w życiu znalazł się na powierzchni. Oczywiście wszystkie oglądane kiedyś przekazy były wierne, ale pochodziły z okresu przed wybuchem wojny, kiedy ludzie żyli na powierzchni w wielkich skupiskach zwanych miastami. Był przekonany, że po tylu latach wyniszczających wojen, powierzchnia Ziemi była wysterylizowana i niemożliwa do zasiedlenia. A więc kim byli ci ludzie? Ktoś odezwał się ponad jego głową. Był to pierwszy głos, który zmącił jego melancholijną zadumę nad urokiem żywej przyrody.

– Kim jesteś?

Pen spojrzał w górę i domyślił się, że pytanie zadał ten, który wyciągnął go z bunkra.

– Jestem generał Pen, a to jest mój sztab, to znaczy resztki mojego sztabu.

Słyszając to człowiek w ciemnej skórze zaczął zdejmować kostium wyglądający jak poskładane razem części obudowy kilkunastu maszyn. Tułów był w jednym pancerzu, nogi i ręce w odcinkach połączonych drutem, a na głowie jego i pozostałych widniały normalne, wojskowe hełmy.

– Generał?! – uśmiechnął się i przywołał jednego z dziwnie ubranych ludzi. – Powiedz mu, żeby wymyślił coś bardziej interesującego – rzucił, wskazując wzrokiem Pena.

Nagle obaj padli na ziemię i z zainteresowaniem spojrzeli na niebo. Reszta osobników zrobiła to samo. Pen wznosił głowę i w tej chwili potężna eksplozja rozdarła chmury. Poprzez ich strzępy ujrzał przeraźliwe, różowe światło, które zalało cały widnokrąg. Gdzieś w górze pojawił się czarny cień i nim go oko zarejestrowało, przekształcił się już niżej w olbrzymie koło. Spadało prosto na nich, ale uderzyło o ziemię po drugiej stronie pagórka. W górze coś się kotłowało i rozpadło. Tylko Pen i jego ludzie obserwowali to zjawisko, gdyż reszta była skulona, jakby przeczekując znane już sobie zjawisko.

Koło, które widział, miało około stu stóp średnicy, było wykonane z metalu i plastiku, miało różne elementy podobne do urządzeń cumujących i wyglądało, że spadło na ziemię odłączając się w górze od większej całości.

– Co to jest, do diabła?! – spytał Pen, ale nikt mu nie odpowiedział.

Grupa dziwnych osobników była już na nogach. Wszyscy byli ubrani tak, jak jego poprzedni rozmówca, tylko jeden miał wysokie buty i szary mundur.

– Wojskowi! – pomyślał Pen na jego widok. – To wprost cudownie! – zerwał się i podbiegł w stronę osobnika w wysokich butach.

Ten pochylał się akurat nad stertą ubrań leżących na łące. Gdy się wyprostował, Pen zauważył na jego głowie stalowy hełm i szary płaszcz zarzucony na ramiona. Tylko zakurzony, jak po długiej podróży uniform maścił obraz oficera w galowym mundurze. Nieznajomy obciągnął mundur i obrócił się do Pena.

– Nieprzyjacieli! – jego okrzyk wydarł się z gardła razem z bronią z kabury.

Ten mundur widział zbyt często na filmach, aby móc się mylić. To był mundur przeciwników. Zanim zdążył użyć broni coś uderzyło go w palce i sparaliżowana ręka opadła wzdłuż ciała. Mężczyzna zbliżył się i zasalutowował z pełnym ceremoniałem.

– Generał Brock w misji pokojowej. Czy mogę spytać z kim mam przyjemność? – mówiąc to dobył z kieszeni białą chustkę i rozpostarł ją.

– Jestem generał Pen. Kim pan jest i co, do diabła, pan tu robi?

– Za pańskim pozwoleniem, sir – przymocował chustkę do drążka, który wbił w ziemię, a następnie wyjął z kieszeni zapieczętowany pakiet. – Przynoszę pozdrowienia od mojego narodu, najnowsze wieści i propozycję pokoju. Tu mam wszystkie niezbędne dokumenty, jak również pełnomocnictwa do rozmów. Jest tam napisane, że została wysłana misja pokojowa, ale poza mną i ludźmi ochrony, wszyscy dawno nie żyją. Faktycznie figuruję w dokumentach jako kapitan, ale i to się zmieniło. Generał Guara, mój zwierzchnik, kiedy jeszcze żył, nadał mi rangę generalską w uznaniu zasług dla misji. Mówię to dlatego, aby orientował się pan, generale, dlaczego jestem tu sam. My potrzebujemy pokoju na warunkach, jakie uznacie za najbardziej optymalne. Inaczej mówiąc, za wszelką cenę. Zgadza się pan?

– Tak, ale chciałbym wiedzieć dlaczego... dlaczego występuje pan z tą propozycją?

– No cóż. Mimo iż nasi naukowcy są zdolni i pomysłowi, wasz pomysł z zastosowaniem wirusów był dla nas naprawdę zaskoczeniem. Nasza Kwatera Główna musiała zostać ewakuowana i poddana całkowitej sterylizacji. W czasie, gdy ewakuowanych ludzi zastąpiły specjalnie skonstruowane roboty, wydarzyła się przykra dla nas niespodzianka. Po zakończeniu kwarantanny wróciliśmy zgodnie z planem do bazy, ale wszystkie drzwi zastaliśmy zamknięte, a automaty nie mogły pojąć, o co nam chodzi i nie wpuściły nas do środka. Bardzo dobrze radziły sobie bez nas i nie widziały potrzeby podjęcia współpracy.

– Nie próbowaliście wejść tam siłą?

– Oczywiście. Ale to nie takie proste, generale. Miejsce bazy było jednak bardzo dobrze

chronione, a automaty miały jeszcze przez nas zainstalowane przystawki inteligencji dające im zdolność rozwoju i samouczenia. Na każdą naszą próbę wdarcia się do bazy, automaty odpowiadały natychmiastową kontrakcją, niemożliwą do sforsowania. W końcu zaczęły nas identyfikować z nieprzyjacielem i byliśmy zmuszeni skończyć tę zabawę, ustępując placu...

– My wrócimy! – w głosie Pena był czysty, żywy upór.

– Sądziłeś podobnie – uśmiechnął się Brock. – Gdy przed chwilą zobaczyłem pana wraz ze sztabem na trawniku, doszedłem do wniosku, że przytrafiło wam się coś podobnego i chyba się nie mylę, prawda?

– Proszę wybaczyć, że na razie nie odpowiem.

– Nie musi pan. Jedziemy, moim zdaniem, na tym samym wózku, a dla nas to i tak nie ma znaczenia.

Coś przeleciało nad nimi i eksplodowało za horyzontem. Brock kontynuował:

– Faktem jest, że z tych czy innych powodów, pan i pańscy oficerowie opuściliście bazę. Nie sądzę, biorąc pod uwagę nasze doświadczenia i późniejsze spostrzeżenia, abyście mogli do niej wrócić. Ciągnie was tam poczucie obowiązku, choć wiecie, że dublują was automaty i robią to lepiej od was. Możliwe, że gdybyśmy zdecydowali się na użycie wszelkich sposobów, któraś z ewentualnie użytych broni, byłaby skuteczna. Roboty są mocniejsze i trwalsze od ludzi, a to jest ich niepodważalny atut. To się nie opłaca. Myślałem wiele miesięcy siedząc tutaj i czekając na dzisiejszy dzień, choć nie wiedziałem, kiedy on nadejdzie.

– Dlaczego nie nawiązaliście z nami kontaktu, skoro chcieliście kapitulacji? Dlaczego nie przyszliście do nas?

– Proszę mi wierzyć, kolego, że było i jest to moim i mojego kraju jedynym życzeniem. Ale było to niewykonalne w sytuacji wojny totalnej. Użyliśmy radia i innych form łączności, ale wszystkie były zablokowane. Dzisiaj wiemy, że było to sprawką automatów. Potem wysłaliśmy automaty i one zostały zniszczone. W końcu poszli ludzie bez broni. Automaty zignorowały nas, a na podejściach do waszych stanowisk straciliśmy większość ludzi. Z pięćdziesięciu dotarło tu ze mną dwunastu. Z piętnastu oficerów zostałem tylko ja. Kiedy tu przybyliśmy okazało się, że jest to jedyne bezpieczne miejsce po tej stronie frontu, a to dlatego, że jest świetnie osłonięte przed każdą formą ataku. Nie mieliśmy żadnej możliwości powiadomienia was o naszej obecności. Pozostawało tylko czekać, aż wam wydarzy się podobna historia jak w naszym przypadku. I jak pan widzi, generale, doczekaliśmy się.

– To potworne! Potworne i nieludzkie!

– Jest tak faktycznie, ale nie pozostaje nam nic innego jak podejść do tego zagadnienia z filozoficznym spokojem. Roboty i tak będą kontynuowały swoją wojnę, a robią to dużo lepiej niż my. Będą wojowały bardzo długo, gdyż są bardziej żywotne od nas. Mogę ci tylko przyjacielu poradzić, co robić dalej. Znajdź sobie kobietę, osiedl się i rozpocznij nowe życie. To jedyne, co możesz zrobić. Zresztą ja też o tym myślę.

Pen złapał się na tym, że przygląda się Natii. To że była generałem nie wykluczało jej kobiecości. Dopiero teraz zauważył, że Natia była całkiem atrakcyjną dziewczyną.

– Nie! – oprzytomniał. – To niemożliwe! To nie ma jakichkolwiek perspektyw dla życia rozumnego. To byłaby egzystencja obliczona na beznadziejne oczekiwanie, aż te cholerne automaty wyniszczą się wzajemnie.

– Teraz nie ma znaczenia przyjacielu, co lubimy, a co nie. Nie mamy wyjścia. Zbyt długo i namiętnie bawiliśmy się w wojnę, a automaty nauczyły się tej zabawy od nas. Teraz one się bawią. Kółko kręci się zbyt szybko, żebyśmy mogli je zatrzymać. Można jedynie poszukać miejsca, gdzie

będą najlepsze warunki do życia. Miejsce, w którym nie znajdą nas wojujące automaty.

– Jakoś nie mogę tego zaakceptować – głos Pena wyrażał żal, wściekłość i jednocześnie beznadziejny bunt.

Nagle poczuł na ramieniu dłoń Natii i nim zrozumiał, co to znaczy, horyzont eksplodował feerią czerwieni, a powietrzem targnęły serie detonacji.

– Żeby tylko nie było za późno! – krzyknął i wskazał na niebo. – Żeby tylko... nie było za późno!!!

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Słowo od autora – człowieka.	3
Symulowany trening.	5
Aksamitna rękawiczka.	16
Ramię sprawiedliwości	31
Robot, który chciał wiedzieć.	46
Widzę cię.	53
Konserwator	67
Zacofana planeta.	77
Wojna z robotami	89